

# Ursula K. Le Guin

Miejsce początku ISKRY





**LE GUIN URSULA K.**

**Miejsce początku**

# URSULA K. LE GUIN

## 1

Kasjer na siódmkę! – i znów do kasy między barierki rozładowywać druciane wózki, Jabłka trzy po osiemdziesiąt dziewięć centów, ananas w lkoistkach cena o'kazyjma, pół galonia dwuprocentowe-go – siedemdziesiąt pięć, cztery i jeden w sumie pięć, dziękuję, od dziesiątej do szóstej, przez sześć dni w tygodniu; a dobry był w tym. Kierownik, facet ulepiony z żelaznych opiłków i żółci, chwalił go iza operatywność. Inni kasjerzy, starsi, żonaci, gadali o piłce ręcznej, – nożnej, splatach za domek, dentystach. Mówili na mego Rodge, z wyjątkiem Donny, która mówiła na niego Buck. Klienci w godzinach szczytu – ręce, które podają pieniądze, ręce, które biorą. Gdy nie było ruchu, starsi mężczyźni i kobiety lubili sobi'^ pogawę-dziic, nde mi'alo znaczenia, co się odpowiadało, i tak mię słuchiali. Ope-ratywność towarzyszyła miu przez ezias pracy, ale mię dłużej. Przez osiem godzin dziennie rosół z makaronem za.sześćdziesiąt dZiewięć, konserwy dla ipsów cena okazyjna, pół ikwarty bitej śmietany dziewięćdziesiąt pięć, jeden i pięć, tak, mamy czterdzieści Wracął do domu ma Oałk Valley Road i jadł obiad iż matką, potem trochę pogapił się w telewizor i szedł spać. Czasem zastanawiał się, co by robił, gdyby supermarket Sam's Thrift-E-Mart znajdował się po drugiej stronie autostrady, bo przejście dla pieszych było oddalone o cztery przecznice w jedną i sześć w drugą stronę, więc ndgdy by się tam nie wybrał. Ale pierwszego dnia po przeprowadzce pojechał tam po zakupy, żeby zaopatrzyć lodówkę, i zobaczył wywlie-szkę "POTRZEBNY KASJER", którą umieszczono pół godziny wcześniej. Gdyby nie trafiło mu się to zajęcie, mógłby, tak j»aik miał ochotę i jak planował, ikupić samochód i dojeżdżać do śródmieścia do

pracy. Ale nigdy mię miał pieniędzy ina dobry woź ii dopiero teraz mógł zaoszczędzić tyle, ze za jakiś czas starczy może (na coś porządnego. Wolałby raczej mieszkać w samym mieście i obywać się ibez.samochodu, ale matika bała się centrum. Idąc 'to domu przyglądał się autom i medytował, jakie by w?woim czasie wybrał. Samochody me mterestowały go specjalnie, ale sko.ro ro^ptał sio x myślą o nauce, to przecież pieniądze trzeba w końcu 'na coś wydać, i 'z przyzwyczajenia myślał o tym, kiedy wracał do domu. Był zmęczony – przez cały dzień w kółko tylko rzeczy na sprzedaż i piemiadzn, wiec ponieważ ręce były zajęte tylko tym, to głowa nie rejestrowała nic innego, wyrzucając szybko i ten balast.

Gdy przeprowadziła się tutaj wczesną wiosną iniebo nad dacna-mi w czasie jego powrotów do domu skrzyło się Ziimną pielenia i 'złolem Teraz, w lecie, na pozbawionych drzew ulicach o siódmej wieczorem było jeszcze ciągle widno i gorąco. Samoloty wybijające się z lotniska oddalonego o dziesięć mil ma południe przecinały gęsite oślepiające niebo, ciągnąc za sobą włamy dźwięk i ctiień; połamane

metalowe huśtawki na placykach zabaw skrzypiały koło podjazdów. Osiedle nosiło nazwę Kensington Heights. Aby dotrzeć do Oak Valley Road, przeciął Loma Linda Drive, Raleigh Drive, Pine View Place, skręcił w Kensington Avenue, przebiegając Chelsea Oaks Road. Nie było tu wzgórz, nie było dolin, Raleighów ani dębów. Na Oak Valley Road stały dwupiętrowe domy, każdy o sześciu mieszkaniach, pomalowane na kolor brązowy i biały. Między stanowiskami dla samochodów ciągnęły się płyty trawnika obramowane połupanymi białymi kamieniami i obsadzone jałowcem. Papierki po gumie do żucia, puszki po napojach chłodzących, plastikowe pokrywki, pancerze i szkielety produktów nietrwałych, które przechodziły przez jego ręce w dziale spożywczym, wały się między białymi kamieniami i ciemnymi krzewami. Przy Raleigh Drive i Pine View Place stały domy bliźniaki, a przy Loma Linda domki jednorodzinne, każdy z własnym podjazdem, placikiem do parkowania, trawnikiem białymi kamieniami i jałowcem. Ścieżki były równe, ulice poziome, teren płaski. Stare miasto, w centrum, leżało na wzgórzach, nad rzeką, ale wschodnie i północne dzielnice obsiadły równinę. Raz tylko objął wzrokiem okolicę, w dniu, w którym przyjechali tutaj z wschodu wozem meblowym. Tuż przed tablicą wyznaczającą granicę miasta autostrada biegła wiaduktem i stamtąd widać było pola. Za nimi miasto w złotej mgle. Pola, łąki w łagodnym wieczornym świetle i ciemność drzew. Potem fabryka farb z wielobarwną reklamą zwirócomą ku szosie i – osiedle mieszkaniowe.

Pewnego popołudnia po pracy, był wtedy upał, przeciął na ukos rozległy parking supermarketu Sam's Thrift-E-Mart i podjazdem dla wozów dostawczych doszedł do wąskiego chodnika stanowiącego skraj autostrady, żeby sprawdzić, czy nie dałoby się tamtędy wydostać na świat, na pola, które widział pierwszego dnia, ale nie było jak. Śmieci pod nogami, papiery, żelastwo, plastik; powietrze smagane i uderzone biczami podmuchów, ziemia rozdygotana od każdej przejeżdżającej ciężarówki, bębny w uszach bombardowane hałasem, a do oddechu mijała powłoka spalonej gumy i wyciekami diesla. Po półgodzinie zrezygnował i chciał zejść z autostrady, ale osiedlowe uliczki były oddzielone od nasypu szosy łańcuchem. Musnął wrócić tą samą drogą przez parking supermarketu, żeby wydostać się na ulicę Kensington. Porażka rozjątrzyła go, czuł się, jakby go ktoś poturbował. Szedł do domu (mrużąc oczy w gorących, pozaomyciach promieniach słońca. Samochodu miażdżenie nie było na placu przed domem. Kiedy otwierał drzwi, (dobiegł go z głębi mieszkaniowa dzwonek telefonu.

–Jest w końcu! Dzwonię i dzwonię. Gdzie byłeś? Dzwoniłam już dwa razy. Zostanę tutaj mniej więcej do dziesiątej. U Durbriny. W zamrażarce masz indyka. Nie ruszaj dań -orientalnych, będą na środę. Weź sobie na obiad indyka. – Dolar dwadzieścia dziewięć centów, dziękuję, zabręczało mu w głowie. – Nie zdążę na początek tego filmu na szóstym kanale, oglądaj go za mnie, aż wrócę.

–Okay.

**-No to na razie.**

**-Na razie.**

**-Hugh?**

**-Co?**

**-Gdzie byłeś tak długo?**

**-Wnacałem do domu inną drogą.**

**-Co jesteś 'taki zły?**

**-Nie wiem.**

**-Weź aspirynę. I zimny prysznic. Jest tak gorąco. Dobrze ci radzę. Ja 'rie wrócę późno. No to uważaj na siebie. Nie wychodzisz dzisiaj?**

**-Nie.**

**Zawahała się, „nie JUŻ” im mówiła, ale nie odkładała słuchawki. Powiedział „na razie”, odłożył pierwszy i stał przy aparacie. Czuł się oiężki, ciężkie zwierzę, gruby pomarszczony stwór z obwisłą dolną wargą i stopami jak opony ciężarówki. Dlaczego spóźniłeś się piętnaście minut dlaczego jesteś zły uważaj na siebie mę jedz mrożonego damia orientalmego mę wychodź. W porządku. Uważaj ma siebie uważaj. Ruszył się wreszcie, wstawił indyka do pieca, nie włączył go uprzednio, jak zalecała instrukcja; nastawił na czas. Był głodny. Zawsze był głodny. Właściwie to miigdy mę był głódmy, ale zawsze chciało mu się jeść. W spizarnce znalazł itoireokę orzeszków;**

**zabrał ją do pokoju, włączył telewizor i usiadł w fotelu. Fotel zadrżał i zaskrzypiał pod je^o ciężarem. Podmiiósł się gwałtownie upuszczając torebkę z orzeszkami. Tego już było za wiele – słoń na-pychający się orzeszkami. Czuł, że ma otwarlbe 'usta, tak Jakby nie mógł wciągnąć powietrza do płuc. Gardło miał zablokowane.czymś, co usiłowało wydostać się ma 'zewnątrz. Stał koło fotela, dygotał cały, a'to coś w gardle wydobywało się jako słowa. "Nie mogę, nie mogę" – powiedziało na głos.**

**Przestraszył się bardzo, w pamięć ruszył ku drzwiom frontowym, otworzył je szarpnięciem i wypadł z domu, zanim to coś miało czais powiedzieć więcej. Gorące przedwieczne światło słoneczne miłgotało na białych kamieniach, parkingach, samochodach, ścianach, huśtawkach, antenach telewizyjnych. Stał rozdygotany, szczęki mu chodziły, to coś próbowało siłą je otworzyć i przemówić iznowoi. Nie wytrzymał i uciekł.**

Na wprost Oak Valley Road, na lewo w stronę Pine View Place, znowu na prawo, nie wiedział gdzie, nie był w stanie odczytać tabliczek. Rzadko biegał, nie miał wprawy. Walił stopami w ziemię twardo, ciężko.auta, parkingi, domy zlewały się w jaskrawo pulsującą mgłę, która, w miarę jak biegł, czerwieniała i ciemniała. Słowa za oczami głośno głośno "Biegniesz poza kres dnia". Powietrze wpadające do gardła, płuc było kwaśne, palące, oddech wydobywał się z szelestem dartej papieru. Ciemność gęstniała jak krew. Stawiał nierówne kroki z coraz większym wysiłkiem, mimo że biegł teraz z góry. Próbował się zatrzymać, zwolnić, czując, że ziemia kruszy mu się, wysuwa spod stóp, a twarz muskają mu raz po raz delikatne gałązki krzewów. Widział albo czuł liście, ciemne liście, gałęzie, muł, ziemię, ściółkę i przez łomotanie serca i oddechu słyszał głośną, nieprzerwaną muzykę. Zrobił kilka wolnych, powłóczył kroków, opadł na czworaki, a potem jak długi rozciągnął się na brzuchu na skalistej ziemi nad brzegiem strumienia.

Kiedy wreszcie usiadł, nie miał uczucia, że spał, ale było to jak przebudzenie z głębokiego snu w ciszy, kiedy człowiek należy w pełni do siebie i nic nie może go poruszyć, 'dopóki nie rozbudzi się całkiem. Źródłem spokoju była muzyka wody. Pod jego dłonią piasek zsuwał się ze skały. Kiedy usiadł, poczuł, jak powietrze swobodnie wypełnia mu płuca, chłodne powietrze pachnące ziemią i 'zgniętymi liśćmi, i zielonymi liśćmi, i wszelakim rodzajem zielska i traw, i krzewów, i drzew, chłodna woń wody, ciemna woń mułu, słodki zapach, w jakiś sposób znajomy, chociaż nie potrafił go nazwać, wszystkie wonie pomieszane, a mimo to oddzielne jak nici w tkaninie, co dowodziło, że część mózgu zawiadująca węchem jest czynna i pojemna, że wie, choć nie ma dla nich nazw, wszystkie warianty zapachów, woni, aromatów i odorów, 'które składały się z mocnych, ciemnych, z gruntu obcych, a jednak bliski zapach brzegu strumienia późnym letnim wieczorem ma wai.

Bo był na wsi. Nie 'miał pojęcia, ile przebiegł, bo nawet nie zdawał sobie sprawy, Jak długa jest mila, ale wiedział, że zostawił za sobą ulicę, domy, granicę brukowanego świata, że biegł po ziemi. Mroczny, przesycony lekką wilgocią, nieuleczony ndewiarygodny świątek – jednym palcem dotknął ziarenek piasku i -ziemi, izibutwiałych liści, kamyków, sporego kamienia tkwiącego do połowy w ziemi, korzonków. Leżał z twarzą wciśniętą w ziemię, na niej,

w niej. Głęboko zaczerpnął powietrza i przycisnął otwarte dłonie do ziemi.

Zmrok jeszcze nie zapadł. Oswojone JUŻ oczy 'w^d^iały teraz wy-raźne, chociaż ciemniejsze barwy i wszystkie zacienione miejsca były na skraju nocy. Niebo pomiędzy czajnymi, ostro rysującymi się konarami nad głową było bez barwy i bez smugi jasności wskazującej, w której stronie 'zaszło 'słońce. Nie 'było Jeszcze gwiazd. Strumień, 'szerokości dwudziestu czy trzydziestu stóp, usiany głazami, burzliwy i migocący wśród skał, zdawał się jaskrawszym kawałkiem 'nieba. Otwarte piaszczyste brzegi po obu stronach były jasne, jedynie w dole, igdzie drzewa 'rosły gęściej, zmierzch wygładził już inderówność, zamazał detale.

Strzepnął piasek, zeschę liście i pajęczyny z twarzy i włosów, czuł pod okiem lekkie klucie ułamanej gałązki. Wychylił się w przód wsparty na łokciu, przejęty, i palcami lewej ręki dotknął wody; początkowo bardzo lekko, płaską dłonią, jakby głaskał zwierzę;

po chwili zamurzył rękę w wodzie i uczul, jak prężny nurt napiera na jego dłoń. Wychylił się jeszcze dalej, opuścił głowę i opierając obie dłonie na piaszczystych płycznach przy brzegu, zaczął pić.

Woda była zimna i miała smak nieba.

Hugh przykucnął sną mulistym piasku z wciąż pochylaną głową, czując potsmalk, który trudno nazwać ptosm aktem, na wargach i w ustach. Z woma wyprostował plecy, aż zamarł na klęczkach z podniesioną głową i rękami ina kolanach. To, na co jego umysł nie znał określeń, jego ciało zrozumiało w pełni, z łatwością i pochwalało.

Kiedy ta fala doznania, którą brał za modlitwę, uciszyła się, opadła i przeszła w intensywne, złożone uczucie przyjemności, usiadł ponownie na piętach, rozglądając się wokół bystrzej i baczniej niż poprzednio.

Pod jednolitym, 'bezbarwnym niebem nie wiedział, gdzie północ, ale miał pewność, że osiedLe, autostrada, miasto, wszystko to razem znajdowało się dokładnie z tyłu za nim. Ścieżka, którą tu przyszedł, biegła itam właśnie, między wielką sosną o rudawej korze a gęstwimą wysokich krzewów z dużymi liśćmi. Dalej wispiiinała Się stromo i ginęła z oczu w gęstym mroku pod drzewami,



Ścieżkę przecinał zupełnie prostopadle sitrumień płynący z prawa na lewo. Widoczna była jeszcze daleko 'na drugim brzegu, widział, jak wiję się między drzewami i głązami |i dalej biegnie pomad wodą W dolnym biegu strumienia, przełamany jego śliskim lśnieniem, odchodził w narastającą ciemność las. Ponad brzegami, po obu stronach wody, skarpy wznosiły się, po czym opadały przechodząc w polanę pozbawioną drzew, porębę, nilemal łączkę, porośniętą trawą i ^ęsto usianą krzewami i zaroślami.

Znajomy zapach, dla którego nie mógł znaleźć nazwy, nasilił się. Pachniała nim jego ręka – mięta, rozpoznał nareszcie. Ta kępa zieis/ i n.'.^-aju wody, gdzie opairł się rękami, to musu być dzika mtu ta. Zerwał listek i powąchał, potem, rozgryzł, spodziewając się, /e bccfie słodki jak miętowy cukierek. Był ostry, trocnę włochaty, codobny do ziemi, zimny.

To dobre miejsce, pomyślał Hugh. I dotarłem tu. W końcu gdzieś doitałem. Udało się.

Za JP^O plecami pozostał obiad w piecyku, czasomierz kuchenki, telewizor bełkocący w pustym pokoju. Nie zamknięte drzwi frontowe Mo/r nawet otwarte na oścież. Jak długo?

Matka wraca o dziesiątej1

Gdzie byłeś, Hugh? Wyszedłem się przejść. Ale me było cię w domu kiedy przyszedłem do domu. Wiesz jak ja. Tak zrobiło się później niż' myślałem. Przepraszam. Ale nie było cię w domu...

Już był na nogach. Ale w ustach miał listek mięty, moikine ręce, koszulę i dzunsi oblepione liśćmi i muhstym piachem, i serce wołane od rozterek. Znalazłem to miejsce, więc mogę tu wrócić, powiedział do siebie,

Stał jeszcze z minutę słuchając szmeru wody na kamieniach i wpatrując się w nieruchomość konarów na tle wieczornego nieba; potem ruszył z powrotem da-ogą, którą przyszedł, ściLeżką pod górę między wysokimi krzewami a sosną. Droga była z początku stroma i ciemna, potem biegła równo przez rzadki las. Łatwo (r)ię nią szło, chociaż kolczaste (ramiona jeżyn zaczęły go od czasu do czasu w szybko zapadającym zmierzchu. Stary rów ziarnośmięty trawą, właściwie zapadłna albo zmarszczka na ziemi, stanowfcł granicę lasu, za mm zobaczył otwarte pole. W oddali iraa wprost prze11

suwał się w obie strony dziwny migot samochodowych świateł na autostradzie. Po prawej stromie zobaczył jakieś nieruchome światełka. Skierował się 'ku nim przez

pola suchych traw i skamieniałych bruzd i zbliżył się wreszcie do wzniesienia czy 'nasypu, po którym biegła żwirowa droga. Po lewej stronie przy drodze, blisko autostrady, stał duży budynek, rzęsiście 'oświetlony, w przeciwnym kierunku było coś, co wyglądało ma skupisko zabudowań farmerskich. Przed jednym z nich paliło się również światło na frontowym podwórku i Hugh skierował się w tę stronę nie mając wątpliwości, że tam właśnie powdmein 'iść, drogą pomiędzy wiejskimi domami, przy których ujadły psy. Za cmentarzyskiem samochodów biegł ciemną linią szpaler drzew, a dalej pierwsze światła uliczne, wylot ulicy Chelsea Gardens, która przechodzi w Chelsea Gardens Avenue i dalej prosto do centrum osiedla mieszkaniowego. Zaufał pamięci, która bez udziału świadomości zarejestrowała, którądy biegł, i ulica po ulicy bezbłędnie doprowadziła go do Kensington Heights, Pine View Place na Oak Valley Road i do drzwi pod inumerem 14067 1/2 C, które były zamknięte.

Telewizor wibrował śmiechem z puszek. Zgasił go i wtedy usłyszał brzęczenie czasomierza w piecyku; skoczył, żeby go wyłączyć. Zegar w kuchni wskazywał za pięć dziewiątą. Danie z indyka obumarło w swojej małej aluminiowej farumiencie Usiłował się do niego zabrać, ale okazało się skamienie. Wypił szklankę mleka, po litra jogurtu z jagodami, zjadł cztery kromki chleba z masłem, dwa jabłka, wziął z pokoju torebkę orzeszków, zasiadł przy stoliku w kuchni i pogryzając je rozmyślał. Droga do domu była długa. Nie patrzył na zegarek, ale musiała mu ziać chyba z godzinę. I na pewno spędził godzinę albo więcej przy struirienu i trochę czasu, nawet 'biorąc pod uwagę, że biegł, musiało upłynąć, zanim tam dotarł, nie był w końcu sprinterem na długie dystanse. Przysięgłby, że jest dziesiąta, może nawet jedenasta, gdyby zegar kuchenny i własny zegarek nie przeczyły temu jednogłośnie.

Ne ma nad czym łamać głowy, dał sobie z tym spokój. Wykończył orzeszki, przeniósł się do pokoju, zgasił światło, włączył telewizor, natychmiast go wyłączył i usiadł w fotelu. Fotel zadygotał i zaskrzypiał, ale tym razem bardziej mdierzyło go nieprzysto12

sowamie tego sprzętu do jego funkcja niż własna (niezdarna ociężałość. Miał świetne samopoczucie po 'biegu. Zamiast odrazy do siebie czuł politowanie dla biednego dziadowskiego grata. JDlaczego uciekł?. Dobra, nie ma co tego wałkować. Rzez całe życie nie robił nic innego.

Ale uciekać i dokądś dotrzeć to było coś nowego. Do tej pory nigdzie nigdy nie dotarł. Żadnego miejsca, żeby się ukryć, żadnego miejsca, żeby być. Aż w końcu przypaść twarzą do ziemi w miejscu takim jak to, w dzikim, ukrytym zakątku. Jak gdyby wszystkie przedmioty, osiedla dwurodzinnych domików, supermarket dla zmotoryzowanych parking używane samochody podjazdy huśtawki białe kamienie jałowce atrapy plasterków bekonu papierki po gumie do żucia w pięciu różnych stamach, gdzie mieszkał przez ostatnie siedem lat, jak gdyby to wszystko było w gruncie rzeczy nieważne, nietrwale, nie w sposób, w jaki życie być powinno, gdyż

zaraz za tyn; wszystkim, tuż za krawędzią, istniała cisza, samotność, woda płynąca o zmierzchu, smak mięty.

Nie pij tej wody. Ściek. Tyfus. Cholera. Nie! To była pierwsza czysta 'woda, jaką piłem. Wrócę tam ii, dio diabła, będę ją pił, kdedy mi się zechce.

Ruczaj. W stanie, gdzie chodził do szkoły średniej, powiedziano by „strumień”, ale słowo „ruczaj” wypłynęło z głębszych zakamarków mrocznej pamięci. Cieniste słowo odpowiednie dla ciem-tetej wody, dla rwących, migotliwych nuritów, które syciły jego umysł. Przez ściany pokoju, w którym siedział, dochodziły niewyraźne odgłosy programu telewizyjnego z mieszkania na górze, przez koronkowe firanki padało światło ulicznej latarni i od czasu do czasu rozsiane kręgi od reflektorów przejeżdżającego auta. W głębi pod tym niespokojnym, niecichym półświatłem była cicha 'ustroń, potok. Od tej myśli jego umysł pożeglował starym nurtem' rozmyślań. Gdybym poszedł tam, dokąd chcę iść, na uczelnię, i 'pogadał z ludźmi, może są jakieś pożyczka dla studentów bibliotekarstwa felbo jak zaoszczędzę trochę i dostanę może stypendium... i stąd coraz dalej, niczym łódka dryfująca wśród wysp, nie tracąc z oczu brzegu wędrował w przyszłość bardziej 'odległą, wymanzoną. Gmach z szerokimi schodami, wewnątrz schody i przestronne sale, A wyso13

kle okna, ludzie cisi, zagłębieni w cichej pracy, zadomowieni wśród me kończących się półek z książkami, jak w umyśle zadomowione są myśli. Biblioteka Miejska i wycieczka szkolna zorganizowana w piątej klasie dla uczczenia Krajowego Tygodnia Książki, dom i przystań jego tęsknoty.

–Co ty 'robisz po ciemku? Telewizor nie włączony? I drzwi wejściowe mi zamkną etę na zamek! Dlaczego światło się nie pali? Myślałam, że (nikogo nde ma. – I zaraz potem "znalazła danie tz lin-dyka, które inie dość głęboko wepchmał do kubła na śmieci pod zlewem. – Co jadłeś? Dlaczego, na małość boską, to wyrzuciłeś? Nie możesz przeczytać przepisu? Pewnie złapałeś g'rypę? Weź lepiej aspirynę. Słowo daję, Hugh, ty naprawdę imię dajesz sobie iż niczym, rady, najprostszej rzeczy inie potrafisz załatwić. Jak jr- mooą spokojnie wyjść gdzieś po pnący, do przyjaciół, żefcy chociaż (trochę się odprężyć, skoro jesteś taki nieodpowiedzialny? Gdzie są orzeszki, które kupiłam dla Durbiny na jutro? – I chociaż z początku patrzył na nią jak na fotel, po prostu jak na istotę imeprzyłgt cisowa-na, która 'bardzo się stara spełniać funkcję zupełnie dla isi.^i nieodpowiednią, nlie mógł długo spoglądać na nią spokojnie ze swojego cichego miejsca – został jak zwykle zapędzony w róg, spętany, aż w końcu mógł już tylko przesilać słuchać i wykrztusić „w 'porządku" i – kiedy włączyła telewizor na asitatnią reklamę filmu, który chciała obejrzyć – powiedzieć „dobranoc, mamó". I uciec, i schować się w łóżku.

W poprzednim (mieście, w małym domu towarowym, gdzie Hnigh awansował ze stanowiska roznosiciela na kasjera, panował pełen luz, był czas, by pogadać i poobijać się na zapleczu, ale w supermarkecie Sama dnteres iszedł całą parą, każdy

miał ściśle określone odczucia i ani chwili wolnej. Nieraz wyglądało, że kolejka skończy się na najbliższym kliencie, ale zaraz podchodził następny. Hugh opanował technikę myślenia po kawałku i po trochu – nie była to najlepsza metoda, ale jedyna mu dostępna. W czasie dnia pracy mógł trochę pomyśleć, o ile zatrzymywał myśl do następnej okazji;

myśl czekała na jego powrót jak wiemy pies. Ten pies czekał dzdś ma mego, kiedy się obudził, i szedł za mim do 'pracy merdając ogonem. Chciał (wrócić do potoku, do m)iejisoa mad potokiem i mieć dość czasu, zęby przez chwilę tam zostać. Koło dziesiątej trzydzieści, kiedy podliczał starszą panią v/ ortopedycznym bucie, która płaciła iza chleb i margarynę bonami żywnościowymi i jak zwykle nie omieszkała udzielić iinformacji, że puszka łososila kosztowała swego czasu foziesięć centów, a teraz tak skandalicznie podrożała, bo wszystko wysyłają iza granicę przez tem program pomocy dla krajów socjalistycznych, zaświtała mu myśl, że najlepszą porą do pójścia nad potok będzie nie wieczóo:, lecz ranek.

Matka ze swą rnową przyjaciółką Durbiną zgłębiały wspólnie jakąś odmianę okultyzmu. Osifaatnio jeździła do Durfbiiny co najmniej raz w tygodniu. Mógł więc liczyć ma wieczór, ale tylko jeden w tygodniu, a do tego nie mógł przewidzieć który i ciągle byłby w strachu, że nie zdąży do domu przed jej powrotem.

Nie przeszkadzało jej, gdy za dnia pierwsza wracała do domu, ale jeżeli uważała, że powinfen być, a go nie było, albo jeśli wracała po ciemku do pustego domu, sprawa nie wyglądała dobrze. A ostatnio również wtedy, kiedy zostawała w domu sama po zapadnięciu zmroku. Na wyjście wieczorem mię było zatem sensu liczyć, zupełnie jak na studia wieczorowe, po co więc o tym myśleć.

Ale ramo wychodziła do pracy o ósmej. Wtedy pójdzie nad potok. Zawsze to są dwie godziiny. W ciągu (dnia mogą się tam kręcić ludzie, myślał (w południe, kiedy jego kasę numer siedem przejmował Bili na czas przerwy), mogą być ludzie alibo tabliczki z napisem, „własność prywatna, przejścia nie ma”, ale zaryzykuje. To miejsce nie wyglądało na często odwiedzane przez ludzi.

Do domu dotarł o zwykłej porze, za piętnaście siódma wliczo-rem, ale matki me było ii nie telefonowała. Siedział sobie i czytał gazetę, marząc o tym, żeby mieć 'coś do pogryzania, na przykład orzeszki, takie jakie wykończył poprzedniego wieczoru, te, które matka chciała wziąć jutro do Durbmy, to znaczy dzisiaj. Do diabła, pomyślał, mogłem mimo wszystko iść nad potok. Podniósł się z tym zamiarem, ale nie mógł przecież iść teraz nie wiedząc, kiedy ona wróci. Postanowił zrobac sobie obiad, ale inie znalazł nisc takie15

go, ma co miałby ochoitę; wyjadł jakieś resztki, rozcieńczył puszkę mrożonego soku pomarańczowego i wypluł. Polała go głowa. Miał ochotę poczytać coś i pomyślał; dlaczego nie kupię sobie samochodu, żeby skoczyć do bibl'ioteki, dlaczego ja nigdzie nie wychodzę, dlaczego imię mam samochodu. Tylko że jaki byłiby z iniego pożytek, skoro pracuje od dziesiątej do szóstej i musi siedzieć wieczorami w domu?

Obejrzał w telewizji kronikę tygodnia, żeby 'odgrodzić się od tego ipsa 'we własnej głowie, który zwrócony ku n'iemu szczyrzył zęby i warczał.

Zadzwonił telefon. Głos matki był ostry:

–Tym razem chciałam się upewnić, zanim wyjadę do domu – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Tej nocy w łóżku usiłował przywołać Jałkieś pocieszające obrazy, ale zarniieniło się to w udrękę; w końcu uciekł się do starych rojeń – pomyślał o kelnerce, z którą się widywał, kiedy miał piętnaście lat. Wyobrazził sobie, że ssiie jej piersi, i 'w ifen sposób doprowadził się do orgazmu i leżał potem rozbity.

Rano wstał o siódmej izamiast o ósmej. N-ie uprzedził miałki, że •ma zamiar ws'tać wcześniej. A ona mięę lubiła zarrian w rozkładzie dnia. Siedzała w pokoju dziennym z filiżanką kawy i papierosem, w telewizji leciał dziennik poranny, pomiędzy jej podkreślonymi ołówkiem brwiami rysowała się pionowa zmarszczka. Na śmiiadanie Tobila sobie tylko kawę. Hugh lubił ŚTliadamia, lubił jajka, bekon, szynkę, grzaniki, rogaliki, ziemniaki, parówki, grejpfruty, sok pomarańczowy, naleśniki, jogurt, zupy mleczTle, co się nawinęło. Dodawał do kawy mleko i cukier. Matka twierdziła, że widok, odgłosy, zapachy jego śniadaniowego ceremoniału przyprawiają ją o mdłości. Między kuchnią a pokojem dziennym 'nie było drzwi, mieszkanie miało rozkład otwarty. Hugh 'starał się poruszać cic-ho i 'nic sobie nie smażył, ale na niewiele się to zdało. Przeszła koło niego, tóiedy siedział przy stole kuchennym, usiłując bezgłośnie jeść płatki kukurydziane. Wrzuciła filiżankę i spodek do inierdzewnego zlewu rJpeiowiedziała;

–Wychodzę do pracy. – Usłyszał w jej głośnie przeraźliwie

wysoko dźwięk, zgrzytliwą ositirosc, którą określił (nie słowami) jako ositrze noża

–Dobra – powiedział nie odwracając się i usiłując nadać swemu głosowi łagodne, neutralne, nijakie 'brzmienie Wiedział, że wła-sin'ie jego głęboki głos jego rozirniały, jego wielkie stopy i grube paluchy jego ciosk<sup>1</sup>^ zmysłów\*- diało ^ą dla matki me do zmesremia i doprowadzają]ą do '37a'u

Weszła, zaraz chociaż była dopiero za dwadzieścia pięć ósma. Usłyszał warkot silnika, zobaczył, jak niebieski japoński wóz przejeżdża koło okna, 7vbko

Kiedy podszedł do zlewu zęby pozmywać, zauważył, ZP spodek jest wyszczerbiony a liliTanka od kawy ma obtłuczone uszko W żołądku go kręciło na widok tego drobnego przejawu pasji Stał -Ł rękami na krawędzi zlewu, z otwartymi ustami, przestępując z nogi na nogę, jak rrrał w zwyczaju, gdy był roztrzęsiony Wolno wyciągnął rękę, odkręcał kurek z zimną wodą, puścił wodę Obserwował jej wartki, czysty strumień, napelniający i przelewający isię przez obtłuczoną filiżankę

Pozmywał naczynia, zamknął m' eszkame i wyszedł Na prawo Oak Valley Road, na lewo w Pme View Place i prosto Spacer był przyjemny, powieit/r/e miłe, wie'ko upalonego dima jeszcze są nie zamknęło Szedł szybkim, rozkołysanym krokiem a gdy mimął dziesięć czy dwanaście domów, wy dostał SiŁ z zasięgu humorów maltiki Ale w trakcie marszu zenkinał na zegarek i opadły go wątpliwości, ozy zdąży dotrzeć nad potok, zanim trzeba 'będzie wracać, zęby ma dz esiątą zdążyć do pracy Jakim cudem (poprzedniego wueozortu dotarł do potoku, pobyl tam jakiś czas i wrodził w ciągu zaledwie dwóch godzin? Być może dzisiaj zboczył i me szedł najkrótszą drogą albo w ogóle zmylił kierunek Ta część jego umysłu, która inie posługiwali się słowami w myślęń? u, puszczała mimo te wątpliwości

1 niepokoję prowadząc go od ulicy do uhcy przez jaikieś pięć mai Kensmngton Heights, Sylyan Dęli i Chelsea Gaatdeins kfu zwirowej drodze nad polami

Ten wielki budynek przy autostradzie to była fabi Widać było sifąd tył ogromnej wielobarwnej reklamy do łańcuchów odgradzających fabryczny parking i

2 – Miejsce poc7ttku J n

wzimesiimd.ia w dół, usiłując dojrzeć pola wyzłocone słońcem, które wdział 2 samochodu. W porannym świetle (nie miały tego uroku. Zachwaszczone, niegdyś uprawne, ale już mię oranie ami •nawet nie użytkowane jako pastwiska, bezpańskie. – Czekał na przedsiębiorców budowlanych. Tiablioa "zakaz zWałki" 'sterczała z rowu za-rośmiiętego ostama obok 'zardzewiałego podwozia samochodu. Na krańcu pól kępy drzew rzucały cienie na zachód, poza nimi ciągnęły się lasy, indebieszczając

się w zadymionym, prześwieconym słońcem powietrzu. Minęło w pół do dziesiątej, zaczynało przygrzewać.

Hugh zdjął dżinsową kurtkę, otarł pot z czoła i policzków. Stał minutę patrząc w kierunku lasów. Gdyby poszedł dalej i tylko napił się wody i od razu wrócił się do powrotu, to tak prawdopodobnie spóźniłby się do pracy. Zaklął głośno 'ze złością, odwrócił się i ruszył z powrotem żwirową drogą koło obskurnych wiejskich domów i szkółki drzewek czy plantacji choinek, czy co to tam było, skrót do Chelsea Gardens i przemierzając szybkim krokiem kręte bezdłżewne uliczki między parkingami, trawnikami, domami, parkingami, trawnikami, domami dotarł do supermarketu Sam's Thrift-E-Mart za dziesięć dziesiątą. Był spocony, czerwony i Donna powleczła na zapleczu:

–Zaspało ci się, Buck.

Donna była osobą mniej więcej czterdziestoletnią. Miała 'masę ciemnorudych włosów i ostatnio zrobiła sobie modną fryzurę z lokami i grajcarkami, nadającą jej wygląd dwudziestolatki z tyłu i sześćdziesięciolatki z przodu. Miała dobrą figurę, złe zęby, jednego złego syna, który pił, i jednego dobrego syna, który był kierowcą rajdowym. Dubiała Hugh'a i rozmawiała z nim, kiedy tylko była okazja, opowiadając mu – czasem od kasy (lek) kasy, ponad wózkami i 'klientami – 10 zębami, o synach, o raku teściowej, o ciąży swojej siłki i komplikacjach tej ciąży; oferowała mu szczeniaka, opowiadali sobie treść filmów i programów telewizyjnych. Mówiła na niego Buck od pierwszego dnia w pracy – Buck Rogers w dwudziestym pierwszym wieku, założę się, że jesteś za młody, żeby pamiętać prawdziwego – roześmiała się z tego paradoksu. Tego dnia powiedziała:

–Zaspało ci się, Bucik. Ale wstyd!



–Wsitałem o siódmej – odparował.

–No to dlaczego biegłeś? Para z ciebie bucha. Stał nie Wiedząc, co odpowiedzieć, wreszcie uchwycił się tego słowa.

–Biegałem – rzucił. – To, wiesz, podobno dobrze robi.

–Faktycznie. Był nawet o tym jakiś bestseller. Jak jogging, tylko trudniejsze. Jak to robisz, po prostu biegasz dziesięć razy koło domu? Chodzisz na jakieś zajęcia sportowe czy jak?

–Talk sobie biegam – odparł Hugh, czując niesmak, że na jej życzliwe zainteresowanie odpowiada (kłamstwem, jednak aini przez chwilę inie pomyślał, żeby opowiedzieć jej o mliejcsu, które znalazł nad potokiem. – Jestem trochę za gruby. Pomyślałem

–sobie, żeby spróbować biegania.

–Możliwe, że jak na twój wiek masz małą nadwagę. Dla mihi fajnie wyglądasz – powiedziała Donna taksując go od sitóp do głów. Hugh był uszczęśliwiony.

–Grubas jestem – powiedział poklepując Się po brzuchu.

–No, może trochę za masywny. Ale popatrz, jaki ty masz kościiec do dźwigatnia tego wszystkiego. Sikąd ty to wzięłeś? TTwoja mama jest taką małą, drobną 'kobietką, taka jest szczupła, aż się wierzyć inte chce, kiedy przychodzi ili po zakupy. Twój taita to

•rnuisii być kawał chłopa, po nim masz tę posturę?

–Aha – powiedział Hugh odwracając się, żeby założyć fartuch.

–Nie żyje już? – zapytała Donna, a w tym pytaniu zabrzmiała macierzyńska powaga, której nie mógł zignorować ani obejść, ale nie był w stanie udzielić dokładnej odpowiedzi Potrząsnął głową.

–Rozwiedli się – powiedziała Doalina wymawiając to słowo jak każde inne i jafko wariant wyraźnie lepszy od śmierci; Hugh, dla którego matiki słowo to było nieprzyzwoite i niewymawialne, chętnie by przytaknął, ale musiał potrząsnąć głową.

–Porzucił nas – powiedział. – Muszę pomóc Billowi ndsiić skrzynki. – I odszedł. Odszedł, udekł, schował się. Za sffcnzyaliki, za atrapy plasiterików bekoinu, za zielone przepierzemie, za mruganie



kas, gdziekolwiek, gdziekolwiek można się schować – żadne miejsce nie jest lepsze od innych.

Ale od czasu do czasu 'w ciągu dnia praicy powracał myślą do wody iż potoku na wargach i w mstach. Tęsikmł za tym, by napić się jej znowu. Łaknął tej wody.

Spożytkował w domu pomysł, który podsunęła mu Donma.

–Pomyślałem sobie, że będę wstawał wcześniej rano, żeby sobie pobaegać – powiedział przy obiedzie. Jedli na tacach przed telewizorem. – Dlatego dzisiaj wcześniej wstałem. Żeby spróbować. Tylko chyba lepiej byłoby jeszcze wcześniej. O szóstej albo o piątej. Kiedy nie ma samochodów na ulicach. I jest chłodniej. I nie będę ci w ten sposób zawadzał, kiedy się zbierasz do pracy. – Zaczęła przyglądać mu się czujnie. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, żebym wychodził przed tobą. Trochę kiepsko się czuję. Sterczeć przy -kasiie cały dzień ito średnia g'imnastyfka.

–Lepsza niż sterczeć gdzieś przez cały dzień przy biurku – burknęła, a jego zaskoczył jej zamaskowany atak; od miesięcy. od czasu jak wyprowadzili się z poprzedniego miasta, nie wspominał o studiach bibliotekarskich ani o żadnej pracy w bibliotece. Być może miała na myśli pracę biurową w rodzaju swojej własnej. W jej głosie nie było ostrza noża, chociaż brzmiał dostatecznie ostro.

–Czy będzie ci przeszkadzać, jeśli wstanę rano i wyjdę z domu parę godzin wcześniej? Mogę wracać przed twoim wyjściem do pracy, a śn'iadainiie zrobię sobie, jak już wyjdiesz.

–Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? – odparła spozierając na swoje szczupłe ramiona, żeby poprawić ramiączka letniej 'sukienki. Zapaliła papierosa i zapatrzyła się w ekran telewizora, na jakiegoś reportera relacjonującego katastrofę samolotową. – Masz całkowitą swobodę wychodzenia i przychodzenia, w końcu sikończyłeś dwadzieścia lat, masz prawie dwadzieścia jeden. Nie musisz pytać mnie o każde głupstwo. Nie mogę o 'wszystkim decydować iza ciebie. Jedyńce żądam kategorycznie, żebyś nie zostawiał pustego domu wieczorem. Przedwczoraj przeżyłam okropny szok, kiedy •zajechałam i wszędzie było ciemno. Jest to (kwestia zdrowego rozsądku i jakiegoś względu na innych. Doszło do tego, że człowiek nie może już być bezpieczny we własnym, domu – zaczęła się |pod20

niecąc, trącała co chwila usitnik papierosa paznokciem kdiuka. Hugh siedział spięty, bojąc się wybuchu, ale nie odezwała się więcej, pochłonięta telewizją. Nie miał odwagi ciągnąć tematu. Rozeszli s'ię do swoich pokoi ime zamieniając już ani słowa. Normalnie groźba hysterii wystarczała, by zrezygnował z tego, co chciał zrobić, obojętne, co to było, ale teraz nie miał wyjścia. Czuł pragnienie, musiał się napić.

Obudził się o piątej i stojąc przy łóżku naciągnął koszulę, zanurzył jeszcze ocknął się na dobre.

Mieszkanie w tym niecodziennym oświetleniu brzasku wydawało mu się nieznanym. Nie zakładał butów, dopóki nie znalazł się na stopniach przed domem. Promienie słońca padały poziomo na boczne uliczki, spoza bloków mieszkalnych. Oak Valley Road leżała w świeżym błękitnym cieniu. Nie wziął marynarki i dygotał z zimna. W pośpiechu źle zawiązał sznurowadło i musiał walczyć z supełem, jak mały dzieciak spóźniający się do szkoły, wreszcie wystartował. Równym truchtem. Nie lubił kłamać. Powiedział, że idzie pobiegać, więc biegł.

W niecałą godzinę, to biegnąc, to idąc, gdy brakowało mu tchu, i z coraz większym trudem zmuszając się do podjęcia biegu, dotarł do lasu po drugiej stronie ugoru. Przystanął pod koronami drzew i spojrzął na zegarek. Była iza dziesiąta szósta.

Chociaż drzewa były niezbyt gęsto, w lasie było zupełnie inaczej niż na otwartej przestrzeni, trochę jak inaczej jest w pomieszczeniu i na dworze. Kilka jardów w głąb gorące, jaskrawe, wczesne słońce było całkowicie odcięte, z wyjątkiem rozsznitych drobiny i plamek światła na liściach i ziemi. Od kiedy zostawił za sobą osiedlowe uliczki, nikogo nie spotkał. Żadne płaty trawy wyznaczały tutaj granice, chociaż na skraju lasu trafiały się przegnione paliki z popłatanymi drutami. Między drzewami i krzewami widać się niejedną zatartą ścieżkę, ale on szedł bez wahania. Dostrzegł resztki blaszanej puszki pod drapieżnymi pędami jeżyn nie opodal ścieżki, ale żadnych kapsli po piwie, żadnych puszek po oranżadzie, kartonów, prezerwatyw, pudełek po kleenexach, papierków po cukierkach. Rzadko kto tu przychodził. Droga skręcała w lewo. Szukał wysokiej sosny z rudawym, łuszczącym się pniem i małe nieba dojrzał ciemne zarysy jej górnych konarów. Ścieżka zwinęła się i prowadziła

do dół, mroczniejąc, ziemia ugięła się miękko pod stopami. Wszedł pomiędzy sosnę i wysokie zarosła, niczym w bramę wiodącą nad potok. I oto były polany po tej i po tamtej stronie strumienia, bieg i śpiew wody, i chłodne powietrze, chłodny, pełen łagodności, przejrzysty półmrok późnego wieczoru.

Stał u progu, nad ciemnym mrocznym drzewem. Jeżeli się obejrzy, pomyślał, między drzewami zobaczę słońce. Nie obejrzał się. Szedł naprzód, powoli.

Przystanął nad brzegiem, żeby odpiąć zegarek. Duża wskazówka stała, zegarek zatrzymał się dwie minuty przed szóstą. Potrząsnął nim i schował do kieszeni dziesięć, zawinął rękawy koszuli powyżej łokcia i ukląkł na oba kolana. Powoli i spokojnie wychylił się do przodu, opuścił głowę, wparł głębiej w mulisty piach nadbrzeża i pił rwącą wodę. Kilka jardów w górę strumienia tkwił w brzegu wystający płaski głaz. Podeszedł i usiadł na nim, wychylony do przodu, żeby trzymać rękę w wodzie. Kilkakrotnie przeciągnął mokrymi rękami po twarzy i włosach. Skórę miał jasną, woda była zimna, zauważył z przyjemnością, że przeguby i dłoń zanurzone

w wodzie zrobiły się czerwone jask (konserwowy łosoś. Woda była ciemna, ale przezroczysta, 'niczym przydymiony kryształ. Na piaszczystej mieliźnie pod osłoną głazu rozciągały się ławice kamyków, woda wyostizala ich kolory i warstwy. Przypatrywał się kamykom i przezroczystemu krętemu biegowi nurtu nad nimi i znów usiadł na skalnej półce i zapatrzył się w bezbarwne niebo. Nie było tam żadnego ruchu. Miał ciągle wrażenie, że w pobliżu czarnego, ostrego 'czubka sosny ima wzinjia^iemu iza potokiem, widzi kątem aka gwiazdę, ale kiedy spojrzal wprost, stała snę niewli-doczna. Długo siedział bez ruchu ponad pędem i muzyką wody, objawszy kolana rękami. Gdy tak siedział nieruchomo, przenikał go chłodny wietrzyk błakający się mad potokiem. Wstał w końcu, objął się rękami i powędrował z biegiem istr umilenia, trzymając się brzegu, tuż ponad piaszczystym skrajem. Spoglądał na wszystko z beztroską, swobodną uwagą, nie pozbawioną ostrożności, obserwował ziemię, skały, krzewy i drzewa, ciemniejszy las po drugiej stronie wody. W dole strumienia, gdzie oprócz zarośli rosła graba, szorstka brawa, osiigajaca wysokość trzech, czterech stóp, ziemia

była mniej wilgotna i pulchna. Krzewy rosły tutaj rzadko i trawiaste przestrzenie między nimi wyglądały jak małe ogrody albo pokoje bez dachu. Można by rozbić obóz w jednym z nich, pomyślał Hugh. Jeśli ma się namiot – ale czy w lecie potrzebny jest namiot? Wysitarczy śpiwór. I coś do gotowania. I zapalki. Ogniisko można by rozpaść na piasku, na łasze pod skalnym nawisem. Ale czy itutaj można palić ogień? Jeśli się nie zamierza gotować, nie jest właściwie potrzebny, ale ogniisko to jakiś punkt centralny, to ciepło... I wtedy można by tu spać, spędzić całą noc pod gołym niebem przy szumie wody.

Wędrował dalej, zatoczył szerokie koło wokół poliany, często przystając, żeby przyglądać się temu i owemu, i dumać. Jego myśli tutaj były mieszkaniowe, swobodne i swobodne, w dalszym ciągu nacechowane pewną dozą, przyjemnej zresztą, ostrożności, był to przecież obcy teren, dziki. Wrócił w końcu do skalnego występu, 'uklął raz jeszcze, żeby się napić, wstał i ruszył dziarsko ku bramie między wysokimi krzewami i sosną, obejrzał się raz jednem i opuścił to miejsce.

Ścieżka była sitroma, (niewyraźna, szło slię -noą z tirudiem. Gałęzie uderzały go po twarzy, musiał odwracać głowę, zamykać oczy. W którymś momencie źle skręcił i poszedł przez zagajnik, którego przedtem nie widział, i zarośnięty jar, w którym rosły kępami rachityczne dirzewka. Wynurzył się na skraju pół koło głębokiego rowu pełnego śmieci i zeszłorocznych 'badyla, prosto na olśniewające słońce wschodu, ma jaskrawe, ostre włoźmiie dnia. Potarł czoło, które piekło 'od uderzenia jeżynowym pędem, i pogmerał w kieszeni, żeby wyciągnąć 'zegarek. Wskazówka posuwała się (znowu i wskazywała godzinę szóstą osiem. Oczywiście m-usiało być późmdej, stała przecież przez cały ten czas nad potokiem, ale chyba zdąży do domu przed ósmą. Ruszył więc, nie biegiem, bo nie miał nastroju, żeby wysilać się i sapać, lecz szybkim, równym marszem. Myślał przebywał ciągle w ciszy zakątka nad 'potokiem, wolmy od niepokoju ii rozterek. Rześki i zadowolony szedł na przelaj przez ugory, wzniesienie, zwirową drogą między ponurymi wiejskimi domami, minął zadrzewioną farmę, dotarł do rogu Chelsea Gardens i dalej ulioa za ulicą aż do Oak Valley Road nr 14067 1/2 C. Otwo23

rzył sobie drzwi i natknął się na matkę w perkalowym szlafroku wpatrującą się w niego. Dopiero co wstała. Zegar kuchenny pokazywał za pięć siódmą. Jego zegarek pokazywał za cztery siódmą.

Usiadł przy kuchennym stole przed 'wielką miską płatków kukurydzianych i dwiema brzoskwiniami i zabrał się do jedzenia, bo był głodny; mijając ostatnie dwadzieścia domów myślał głównie o jedzeniu. Jadł, 'ale głowę miał zaprzątniętą czym innym. W jaki sposób, skoro godzinę zajęło mu dojście do strumienia, godzinę pobyt tam i

godzinę droga powrotna, zmieścił się między piątą a siódmą? A było to... Jego umysł stanął okoniem. Zgarbił się, spuścił głowę, poczuł, jak sprzeciwi zaciska mu pierś, ale siłą przebił isię przez słowa: był wieczór, tam nad potokiem. Późny wieczór. Zmierzch. Pojawiały się gwiazdy. Dotarł tam o szóstej rano, w dzień, i odszedł o szóstej rano, w dzień, a kiedy tam był, był późny wieczór. Wieczór którego dnia?

–Napijesz się kawy? – zapytała śmiała. Jej głos był schrypnięty od sinu, ale nie brzmiał ositro.

–Aha – przytaknął Hugh w dalszym ciągu pogrążony w zadumie.

Powtórnie uzupełnił rriskę płatkami, nie chciał mic pachcie, dopóki (miała jes+ v-/ domu TUP chciał sobi^ zawracać głowy goto-womiem. Siedział z łyżkom w ręifcu, za c\*u ma^y.

Matka okrągłym grstem postawiła prz^d nim żaroodporny kubek. – Proszę, wasza wysokość.

–Ęki – użył słowa, które przy kuchennym stole zastępowało "dzięki" i jadł dalej ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń.

–Kiedy wyszedłeś? – usiadła po drugiej stironie stołu ze swoją filiżanką kawy.

–Koło piątej.

–Biegałeś przez cały tem czas, przez dwie godziny?

–Czy ja wiem. Trochę posiedziałem.

–Z 'początku nie powinienes przesadzać z tymi ćwiczendami. Zaczynaj pomału i stopniowo zwiększaj dawki. Dwie godziny to za dużo jak,na początek. Możesz sforsować serce. Będzie jak z tymi, co 'odgarniają śnieg z podjazdu pierwszego dnia, kiedy zaczyna padać, i mrą setkama.

–Wszyscy na tym samym podjeździe? – zamruczał Hugh z błędnym spojrzeniem "wyrwanego ze snu człowieka.

–A gdzie biegasz? Tak po prostu w kółko i w 'kółko? To musi śmiesznie wyglądać.

–No, w pewnym sensie dookoła. Po tych pustych uliczkach. – Wstał. – Idę pościelić łóżko i w ogóle. – Ziewnął przeraźliwie. – Nie przyzwyczajony jestem zrywać się tak wcześnie. – Spojrzał w dół na matkę. Była taka mała i wątła, taka spięta i rozjątrzona, że miał ochotę poklepać ją po ramieniu albo pocałować we włosy, ale ona nie cierpiała dotykania, zresztą robił to nie tak jak trzeba.

–Nie ruszyłeś kawy.

Popatrzył z góry na pełen kubek, posłusznie wypił kawę kilkoma długimi łykami i powlókł się do swego pokoju.

–Trzyma] się – powiedział.

Nie wracałby tam, gdyby miał smak wody. Musi pić tamtą wodę, żadna imna nie ugasi jego pragnienia. Inaczej, mówił sobie, trzymałby się z daleka, 'bo coś było w tym wszystkim niesamowitego. Zegarek przestawał tam chodzić. Albo on sam był nieinormany, albo działy się rzeczy niewytłumaczalne, jakieś cuda z czasem, 'sprawy w rodzaju J d tych, które interesowały jego matkę i jej przyjaciółkę okultystkę, a którymi on sam nigdy nie był zainteresowany ani nie uważał ich za potrzebne. Zwykły bieg zdarzeń był wystarczająco dziwny, po co gmatwać go jeszcze bardziej, życie nie powinno być bardziej skomplikowane, niż było do tej pory. Pozostawało jednak faktem, że jedynym miejscem, gdzie jego życie wydawało się wolne od komplikacji, było miejsce nad potokiem, i musiał tam wrócić, żeby zyskać spokój, i myśleć, i być sam, i pić wodę, kąpać się w tej wodzie.

Za trzecim razem postanowił pobrodzić. Zdjął buty. Potok wydawał się całkiem płytki, ale wpadł w dołek i zamoczył siłę do połowy uda; rozbryzgując wodę wyszedł na brzeg, zdjął dżimisy, koszulę, spodenki i nagi wszedł powtórnie do zimnej, szumiącej wody. Na największej głębi sięgała mu zaledwie do pasa, ale w jed25

nym miejscu mógł popływać na odległość kilku wyrzutów ramion. Zanurkował. Silne prądy popychały go, włosy unosiły się luźno wokół głowy w dziwnym, ciemnym, przyzwoistym pod-wodnym świetle. Płynął ocierając sobie kolana o niewidoczne kamienie, opierał się rękami i 'nogami" o miękkie niewidoczne powierzchnie, walczył z huczącym białym, nurtem między głazami, gdzie prąd rwał bez opamiętania. Wynurzył się z wody niecierpliwym szarżującym bawółem, dygocząc i przytupując z zimna i rozpierającej energii, wytarł się do sucha koszulą. Od tej pory pływał zawsze, ilekroć



slię tam znalazł.

Przychodził nad potok tylko wczesnym rankiem, więc uznał, że inie będzie mógł spędzić itam mocy, jak to sobie wymarzył na początku. I rzeczywiście nie mógł, bo tam nocy nie było nigdy. Zawsze było jednakowo. Żadnych zmian. Zawsze późny wieczór. Czasem miał wrażenie, że jest trochę widniej albo trochę ciemniej niż poprzednio, ale nigdy mię miał oo do tego pewności. Nigdy nie widział wprost przed sobą gwiazdy koło wierzchołka wysokiego drzewa, ale był przekonany, że tam jest, zawsze w tym samym miejscu. I zegarek nie chodził. Czas Itutaj stał. Była to jakby wyspa, którą czas mliczym wody rzeka opływał bokami, jakby głaz ma plaży, którego mię zalewa przyływ. Można było tam przyjść, przebywać, ile dusza zapragnąć, i wyjść dokładnie w tej samej chwili, w której się przyszło. Albo prawie w tej samej. Kiedy z uczuciem, że spędził tam godzinę lub więcej, wynurzał się znów na światło dzienne, według zegarska upłynęło parę minut. Może zegarek nie zatrzymywał siłę, może szedł bardzo wolno, iczas 'był tam immy – wkraczając na polainę wkraczało się w inny czas, zwolniony. Był to absurd, niewart, by się nad nim zasitiamawliać.

Za czwartym, czy piątym nazem został nad potokiem dłużej, pływał, rozpałił ognisko i siedział pnzy nim; w pracy już we wczesnych godzinach popołudniowych był jak pijamy, nieomal zasypiał. Gdyby jednak zanocował w miejscu nad potokiem, nie musiałby obywać siłę 'bez snu dwadzieścia godzdn 'bez przerwy. Żyłby podwójnym życiem. Mógłby przeżyć dwa życia w obrębie jednego, żyć dwukrotnie dłużej w tym samym 'czasie. Układał selery na wystawie, kiedy zaświtała mu ta myśl. Roześmiał się i zauważył,

ze drżą mu ręce. Jakiś klient lustrując wzrokiem warzywa, kościsty staruszek, spojrzawszy na pieczarki po dwa dolary dwadzieścia cztery centy i powiedział: „Powinno się dać maudzielkę pomyleńcom, którzy faszerują się proszkami uspokajającymi”. Hugh [mię wiedział, czy uwaga dotyczyła jego, pieczarek czy jeszcze czegoś innego.

Poświęcił pirzerwę obiadową na wyprawę do sklepu sportowego z przeceną w centrum handlowym po drugiej stronie autostrady. Lwią część swego tygodniowego zarobku wydał na materac, zestaw dań turystycznych, dobry scyzoryk z dwoma ostrzami i pomysłowy zestaw do gotowania. Już w drodze do kasy za-wroczył i wziął jeszcze tam plecak z odrzutów wojskowych. Kiedy upychał pakunki z jedzeniem do plecaka, uświadomił sobie, że nie może tego nabrać do domu. Matka nigdzie dziś 'wieczorem mię wychodzą. Będzie w domu, kiedy on wróci. Co to mia wszystko znaczyć, Hugh, po o kupiłeś plecak i jeszcze ten śpiwór, to kosztuje mię pieniądze, jeśli chce się (kupić coś porządnego, (kiedy ty właściwie masz zamiar używać tego całego drogiego ekwipunku? To niema, że kupił to wszystko, że (kupił cokolwiek. Co słu w ogóle strzeliło do głowy? W spiekocie zawlókł cały majdan do Sam's Thnift-E-Mart, zamiknął w chłodni na zapleczu i poszedł do kierownika zwolnić się z pracy o godzinie wcześniej.

–A to z powodu? – spytał kwaśno [mężczyzna skulony w biurowym pokoju zaśmieconym pustymi opakowaniami po jogurcie owocowym i śmierdzącym tymże starym jogurtem A cygarami.

–Moja matka jest chora – powiedziała Hugh.

Przybladł przy tych słowach i pot wystąpił mu na twarz.

Kierownik utkwił w nim wzrok, nie wiadomo – zaniepokojony

czy obojętny. Patrzał długo, w końcu powiedział "okay" i odwrócił się plecami.

Hugh wychodząc z biura kierownika miał uczucie, że podłoga

i ściany uskakują i chwieją się. Świat zrobił się bały i maleńki

jak białko jajka, biały oka. Był chory. Ona 'była chora, tak, była chora i potrzebowała pomocy.

Przecież'jej pomaga, Boże kochany, czego nie robię, o jeszcze

mógłbym zrobić. Nigdzie nie chodzę, nikogo mię znam, nfię studiuję,  
pracuję blisko domu, żeby wliedzUała, gdzie jestem, siedzę w domu

co wieczór, siedzę z nią przez soboty i 'niedziele, robię wszystko, co mogę robić jeszcze?

Jego siamoodkarżafme, wiedział, było niesprawiedliwe, ale inie miało zinaczeffnia, czy było sprawiedliwe, czy me; był to wyrok; nie ma od niego ucieczki. Zasibrajkował mu żołądek, zawroty głowy nie ustawały. Praca szła jak z kamienia, bez przerwy popełniał te same bezsensowne pomyłki. Był piątek, popołudniowy sizozyt. Dopiero dziesięć po piia'tej zdołał odejść od kasy, a i to tylko dzięki Donne, która ofiarowała się go zastąpić.

–Chory jesteś, kochiainie? – zagadnęła go, kiedy jej przekazywał (kluczyki do kasy. Nie miał odwagi powtórzyć tego samego kłamstwa, żeby zinowiu nie pożywiło się prawdą.

–Sam nie wiem – powiedział.

–Uważaj na silelbie, H'ugh.

–Dobrze.

Poszedł ma izaplecee do magazynu objając się niezdarnie o zastawione póm. Wydobył z chłodni plecak i materac i popędził uli-eaimi na wschód, nie na zachód, w strome fabryki farb, ugorów, bra-^ my. [Musi się tam dostać. Wszystko będzie w porządku, kiedy się tam znajdzie. To jego miejsce. Tam było mu dobrze.

Od pól buchało żarem jak z pieca. Spływając pdtem, z językiem jak kołek Hiugh dobrnął z wysułkiem do lasu, pozostawiając za sobą skwar i jaskrawość dnia w miarę jak ścieżka opuszczała sftę w dół, aż przelkiroczył próg zmierzchu. Złożył swój ładunek i ruszył tak jak zwykle prosto nad brzeg strumienia, ukląkł i pił. Potem ściągnął przepooone ubranie i wszedł do wody. Zaparła mu dech boleisinia ekstaza przy zetknięciu z zimnem, z nafporem i siłą, i wirem prądu, iż porowatym naskórkim sikał pod stopami i dłońmi. Wśliznął się w głębszą wodę, zanurkował, pozwolił się unieść, woda 'była w mim, 'on był w wodzie, jednia mroczna radość, wiszysitko macie odeszło w niepamięć. – ^

Wyplłynął nlic me widząc przez własne włosy, umosii się przez chwilę pod kręgiem bezbarwnego, bezchmurnego nieba, aż wreszcie. gdy chłód dojął go do szpiku kości, stanął ma dnie (i rozbryzgując ^wodę wyszedł 'na brzeg. Wchodził zawsze cicho, z mamaszczeniem, a wychodził hałaśliwie, rozsadzało go życie. Wytarł się od stóp do

głów, naciągnął dzinsy i zasiadł koło plecaka, żeby go uroczyście otworzyć. Rozbije obóz, ugotuje sobie obiad. Rozłoży poślanie, tam, pod osłoną krzewów w wysokiej trawie, i położy się, i zaśnie nad płynącą wodą.

Obudził się pod ciemnymi drzewami z głową pirzepelnioną aro-matem mięty i trawy. Lekki wietrzyk muskał mu twarz i włosy niczym ciemina przezroczyta ręka.

Było to dziwne, powolne przebudzenie. Nic mu się nie śniło, a jednak miał wrażenie, że śnił. Ogarnęło go uczucie ufności i wiary w siebie. Od chwili, gdy położył się i usnął na tej ziemi, należał do f miej. Nie spotka go nic złego. TjCugat Jego krajna.

Wsitał i umył się w potoku; klęcząc na skalnym nawisie nad wodą 'rzucił okiem 'na bladą ruń polany po drugiej stronie, na ciemną masę zarośli i liści, czystość nieba ponad drzewami!. Wstał i przeprowił się przez potok, na bosaka, tym razem nie wchodząc tto wody, lecz skacząc z kamienia na kamień, aż 'ostatnim długim susem dosięgnął! piachu na przeciwnym brzegu. I po tej stronie, na zarośniętej skarpie za piachem, rosła mięta. Rytualnym gestem zerwał listek i rozgryzł go. Mięta z dalekiego 'brzegu była taka sama jak z bliskiego... fOranaca nie istniała^ To wszystko był jego kraj. Ale na ten raz wystarczy; dalej dzisiaj nie pójdzie. Część przyjemności przebywania itutaj płynęła stąd, że mógł wsłuchać się i być posłuszny impulsom i nakazom pochodzącym z własnego wnętrza, 'nie 'zniekształconym przez zewnętrzne presje i przymus. W tej uległości pierwszy raz od czasów wczesnego dzieciństwa czuł przejaw wolności, spokój siły. Na razie wołał nie zapuszczać się dalej. Kiedy zechce pójść – pójdzie. Żując listek mięty przeprowił się długimi, (równymi krokami 'z powrotem na drugą stronę strumienia.

Ubrał się, zwinął starannie śpiwór, wepchnął w jamę pod krzakiem i zamaskował ją skrupulatnie. Plecak z jedzeniem ulokował w rozwiidlenm drzewa – czytał kiedyś, że tak się robi, żeby zabezpieczyć żywność przed czymś – niedźwiedziami? mrówkami? mrówkojadami? Uznał, że talk 'będzie lepiej, niż zostawić go na gołej ziemi, po czym uklął, żeby jeszcze raz napić się z potoku, i odszedł.

Dotarł na Oak Valley Road o siódmej wieczorem tego dnia,

w którym wyszedł z pracy o piątej piętnaście. Matka nie przyrządziła obiadu, twierdziła, że jest za gorąco, żeby gotować; pojechali do baru na hamburgera, a później do kina.

Myślał, że przez całą noc nie izmroizy oka, skoro wyspał się nad potokiem, ale w łóżku spał mocno, tyle że obudził się szybciej i łatwiej niż zwykle, o wpół do piątej, przed wschodem słońca, też w mroku, tylko innym, w mroku poranka. Kiedy dotarł do lasu, słońce wzbiło sdę w jasnym, wspaniałym przepychu lata. Zapomniał o mm, gdy zszedł w dół w kradną wieczoru, spokojny, lecz pełen entuzjazmu, zdecydowany przejść wodę i zbadać teren, żeby poznać królestwo mię mieszczące się w gramcach rozsądku, ale niewątpli-we, własne miejsce, własną krainę. Ukląkł nad czystą, zimną wodą i pił. Podniósł głowę 'zmad wody, aby popatrzeć, którędy^ iść, i zobaczył zwróconą ku sobie po drugiej stronie Łamiącego, krętego, nieprzerwanego biegu strumienia kwadratową tablicę, przybitą gwoździami do słupka zatkniętego w brzeg; czarne słowa 'na białym tle:

## **"WSTĘP WZBRONIONY – PRZEJŚCIA NIE MA".**

### 2

Może brama jest teraz stale izamkniięta, zamknięta na zawsze;

może zniiknęłą. Chodzić do Pimkusowych Lasów i do miejsca, gdzie powinna być, i natrafiać cna bezmyślne światło dnia, zakurzone (krzaki, rów i wreszcie ogrodzenie z drutu kolczastego biegmące przez najbliższe wzgórze, żadnej ścieżki w dół, żadnego przejścia; ne było sensu próbować ciągle na nowo. Kiedy przejście zosiłało zamknięte po raz pierwszy dwa lata temi, isitała w mliejscu, gdzie powirmo się znajdować, i usiłowala je otworzyć siłą woli, usiłowala sprawić, by sde otworzyło, (nakazywała to. Wródiła inastępnego dania i jeszcze następnego, i siedziala skulona, i płakała. Potem, po tygodniu, gdy ptrzyszła ponownie, przejście znów łbyło na miejscu i przeszła przez nie łatwo jak dawniej. Ale na to nie mogła liczyć. Bramy może znowu nie być. Przez całe miesiące nawet nie próbowała; niemądre były tiakie próby. Czula się jak głuptas, jak smarkacz, który usiłuje

się bawić w chowanego sam ze sobą. Ale brama była tam. Przeszła przez nią w mrok.

Szła naprzód rozglądając się podejrzliwie na 'boki i stąpając laik, jakby ziemia była dywanikiem, który może jej zostać wyszarpięty spod stóp. Potem opadła im (kolana i ręce i ucałowała ziemię przyciskając do niej twarz. nczym ssące niemowlę.

–Talk – wyszeptła – tak. – Wsiadała, wyciągnęła siłę jak najwyżej ku niebu i podeszła do brzegu, uklękła, z pluskaniem obmyła twarz i dłonie, i całe ręce, napiła się, odpowiedziała nią donośny, przeciągły śpiew wody. – A więc jesteś, a więc jestem, tak. – Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na skalnej półce, siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczami, żeby nic nie ronić ze swojej radości.

Upłynęło tyle czasu, ale nic się nie zmieniło, nic nigdy się nie izmiieinało.' Tutaj było zawsze. Powinna robić to, co zwykła robić przed przejściem rzeki, od kiedy jako trzynastoletnia dziewczynka odkryła miejsce początku; od czasu gdy wkopała cztery kamienie pod isitoarym drzewem w górze rzeki, mogła to 'robić, czcić ogień B. tańczyć bez końca. Są tam do tej pory. Nic ich -nie poruszy. Cztery (kamienie ułożone w kwadrat, czarny, niebieskoszry, żółty, biały i popioły ze spalonej ofiary, 'drewnianej figurki, którą siania wy-(rzeźbiła. Wszystko to niemądra dziecinada. Ale rzeczy, które lu-dzie robią w kościele, też nie są mądre. Istnieją powody, żdbym je robić. Będzie tańczyć swój taniiec bez końca, jeśli zechce, nie usta jąć, na tym właśnie ten taniiec polegał, nie miał końca. To było miejsce, gdzie robiła, co choLała. To było miejsce, gdzie była sobą, tylko sobą. Była w domu,! w domu... nie, ale w drodze do domu, nareszcie znowu w drodze, teraz mogła iść, teraz pójdzie przez troistą rzekę i na ciemną górę, do domu.

Stanęła na skalnej półce i z rozpostartymi! szeroko 'ramionami, z dłońmi stulonymi, jakby trzymała w nich dzwoneczki albo naczynia z wodą czy ogniem, tańczyła na skale, ruchy jej były szybkie, kołyszące, posuwiste, tańczyła aż do plaży, aż 'do przeprawy, aż – stanęła jak wryta.

Kilka jardów w dół rzeki, poniżej przeprawy, w kręgu kamieni ułożonych na piasku zobaczyła popiół ogniska. Nie 'opodał wala31

ły się przybory turystyczne i pakumkii. na pół mkiryfte pod 'zwisającymi gałęziami czarnego bzu. Plastik, stal, papier.

Bezszelestmie postąpiła krok do przodu. Popiół był jeszcze gorący, wyczuwała swąd spalenizmy.

Nikit tutaj nie przychodził. Nikt nigdy. Jej władne miejsce. Brama dla niej, ścieżika

dla niej, dla niej jednej Kto z ukrycia śledził jej taniiec i naśmiewał się? Odwróciła się szukając wzrokiem, napięta, gotowa odeprzeć wroga – "No, wychodź stamtąd, no, już!" – gdy wtem targnął nią ostry strach zapierając dech w piersi: ujrzała sunące ku niej przez trawę białawe ramię nadnaturalnej wielkości...

...monstrualny, wycelowany w nią przedmiot to był bury śpi-wóir, ktoś leżał w śpiworze na trawie pod krzakami. Ale szok był tak silny, że osunęła się na ziemię i przykucnięta 'kołysała się całym ciałem, aż oddech powrócił i sprzed 'oczu aniikła biała chmura.

Wówczas 'niezwykle ostrożnie wstała i wpiła wzrok w zadrzewiony brzeg rzeki. Mogła tylko stwierdzić, że śpiwór leży nieruchomo. Jeśli zrobi jeszcze jeden krok do przodu, zostawił odcisik stopy ma miękkim piasku. Wycofała isię na skalną półkę, przez nią przedostała się na murawę i zatoczyła krąg obchodząc od tyłu krzak czarnego bzu, aż intruz znalazł się dokładnie na limit wzroku. Biała, nalama twarz, poziba'wiona przez sen wyrazu, rozluźnione szczęki, bezładnie rozsypane jasne włosy, długu, pagórek śpiwora miczym wór na odpadki, niczym psie łajno leżące w ukochanym miejscu, na ziemi, którą całowała, w jej własnej kramie ain.

Stała, równie nieruchoma jak ten śpiący człowiek. Potem odwróciła się raptowme i poszła krokiem szybkim ii lekkim, bezszelestna w swoich tenisówkach, ku przeprawie i na drugą stronę po znajomej szachownicy z kamieni, nad radoaną wodą, stamtąd na przeciwległy brzeg, prosto na południową drogę; nie biegła, nie przyspieszała, lecz szła marszowym krokiem, szybkim, równym, sprężystym, pozostawiając drogę za sobą. Szła patrząc prosto przed siebie i przez długi szmat drogi ii długi czas w głowie nie pojawiła się żadna jasna myśl, tylko wir przerażenia i gniewu, a gdy one ustąpiły, jałowa pustka, którą zinała aż za dobrze – nieważne, jak ją inazwać, może był to żal.



Nie miała gdzie pójść, nie miała gdzie być. Nawet tutaj nie ma spokoju, 'nie mia miejsca.

Jednak sama droga, którą szła, mówiła: "Idziesz do domu". Jej skórę muskało powietrze krainy ain, jej oczy spoglądały na mroczne bory. Rytm marszu, rytm wzniesień, spadków i rzek, inieśpiiesany rytm krajobrazu koily smutek, wypełniły wreszcie pustkę. Im dalej wchodziła w mrok, tym pełniej i bez reszty 'należała do mego, aż wreszcie znikła wszelka myśl o krainie dnia i 'nawet wspomnienie intruza w miejscu początku zostało przy tł umilone, 'uwagę jej zaprzętało to, co mijała po drodze, i cel wędrówki. Bór pociemniał, idroga zrobiła się stroma. Długi cz'ais dzielił ją od pobyttu w Górskim Miasteczku.

I długa 'droga. Zawsze zapominała, jak długa, jak trudna. Kiedy pierwszy raz znalazła dirogę, zrobiła przerwę w wędrówce, żeby się przespać md Trzciią Rzeką, u podnóża góry. Od kiedy skończyła szesnaście lat, 'mogła dotrzeć do Tembrebzezi bez odpoczywania, ale było to trudne, 'cały czas pod górę, po imroczmych, stromych stokach, w górę i naprzód, zawsze dalej, niż zapamiętała. Kiedy dotarła wreszcie do wygodnej drogi i łagodnego zakrętu, inie czuła móg, miała poranione stopy i była bardzo głodna. Ale w itym właśnie tkwiła cała frajda, żeby dotrzeć tu zdrożonym, marząc o jedzeniu, ciepłe i odpoczynku ii cieszyć się do głębi serca 'na wtidok rozświetlomych okien w zimnym izakolu górskiego zbocza i nieba, i poczuć dym bierwion z ogmiska, zapach, który od prapoczątków szepcze: „samotność jest poza tobą, przychodzisz do domu". I usłyszeć głosy wymawiające jej imię.

–Irena! – zawołała na ulicy przed podjazdem gospody mała Aduvam z zaskoczeniem, które zaraz przeszło w uśmiech i okrzyk w stronę towarzyszy zabawy.  
– Irena tialohadji! – Irena wróciła.

Irena ścisnęła i huściła dzieciaka, aż zaczął piszczeć, a stadko pozostałych czterech maluchów tańcząc wokół niej wrzeszczało ciem-kimi, słodkimi głosikami, domagając się również uścisków d huściania, aż PaMizot wyjrzała, na podwórze zobaczyć, co 'to za rwetes, i wyszła jej naprzeciw, wycierając ręce w fartuch, spoko jna.

–Wejdz, Ireno, wejdz. Przybywasz z daleka, musisz lbyć zmęczona. – Tak samo przywitała ją za pierwszym razem, kiedy pirzy3 – Miejsce początku 33

szła do Górskiego Miasteczka jako czternastoletnia dziewczynka, głodna, brudna, zmęczona, wystraszona. Nie znała wtedy języka, ale zrozumiała, co Palizot do niej mówi: „Wejdz, dziecko, wejdz do domu".

Ogień iplonął ima wielkim kominie gospody. Cudowny zapach cebula, kapusty i przypraw przenikał izby. Wszystko było tafk jak dawniej, tak jak powinno być, 'nie

licząc drobnych ulepszeń, które należało podziwiać. Podłogi! pokryte były czerwonymi matami ze słomy, zamiast, jak dawniej, piaskiem wysypanym na gołe desiki.

–Ładnie z tym jest, przytulniej – powiedziała Irena, a Palizot zadowolona, ale jak zwykle rzeczowa, odparła:

–Nie wiem jeszcze, czy będą praktyczne. Zaraz zapalimy światło przy (kominku. Sofir! Przyszła Irena! Zostaniesz z nami jaikiś czas, levadja?

Dziecko, to słowo oznaczało ukochane dziecko; dodawali przyrostek "adja" również do imion, spieszczając je w ten sposób.

Bardzo lubiła, gdy Palizot zwracała się tak do niej. Kiwnęła głową, bo postanowiła już wczześniej, że spędził tu dwanaście dni, jedną noc po tamtej stronie bramy. Próbowiła sformułować 'poprawnie pytanie, ale imię od raziu jej się to udało, miesiące minęły od czasu, kiedy mówiła w ich języku.

–Palizot. Powiedz mi. Od kiedy 'tu byłam... czy ktoś przychodził południową drogą?

–Nikt imie przychodził żadną drogą – Palizot udzieliła tej dziwnej odpowiedzi głosem spokojnym i inamasizycznym. Właśnie wynurzył się z piwnic Sofir, do gęstych, czarnych włosów przyczepiła mu się pajęczyna. Był to mężczyzna o barytonowym głosie i je-dnaikowych wymiarach od klatki piersiowej do bioder, tak że można 'by go pociąć na jednakowe kloce jaik pień dirzewa. Przytulił Irenę, uścisnął obie jej ręce i zakrzyknął radośnie:

–Kawał czasu, Ireno, kawał 'czasu, ale przyszłaś nareszcie! Zajęła swój ulubiony pokój, a potem pomogła Sofirowi nosić drwa do kominika. Ułożył je, od razu rozpałił ogień, żeby ogrzać pokój, i przewietrzył go, bo 'czuło się, że dawno nikt \v nim nile mieszkał. Nile było żadnych przy jezdnych. Właściwie to nic niezwykłego, ale isposibrzegła i inne oznaki niewielkiego ruchu w gospodarstwie,

wyraźnie interes szedł słabo. Wielkie cynowe dzbany na piwo wiszące rzędem na ścianie, używane przy biesiadzie kupców albo na powitanie grupy nabywców sukna przybywających z imizm, od dawna nie były zdejmowane. Poszła zobaczyć, jakie zwierzęta są w stajniach, ale nie było żadnych, puste żłoby i boksy. Choć Sofir świetnie gotował, kolacja była niewyszukana, nie podano nawet pysz-mego białego chleba własnego wypieku, tyllko 'gęstą, bruiniatną ow-sdiankę, przyrządzoną ze zbóż, które rosły ma zboczach góry. Sofir i Palizot wyglądali na skłopotanych czy zażenowanych, ale nic wprost nae mówili o zastoju w interesach, więc Irena uznała, że nie należy pytać. Dla nich wciąż była kochanym i hołubionym dzieciakiem, bo nie miała żadnego udziału w ich zmartwiieniach i troskach. Obcowanie z nimi było dla niej zawisze duchowym 'wypoczynkiem; i nie wiedziała, jak postąpić, gdyby zechciała to zmienić. Tak więc rozmawiali o rzeczach nileważnych, ważna była ich miłość.

Po kolacji przyszło kilka osób z miasteczka, aby posiedzieć razem. Sofir usługiwał przy barze w obszernej frontowej izbie dla mężczyzn. Kobiety skupiły się przy komiinku wokół Palizot w przytulnym pokoiku za kuchnią. Popijamo miejscowe piwo i gawędzono;

stary Kadiit wysuszył chyba z ćwierć kwarty jabłeczniaka. Irena siedziała nad malutkim kubkiem piwa, nadzwyczaj mocnego, i pomagała Palizot zszywać kawałki tkanin. Nie cierpiała 'szycia, ale te robótki przy boku Palizot od dawna stały się przyjemnością, jedną z tych, o których myślała i za którymi tęskniła po tamtej strome bramy. Skrawki miękkiej 'kolorowej wełny, blask ognia i blask lampy, pociągła, łagodna, poważna twarz Palizot, przyciszone głosy kobiet i tubalny śmiech Kadita, gwar i narzekania dobiegające z męskiej izby, jej własna 'senność, cisza wielkiego, starego domu mad głową i spokój miasteczkowych uliczek i boru w oddali.

Kiedy zapalono lampy, zaciągnięto kotary, pozamykano okiennice, miało się wrażenie, że na dworze jest noc. Nie otwierała okiennic swej sypialnii, dopóki mię wstała po przespamliu nocy, kiedy niezmienny półmrok wyglądał jak brzask zimowego poranka. Ludzie 'z mliasteczka talk to nazywali, mówili: ranek, południe, noc. Ucząc się ich mowy Irena przyswoiła sobie te słowa, ale nie zawsze przychodziły jej łatwo na języfk. Co mogły znaczyć tutaj? Daremne było

wypytywanie Sofira, Palizot, matki Aduvain Tnijiat czy ininych kobiet, z 'którymii slię przyjaźniła, jej pytania były dla mich 'niezrozumiałe, odpowiadały ze śmiechem: "Ranek przychodzi przed południem, a wieczór następuje po nim, dziecinko" – zawsze ubawliome jej językową nieporadnością i zawsze gotowe jej pomóc, byle mię kwestionować ich lokalnych prawd. Jedynym człowiekiem w Górskim Miasteczku, z którym można było rozmawiać o takich sprawach, był Mistrz. Nieraz zamierzała go spytać, dlaczego tutaj inie ma dnia ani nocy, dlaczego słońce nigdy nie wschodzi, a mimo to nie widzieć gwiazd, jaik to jest możliwe. Nle zagadnęła go jednak nigdy ani słowem. Jakich słów trzeba by użyć w jego języku dla nazwania słońca, gwiazd? A pytanie: „Dlaczego a-ucie ma tu dnia ani nocy?” zabrzmiałoby głupio, gdyż czuwanie oznaczało dzień, a spanie noc i ludzie budzili! się i ipriacowali, i spali tak jak wszyscy po drugiej stronie. Mogła uciec się do wyjaśnień: "Tam, iskąd przychodzę, na (niebie pali się okrągły ogień" – ale po pierwsze brzmiałoby to jak wypowiedź jaskiniowca z hollywoodzkiego filmu, a po drugie, i wa-żniejsze, nigdy mię wspominała, iskąd 'przychodzi. Od samego początku, od kiedy pierwszy raz przyszła do Górskiego Miasteczka, wiedziała, że będąc w jednym miejscu mię mówi się o drugim. Nie mówi aię, skąd się przychodzi, dopóki mię zapytają. Ndkł nigdy o to nie pytał ani' w tej, ani w tamtej 'krainie.

Była przekonania, że Mistrz coś wie o istnieniu bramy. Może wiedział zmacznie więcej; chociaż nie przyznawała się do tego przed sobą, wierzyła, że wiedział w istocie o wiele więcej niż ona. O ile kiedyś sam zechce, wyjaśni jej wszystko. Wiedziała tak mało o krainie aini nawet teraz. Znała tylko południową drogę i miasteczko z jego mieszkańcami, ich zajęcia i waśnie, iich dowcipy i. prace, plotki i zwyczaje, w iktórych poznawaniu była niestrudzona, i ich język, w którym mogła trajkotać godzinami, a którego czasami zupełnie nie rozumiała. Zawsze poza kręgiem dobrotliwego ognia 'rozpościerał się półmrok i cisza, niewytłumaczalna, niezbadana. Dawniej była zadowolona, że tak jesit. Chciała, żefby •inic się nie zmieniało. Ale tym Tazem od pierwszej nocy, od pierwszej chwili przy kominku czuła, że krąg został rozerwany. Nie było już bezpiecznie. Nawet gdyby chcała i gdyfcy oni tego chcieli, Tlie była już dzieckiem.

Po śniadaniu wybrała się w odwiedziny do Trijat, a potem razem z Aduvan i jej młodszym bratam poszli do szewca na drugii krainiec milasta zamieść dobre jeszcze ibuty ich matki do ipodzeltfwa-nlia. Mała paplała przez całą 'drogę, a chłopczyk ćwierkał jak świerszcz. Mieh głowy nabite zasłyszanyimi gdzieś opowieściami o dulchach i innymi!. niesamowitymi historiami i bez przerwy powta-rzali pytanie: czy Irena nie bała się wspimać ma gorę? Virti pobiegł przodem, schował się za gainikiem i wyiskoozył ma nią wydając przeraźliwe okrzyki iniczym świerszcz w ataku histerio, •a oma rewianžo-Wała m'u się odpowiedniimi okrzykami strachu i przerażenia. – Powinnaś upaść – orzekł Yiirti1, ale ma ito me przystała. Po załatwieniu sprawy zostawiła dzneci pod 'opieką ich babki i sikręctiła z głównej ulicy miasteczka w najbardziej stromy ze wszystkich wąskfich, brukowanych zaułków biegnących zboczem wzgórza, tak stromy, ze miejscami przechodził w stopniie, jakby w ataku spazmatycznego śmiechu lub czkawki, by za chwilę piąć się dalej stateczniie, aż do następnego rzutu schodków. Na końcu ulactzki wznosił się mur ogrodu należącego do rezydencji, łuk kamiennej bramy piiękinie rysował się ma tle 'czystego 'nfieba. Irena skręciła w prawo i nie dochodząc do wrólt przystainęła ma chwilę ogarniając wzrokiem

•rezydemcję Mistrza. Dwanaście spadzistych mainisard i dymników rysowało się ciemnymi, 'ostrymi kątami na niebie; okna w łukowatych 'wykuszach, z wfieloma szybkami, znajdowały się każde ona filn-nym poziomie, tak że 'gdyby me tuzy potężne (belki przecinające front, nie można by określić, ile dom ma pięter. Drzwi były masywne, zdobne dwunastoma panelami. Podnosząc mosiężny pierścień-kołatkę i uderzając nim w wypolerowaną mosiężną tarczę uświadomiła sobie, że śniły jej się te drzwi wiele razy, po tamtej strome.

Fimol, 'ochmistrzyni, wyprostowama i miewzrusizona, w szarym stroju z wysokim kołnierzykiem, długimi rękawami ii długą apó-dinicą otworzyła ciężkie podwoje i wprowadziła gościa w progi domu Mistrza. Fimol 'nie uśmiechała się nigdy i Ironia zawsze czuła się przy niej onieśmielona. Postępując za nią odnotowała z uczuciem nie-lojalności, że włosy Fimol zrobiły się białe i że ta szty»wma osoba ma wątłe ciało słabej, postarzałej koNety. Weszły do wielkiej sali.

Wysoka komnata była ośrodkiem rezydencji. Naprzeciwko dłu37

giej ściany, wykładanej dębowym drzewem, znajdowało się dwanaście wysokich okien wychodzących na tarasy ogrodu. Nieliczne dębowe rzeźbione meble, dywany – szkarłatne, pomarańczowe i brązowe, dzieło miejscowych tkaczy – ożywiały pokój, mawet gdy świece nie były zapalone, a przez okna sącył się czysty, niezmienny półmirok. W każdej ze szczytowych ścfi'a'n znajdował się ogromny kamienny komilnelk, a nad mim, wysoko ponad paleniskiem a okapem, wisiał portret: sztywne,

melancholijna dama wpatrywała się okrągłymi, czarnymi oczami przez całą długość komnaty w swego pana, który chował dłoń kalekiej prawej ręki pod płaszczem i odpowiadał jej pasywnym spojrzeniem.

Po prawej stronie 'odleglejszego kominka, obok drzwi wiodących do gabinetów, stał Mistrz zajęty rozmową z kamieniarzem Gahia-rem. Na Irenę wchodzącą wraz z ochmistrzynią padło ozanne, po-sępne spojrzenie przypominające spojrzenia antenatów 'na portretach, ale magle twarz Mistrza zmieniła wyraz, odwrócił się od Gahia-ra i ruszył ku niej z wyoiągmiętymi rękami.

–Irena! A więc jesteś! – powitanie, jakie sobie wyobrażała śmiając na jawie, często, ale bez nadziei spełnienia.

Mistrz czy burmistrz Tembreabrezi był szczupłym, śniadym mężczyzną o jastrzębim nosie i ciemnych oczach. Nosił czarne, znu-działe, staramie wyreperowane spodnie iż samodziału, kamizelkę i marynankę. Szorstki człowiek, człowiek nieprzenikniony. Kochała go od chwili, 'gdy po raz pierwszy ujrzała jego twarz.

Przeprowadził ją z sali do 'swoich gabinetów, gdzie ogień płonął i kotary były zaciągnięte, jakby dla osłony przed szarością zimowego dnia. Podsunął jej krzesło; dzięki odświeżnemu strojowi, dieminoczerwomej spódnicy i samodziałowej bluzce, które Palizo't zawsze dla niej trzymała, zdołała ustiaść bez skrępowania. Mistrz zajął miejsce izia wysokim biurkiem, przy którym pracował ila stojąco – tego człowieka rzadko widywano siedzącego – i zwrócił na (nią iswe skupione oczy. Zaczepnęła 'głęboko tchu i siedziała spokojnie z rękami na kolanach.

–Wiele czasu upłynęło, Ireno.

–Nie mogłam przyjść.

–Droga...?

–Nie mogłam... znaleźć... – nie mogła również znaleźć słów. – Miejsca – powiedziała, aż przypomniała sobie, jak nazywali łuk w murze okalającym domostwo. – Bramy. Była zamknięta.

–Nie (mogłaś iść drogą – powiedział nie zniecierpliwiony J e j zająkaniem, lecz deprymująco skupiony.

–Kiedy... kiedy doszłam do drogi, mogłam nią iść. "i>lku na początku... – Słowa uwięzły jej znowu.

–Bała się.

Jego głos był łagodny, nigdy dotąd nie słyszała go mówiącego tak łagodnie.

–Kiedy przeszłam przez bramę. Nie byłam tak daleko. A tam w miejscu początku, nad rzeką, tam był...

Wypowiedział jakieś słowo miewał szeptem. Słowo, które wykrzykiwał Viri, kiedy w zabawie udawał potwora, a ona nie chciała upaść. I wtedy Aduvan go skarciła. Cicho bądź, nie wymawiaj tego, jedno i drugie nadmiernie podniecone, bliskie łez. Olbrzymie, blade, zniekształcone ramie pełzające przez trawy...

–Jakiś człowiek – powiedziała. – Obcy. Mistrz słuchał w napięciu, czujnie.

–Obcy, taki jak ja. Nie jak ja, ale... – Nie 'umiała wyrazić tego imaczej. Mistrz widocznie zrozumiał, bo raz jeden skinął głową.

–Rozmawiałaś z nim?

–Nie. Spał. Poszłam dalej. Nie chciałam... Bałam się... – Utknęła znowu. Nie potrafiła wytłumaczyć swojej początkowej paniki. Mistrz rozumie z pewnością, dlaczego samotna kobieta ma powody do obaw, gdy spotka obcego mężczyznę. Ale nie potrafiła wyrazić wściekłości!, która ogarniała ją teraz na wspomnienie tamtego strachu i na wspomnienie imięznajomego, jego wielkiego śpiwora, śmietnika plastikowych odpadków, uczucia profanacji i zagrożenia. Zaciśnęła mocno ręce na kolanach. Zmusiła się do mówienia dobywając z wysiłkiem pot^ebnych słów. – Skoro on znalazł bramę, może inni też znajdą, I^rn jest. Tam jo^t dużo, dużo ludzi, tam...

Jeśli Mistrz zrozumiał, co miała na myśli mówiąc „tam”, to jedynym. tego przejawem była chmurna zmarszczka na czole.

**–Musisz strzec swoich miurów, Mistrzu! – powiedziała z sroz-'paczą.  
Powiedziałaby „granic”, ale nie znała itakiego słowa w jego**



języku anii. żadnego słowa oznaczającego ogrodzenie czy płot, potrafiła jedynie mazwać ściany z drę wina lub z kamienia. Przytaknął. Ale powiedział:

–Murów 'nie ma, Ireno. I dla nas, obecnie, nie ma dróg. – Ton jego głosu nakazał jej milczenie. Odwrócił się do 'biurka i ciągnął z tym siamym wymuszonym spokojem: – Nie możemy chodzić drogami. Są zamknięte. Wiesz, że 'niektóre z n^h były dla nas zamknięte od dawna. Południ! owa diroga, twoja droga... my iż niej nie korzystamy. – Nie wiedziała o tym i wpatrywała się w niego nie rozumiejącym spojrzeniem. – Ale mlieliśmy letnie pastwiska i Wysoki Próg, i wszystkie wschodnie drogi, i północną. Teraz nie mamy żadnej. Nikt nie przychodzi od strony Trzech Źródeł ani z wiosek pogórza. Ani handlarze, ani kupcy. Ani nikt z nizin. Żadnych wiadomości z Miasta Króla. Przez jakiś czas mogliśmy chodzić na zachód, pod górę, ścieżkami, ale teraz już też nie. Wszystkie braimy Tembreaireai są zamknięte.

Nie było bram db zamykania. Była tylko Iulica, która prowadziła na północną drogę i południową drogę, i ścieżki biegnące zboczami góry na zachód i na wschód, wszystkie otwarte, bez bram czy barier.

–Qzy Kiról zakazał wam korzystania z diróg? – zapytała Irena przygnębiona, że nie rozumie, li w tej samej chwali wydało jej się zuchwalstwem stawianie pytań Mistrzowi. Nauka jego języka nie przypomiinała w końcu maiuki hiszpań-skibego w średniej szkole – la casa – dom, el rey – król... – Słowo "rediai", które, jak sądziła, oznmaczało króla, nielkoinieczinie oznaczało króla czy to, co ona rozumiała pirzez króla. Jedynym sposobem, by dowiedzieć się, co oznacza, było wsłuchiwać się, kiedy go 'używano, a nie padało ono często, chyba że mówiono o Mieście Króla. Może to rok naukU hiszpańskiego i początkowa sylaba "re" złożyły się na domysł, że to słowo oznacza króla. NiLe miała jak się upewnić. Przejął ją lęk, że powiedziała coś głupiego i świętokradczego. Ciemma twarz Mistrza była od niej odwrócona. Zobaczyła, że położył zadiślnięte ręce na 'bdiurku.

Być może nie dosłyszał jednak jej pytamba.

–Ten obcy... – powiedział odwracając się, ale mię patrząc na śnią, jego głos był cichy, lecz chrapliwy. I on aię zawahał.

–To mogła być... ipomyłka. Pomylił drogę. – 'Tramp, chciała powiedzieć, zbłądził, włóczęga, który zanocował pod gołym melbem, może nie widział w tym miejscu 'nic szczególnego, może to miejsce niczym się dla niego nie wyróżniało, może nie przekroczył żadnego progę i pewnie następnego dnia wyruszy dalej, pewnie autostopem dostanie się do miasta, już go nie ma, to nie jego miejsce. Chciała 'wypowiedzieć>bo wszystko, chociaż nie mogła. Teraz nia'briała pewności, że tak jest naprawdę. Była to prawda, której pragnęła, i której, widziała, Mistrz pragnął także, bo rozumiał ją i rozważał tę możliwość z widoczną ulgą. Może 'nie był całkiem przekonany, ale dała mu jakąś nadzieję, której potrzebował. W końcu spojrział na nią wprost i uśmiechnął się. Uśmiechał się rzadko, krótko i w sposób pełen uroku.

–Nie śmiałem żywić nadziei, że powrócisz, Ireno – "rzekł miękko. Gdyby mogła się odezwać, powiedziałyby tylko "Zawsze cię kochałam", ale nie mogła, zresztą nie było potrzeby. Znał swą potęgę. Był Mistrzem.

–Czy zostaniesz z mami? – zapytał. Czy miał na myśli, że na zawsze? Ton brzmiał powściągliwie, nie była pewna, o co mu chodzi.

–Jak długo będę mogła, ale wrócić mnisze. Siklinął głową.

–A potem, kiedy będę chciała znowu pirzyjść, jeśli 'brama będzie zamknięta...

–Myślę, że się otworzy dla ciebie.

Dziwne miał oczy, 'ciemne niczym pieczary, nic z tego, co mówił, nie zmieniało ich wyrazu.

–Ale dlaczego...

–Dlaczego? Kiedy znasz odplowliedź, nie ona pytania, tóiedy imię ma odpowiedzi, nigdy nie było pytania. – Brzmiało to jaik aforyzm, a powiedziane było oschle i nieco drwiąco, tak właśnie •zazwyczaj z nią rozmawiał; powrót do zwykłego tonu podniósł ją na duchu.

–To j'esit twoja droga – rzekł.

Panowniie odwrócił 'się do 'biurka, dodając niemal obojętnie:

–Południowa 'droga i północna.

–Czy mogłabym pójść na północ? Jeżeli stało się coś złego... Czy mogłabym pójść prosić o pomoc?... Zanieść wiadomość...?

–Nie wiem – powiedział spoglądając nią nią przelotnie, ale po twarzy przemiknął mu błysk uznania czy triumfu i właśnie to pozostało z nią przez cały 'czas, gdy witała się 'i rozmawiała cerek-mio-'niLaJinie podczas poczęstunku z jego matką, do której zaprowadzał ją zgodnie z ustalonym zwyczajem, i potem gdy opuściła dom ii wróciła ma resztę dnia do Trijiat. Po raz pierwszy, pomyślała sobie, chciał czegoś od 'niej. Było coś, co mogła mu ofiarować, gdyby zdołała odgadnąć, co to jest. Była najbliżej tego czegoś, kiedy zaczęła mówić o drodze na północ. Szybko sprowadził rozmowę na inny temat, ale 'nieś talk szybko, łby inie zdążyła dojrzeć błysku satysfakcji, pochwały.

Gdyby ż tylko go lepiej zrozumiała! Musi poważnie przemyśleć, co powiedział półdrwiąco o pytaniach i odpowiedziach. On, tak jak i ona, i onii wszyscy tutaj, podlegał prawom tego miejsca, równie niewzruszonym jak prawo ciążenia, wszechogarniającym, równie niemożliwym do wyłamania siłą, jak trudnym do wytłumaczenia. Powiedział, jeżeli w ogóle cokolwiek zrozumiała, że nikt z mieszkańców oów nie może opuścić miasteczka, bo izafbrainia im tego jakaś siła czy prawo. Ale być może ona, skoro zdołała przyjść do Tembrea-bre-zi, zdoła je również opuścić. A może chciał powiedzieć, że – skoro 'nie należy do tej 'kramy – te prawa jej nie dotyczą, że im nie podlega. Czy to właśnie miał na myśli? Ale ona będzie podlegała jemu. On jest jej prawem. Gdybyż mogła spełnić jego oczekiwania;

gdybyż 'mogła odgadnąć, czego chciał! Gdybyż tylko poprosił tak, żeby mogła mu ofiarować...

To był jej najdłuższy pobyt w Górskim Miasteczku. W dawnych czasach jej wizyty były częstsze, ale krótsze; ostatnio, (kiedy mogła sobie pozwolić na pobyt tygodniowy lmi b dwutygodniowy (jedną noc ialibo sobotę n niedzielę po tamtej stronie hramy), brama była dla ndej najczęściej zamknięta. Najgorętszym jej pragnieniem było ujrzeć ją ołtiwiairlą i przejść na drugą stronę. Teraz (była tu, zadomowiła się, mieszkała w gospodzie i pracowała z Sofirem i Palizot,

odwiedzała przyjaciół, bawiła się z ich dziećmi. Wszyscy, jak zawsze, sadzali ją za stołem, i kiedy akurat zastała ich przy posiłku, wciągali do swoich zajęć, jeśli akurat 'coś robili, pozwalając jej czuć się jak u siebie w domu. Było to źródłem radości z dawnych dni, a i teraz cieszyło. Ale JUŻ 'nie wystarczyło. Miała wrażenie, że wkraść się jakiś fałsz, jakaś niesmaczność. Ten spokój, (który czuła, domowe ciepło były w nich rzeczywiście, ale nie w niej. Przyszła i odejdzie znowu, nigdy naprawdę nie będąc częścią ich życia. Jej pomoc w pracy nie jest im potrzebna. Nie jest im potrzebna i ona.

Chyba że – Jak dał do zrozumienia Mistrz – ale czy rzeczywiście? – mogła, pomóc mi przez przyjdzie tutaj, może przez swoją obecność, lecz idąc dalej.

Początkowo, poimieważ tylko on jeden napomknął, że dzieje się coś złego, mię myślała o tym wiele. Potem, kiedy zauważyła, że istotnie nikt nie przychodzi i nikt nie opuszcza miasteczka, że stada wyganiają tylko na najbliższe pastwiska, że brakuje soli, mąki pszennej, że kiedy Trijia zapodziała gdzieś dobrą igłę do szycia, była bardzo zmartwiona i szukała jej po całych dniach – a więc kiedy zauważyła te i Jeszcze 'wiele innych rzeczy, zrozumiała, że Mistrz mówił prawdę: wszystkie drogi były zamknięte. Ale dlaczego? Przez kogo? Przez co? Raz i 'drugi próbowała pomówić o tym z Soirem, z Trijia, ale 'uchylali się od odpowiedzi. Sofio- zareagował bezsensownym śmiechem, a Trijia takim mieszkrywalnym lękiem, że stało się jasne, iż tego tematu poruszać nie można. Albo był to temat tabu, albo krył w sobie grozę, która zamykała im usta. Rozmawiali wyłącznie o codziennych sprawach i udawali, że nie dzieje się nic złego. Stąd brał się ów wyczuwany przez nią fałsz. Bardzo potrzebowali pomocy, ale nie chcieli się do tego przyznać.

Gdyby tak pójść dalej, za Telmbreabrezi, na północ, w dół ku (nizinom?)

Kilka lat temu, gdy po tamtej stronie wlokła się długa niedźwiedzia, poszła z Sofirem i starym kupcem Hobimem, Jego służbą i klara-wamą malutkich osiołków obciążonych belami materiału najpierw w kierunku północnym do wioski za górskim pasmem, oddalonej o dzień drogi piechotą, a potem do miasta o nazwie Trzy Źródła położonego na podgórzu północno-wschodnim. Spędzili tam dwa

dni, wymienili towary i wrócili; wyprawa zajęła w surmie sześć dni. Pamiętała, w którym miejscu droga skręcała na wschód do Trzech Źródeł, i że 'droga północna biegła prosto aż do ciemnej przełęczy. Jak długo trzeba schodzić w dół, ku nizinom? Jak daleko jest przez nizinę do Miasta, o którym wspominali? Nie miała pojęcia; bez wątpienia w kilka dni wędrówki, ale można wziąć ze sobą jedzenie, po drodze są na pewno jakieś wioski i moasteozka. Na pewno zdoła przebyć rozległe, spowite w półmrok niziny i dojść do Miasta, i poprosić o pomoc dla Tembreabrezi. Jeśli tamci zaoferują pomoc. A może ją także obejmuje zakaz wychodzenia na drogę? Nie mają prawa jej zabraniać. Jeżeli Mistrz poprosi, żeby poszła, pójdzie.

Nie przysyłali po nią. Zaczynała się niepokoić i niecierpliwić. Nie mogła zrozumieć swych przyjaciół, którzy krzycząc się koło oodzieranych spraw nigdy nie wspominając, że coś jest gdzieś w porządku, jak ludzie chorzy na raka, którzy powtarzają: „Czuję się dobrze, czuję się dobrze”, jak jej własna matka, która zawsze mówiła:

"Wszystko jest w porządku", Irena nie chciała tutaj myśleć o tych sprawach i miała za złe, że musi o nich myśleć. Dlaczego oni o tym gdzieś mówią? Dlaczego nie robią czegoś? Na 100 czekają?

Nareszcie nadeszło wezwanie od Mistrza, aby stawiała się na zebranie w jego domu. Już dawniej była zapraszana na takie zebrania. Interesy załatwiano najczęściej w reprezentacyjnej izbie gospody, ale decyzje wykraczające poza kwestie handlowe podejmowano w ośrodku niespiesznych, ciągnących się długo, rozważnych, solennych obrad w sali z dwoma kominkami. Przychodzili zarówno mężczyźni, jak i kobiety i często, choć nie zawsze, Lord Dworu oraz 'ci goście z innych miast, którym pozwalał na to majątek lub urodzenie. Matka Mistrza, Dremorniet, białowłosa i ciemnofka, zasiadała majestajnie w pluszowym fotelu pod portretem przodka z uschniętą ręką. Jeżeli goście byli nieliczni, większość skupiała się wokół niej, pozostawiając miejsce przy drugim kominku na prywatne rozmowy; wtedy było więcej osób, i towarzyszyło im w obu końcach komnaty. Tego wieczoru edeny krąg złożony z kobiet i kilku młodych mężczyzn otoczył pluszowy fotel, podczas gdy trzech czy czterech starszych panów z nabożeństwem

stało przy drugim kominku wokół Mistrza. Oczywiście tego wieczoru nie było nikogo obcego oprócz Ireny. Pozostawała w grupce skupionej wokół matki Mistrza do chwili, gdy przeszedł obok dając im obu znak spojrzeniem. Przybył Lord Horn.

Dremomet zebrała spód'ni|ce i powstała, by powitać gościła głę-bokiem ukłonem; za jej przykładem dygnęły pozostałe kobiety. Lord Horn był szczupłym, sztywnym, siwowłosym mężczyzną. Ale maweit widok drobnej, pełnej poczucia swej ważności starej damy wykonującej z inamaszczelniiem dworski 'ukłon mię wyglądził zrmmych zmiarsizczek 'na jego twarzy. Postępująca ikirok zia 'nim córka, blondynka ubraina w jasne jedwabie, u!kkm.i'fia się z bladym uśmiechem i przeszli dalej. Ich funkcja, pomyślała Irena, polegała ma tym, by kłamiąc się d odbierać ukłomy, woskowe figurka, (puste tyfcuły. Palnem miasteczka był ten, którego nazywano Mistrzem, Dou Sark. Ale tutejsi ludzie byli staroświeccy, łtrzymiali się dawnych zwyczajów i nawyków, stąd mniemamie, że muszą mieć lorda.

Mistrz przechodząc spojrział znów na mn-ą przelotnie, więc podążyła za mian. Ptrzy drugim komimku mężczyźni z miasteczka, którzy doitađ rechotali mczym tłum żab w stawie, temz uroczyście powstali. Lord Horn słuchał, oo do mego mówił Mistrz, z miepo-ruiszoiną twarzą i sądząc z pozorów bez żadnego zailinterewisowianiiia. Córka w tym czasie usiadła w sposób solbie właściwy, wybierając jedynie niewygodne krzesło w całej komnacie, szitywny, wysoki (mebel pokryty spłowiałym brokatem. Siedziała, jakby połksnęła kij, bez ruchu. Na tle jej 'pastelowej inijalkości i beabarwinego chłodu Horna twarz Mistrza była i jasna, i cieirma 'mczym żarzące się węgle.

–Mistrz mówił mi – zwrócił się Lord Horn do Ireny i urwał patrząc na inlią jakby z dużej odległości, jak z oddalonej o kilka mil wieży, przez okima o izmętmiących szybach, które 'nie pozwalają widzieć wyraźnie. – Sark mówi mi, że spotkałaś wędrowca na południowej drodze.

–Widziałam jakiegoś człowieka. Nie rozmawiałam z nim.

–Dlaczego? – zapytał Lord Horn i znowu zamilkł zbierając swe powolne, chłodne słowa. – Dlaczego z nim miie rozmawiałaś?

–On spał. On... był nie stąd. – Brakowało jej słów i w go-rączklowym pośpiechu uchwyciła siłę pierwszego z brzegu. – To był złodziej.

Kolejna długa pauza, trudna do zniesienia. Szare oczy Hor-m, które przywiodły jej ma myśl okna wieży, już ma nią nie patrzyły, ale przemówił iznowu.

–Po czym to poznałaś?

–Po wszystkim – powiedzliiiała i słysząc we własnym głosie obronną zaczepność zawrzała tą samą mściwą pasją, którą odczuwała na widok iintruizia i na każdą myśl o •nii'm. Jakie prawic miał ten stary człowiek do stiawiiiainiLa jej pytań? Jego lordowsfca mość, do diabła z jegio lordowską mością, jednym iż tysiąca określeń tyrania.

–A więc myślisz, że ten człowiek nie był... – długa cisza, jakby Horniowii stale brakowało słów – nie mógł być tym, tym człowiekiem, który...

–Nie nozzimiem.

–Człowiekiem, na którego czekamy – dokończył Horn. Spostrzegła wtedy, że ona. 'wszyscy, stojący tam przy kominku, wpiaitrują siłę w nią i że ich (twarze, 'zimszoziolne, grubo ciosane twarze dojrzałych i starszych ludzi są napięte, błagalne – że proszą o właściwą odpowiedź, o słowo nadziei.

Popatrzy ła na Mistrza szukając w nim opaircia i wskazówki, co powiedzieć. Jego twiarz była nieruchoma, nieprzenikniona. Czyżby jednak niedostrzegalnie prawie potrząsnął głową?

–Człowiek, na którego czekacie? – powtórzyła. – Nie rozumiem. Na co czekacie? Po co czekacie? Ja mogę iść – spojrzła znowu w stronę Mistrza, jego oczy spoczywały teraz nią niej, były wciąż czujne, ale pełne ciepła. Mówiła to, czego pragnął. – Jeżeli nikt z was mię mozie wyjść na drogi, pošlijcie mniie! Mogę zanieść wiadomość. Može zdołam sprowadzić pomoc. Po co czekać na kogoś innego? Ja tu jestem jiuż. Mogę iść do Miasta...

Przeniosła wzrok z Mistrza na Lorda Horna, ale powstrzymał ją wyraz twarzy tego starca.

–Daleka jest diroga do Miasta – powiedział 'swym sipokojnym,

powolnym głosem. – To dłuższa podróż, niż sądzisz. Ale twoja odwaga jest głodna najwyższej pochwały. Dziękuję ci, Ireno.

Cała energia z niej uszła, stała zmieszana, aż w końcu Mistrz ze zmarszczoną brwią odprowadził ją na bok i zrozumiała, że posłuchanie u Pana Gór jest skończone.

W dniu wyruszenia w drogę, rano, wcześniej, sama w SWCJ iiz-debce, otworzyła okieminice i wpatrzyła się w zadumany półmrok 'ponad dachami i kominami miasteczka. Czowała jeszcze ciepło pośłeli, chciało jej isię pospać dłużej, chciało jej się dłużej pozostać. Czy po jej odejściu ibrama zatrzaśnde siłę znowu? Kiedy i czy kiedykolwiek będzie mogła tu wrócić? Powód, który zmuszał ją do odejścia, był błahy, bez.znaczenia. Nne ma jej już całą moc i jeśli dio siódmej nie znajdzie się w mieszkaniu, spóźmi się do pracy... Praca, miesz-'kamiie, moc, ramek – nic z itego wszystkiego nlie miało tu igensu, puste słowa. Ale cóż – było z tym tak jak z tą siłą czy lelkiem, które powstrzymywały mieszkańców miasteczka przed opuszczeniem go, ii chociaż, być może, 'nie miało to sensu, nie mogli się przeciwstawić. Oni mię mogą odejść, ona odejść miusii..

Jak zwykle Palizot i Sofir wstali, by towarzyszyć jej przy o-statnim przed odejściem śniadaniu; Sofir ponadto przygotował dla niej zawiniątko z chlebem i serem na długą drogę powroitną do bramy. Byli 'zatroskani ii nlie potrafili ukryć swej troski. Wiedziała – martwili 'się o nią.

Raz Jeden obejrzała siłę na zakręcie drogi. Okna miasteczka migotały przyćmionym złotem na ciemnym tle barów sięgających dna doliny. Na północy ponad górskim garbem dostrzegła świecącą jaskrawo pojedynczą gwiazdę, w następnej sekundzie gwiazda znikła, zginęła niczym refleks w kropli deszczu albo błysk miki wśród piasku.

Po przeprowadzeniu się przez Rzekę Środkową odpoczęła trochę, zjadła chleb z serem od Soflira i popiła zimną aż do bólu rzeczną wodą; czuła pragnienie sniu, ale nie, ni-'e 'mogła spać, ruszyła dalej. ?0 nie zagrażało jej w lesie, niczego się nie bała, ale nie może



odpoczywać. Mimsi iść. Nie zwalniała lekkiego, szybkiego kroku i w końcu dotarła do ostatniego wzmiiesienia, do grani porośniętej jodłami z ezieirwonawą 'korą, potem "długim zboczem do zarośli rododendronów i pormiędzy inimii dio miejsca początku, do bramy mia polanie. Już z dirugicigo brzegu zobaczyła poczerniały krąg klaniiie-ni, plastikowy worek ukryty pod paprociami, wstrętny śmietnik po dboxowlisSku.

Wycofała się natychmiast w zarośla i z tej 'kryjówki obserwowała teren przez dłuższą chwilę. Człowieka nie było nigdzie wi-diać. Serce uspokajało się 'z wolirna, twarz płoinęła, w uszach dzwoniło. Przeszła przez rzekę, zbliżyła się do kręgu ogimska – było zimne. Kopniakami zdemolowała je i kopiać przetoczyła (kamień po

•kamieniu do wody. Podiniiiosta plastikowy worek i śpiwór, skręciła ku rzece, potem mamrocząc pod nosem "Precz, wynoś się, zjeżdżaj!" przeciągnęła to wszystko przez bramę, ścieżką pod górę, ii zwiałała pośrodku Pinkusowych Lasów, tuż przy drodze. Wróciła szybko na skraj lasu zabierając po drodze z rowu deskę przybitą do słupka. Znak "ZAKAZ POLOWANIA", który jej oczy, jeśli nie umysł, zanotowały dwanaście dni (albo godzin) temu, gdy tędy przechodziła, oderwał się lub zbutwiał. Ze znaleziskiem w rękę wróciła pędem do progu. Dopiero witedy, gdy go przekraczała, przemknęła jej myśl:

"A gdybym tak mnę 'mogła (przejsć?" – ale bez dreszczu spóźnić^ nej grozy. Była zbyt zła, by się 'bać. Złapała kawał zwęglonego drewnia z rozwiakmego ognrska, przeszła przez rzekę i usiadła na głazie z deską na kolaniach. Starannie, czaimymi drukowanymi literami na pobrużdżofliym, splukanym deszczem drzewie wypisała: WSTĘP WZBRONIONY – PRZEJŚCIA NIE MA.

Zatknęła znak na wysokim brzegu, aby górował nad całą polaną i rzucał się w oczy każdemu, kto przejdzie przez bramę. Słupek wszedł dość łatwo w piaszczysty gruinit, ale cała konistrukcja była trochę chwuejna i właśnie niosła kamień, by wbić słupek solidnie,

•kiedy jakiś ruch po drugiej stroite wody zwróail jej uwagę. Zamarła przenosząc spojrzenie ponad lśniącym prądem rzeki. Od progu nadchodził człowiek wprost na nią. Dzieliła ich tylko woda.

Ukląkł na przeciwległym brzegu i ischylił głowę, żeby się napić. Dopiero wtedy zirozurniała, że jej imię spostrzegł. Była dosta –

tocznie blisko wielkich krzaiaków rododendronów, by skulić się i jednym nuchem cofnąć pod 'osłonę ich liści i cienia, które skryją biel jej bluzki i twarzy. Kiedy ponownie odszukała 'wzrokiem męż-czyzinę, stał po drugiej stronie i wpatrywał się w tablicę, jej tłaibięcę oczywiście: **WSTĘP WZBRONIONY**. Serce załomotało jej znowu, a 'usta otworzyły się w bezgłośnym zduszonym śmiechu. Na stojąco był 'taki, na jakiego 'wyglądał w śpiworze, wielkii, ociężały. Poruszył się wreszcie, 'wdrapał ciężko ma iskarpę. Stał i ze wzrokiem utkwionym 'w miejsce, gdzie przedtem było jego ognisko, jego plecak, śpiwór. Postąpił parę kirdków, stanął, patrzył. W końcu odwrócił się wolno, odwrócił się plecami i ruszył w 'stronę brasmy 'między 'wawrzynami i sosna. Irena zacisnęła pięści w triumfie. Znowu sttamał. Zrobił w tył zwrot i ruszył prosto w dół i przez rzekę z ciężkim, potykającym się impetem, który przeniósł go na drugi brzeg w błyskawicznym tempie. Wyciągnął słupek, oderwał tablicę, złamał ją o udo, zwęglonym drewnem umazał sobie mokre ręce, rzucił kawałki ma piach i. rozejrzał się wokół.

–Wy, dranie! – rzucił przez zaciśnięte gardło. – Śmierdzące dranie!

–I 'nawzajem! – powiedział igłocs Ireny, ia 'nogi ją unirosły.

Natychmiast odwrócił się i postąpił w jej stronę. Nie ruszyła się z miejsca, bo nogi odmówiły jej (posłuszeństwa).

–Wynoś się stąd! – powiedziała. – Zjeżdżaj! To jest własność prywatna.

Uporczywe spojrzenie zatrzymało się i przywarło do niej. Stał. Był zwałisty. Twarz miał białą i pustą, bezmyślną. Usta wypowiadały słowa, których nie rozumiała.

Podszedł do 'niej znowu. Usłyszała własny głos, ale nie miała pojęcia, o co mówi. Ciągle jeszcze trzymała 'kamień. Spróbuje go zabić, jeśli j'ej dotknie.

–Nie musisz – powiedział napiętym, cichym głosem, głosem chłopca.

Nie zbliżał się. Odwrócił się od niej i ruszył z powrotem przez rzekę na drugi brzeg, przez polanę, w stronę bramy.

Stała bez ruchu i patrzyła za nim.

Szedł między wawrzynami i isosną i dalej ścieżką. Dziwne to

4 – Miejsce początku 49

było; czyżby nigdy nie patrzyła przez bramę od tej strony? Ścieżka, która pięła się

**tak stromo i po ciemku w światło dzienne, wydawała się równa a. szeroka,  
'wyglądała stąd, zza wody, tak samb jiać ścieżka, krainy zmierzchu. Widziała ją  
daleko w mroku pod drze-waimii i widział/a człowieka, który nią schodzi pod  
gałęziami drzew, wciąż oddalając się w szarym oziemieninym świetle.**

Połamiał tablicę, wdeptał kawałki w błoto i stał w' (koisziuli i dziimsach ociekających wodą po foirsowaimiu potoku, woda ichru-ptała mu w butach.

–Wy, dranie! – powiedział, były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział na głos w miejscu zmierzchu. – Śmierzące dranie!

Wysokie krzaki izaszeleścły i rozchyliły isię. Ktoś 'wychodził •z ukrycia, chłopak, czarnowłosy, chłopak, który się na mego gapił.

–WymSoś slię. Zjeżdżaj – odezwał się chłopak. – To tetrem prywatny.

–W porządku. Gdzie moje rzeczy? – Hugh positąpił krok ina-pirzód. – Poszedł ma nie tygodniowy iziairobek. Co z mimi zrobiłeś?

–Są ttam, w lesie. Nie przymoś ich tu więcej. I zjeżdżaj! Chłopak zbliżył stię o lkrok, pewny swej racjii, 'drwiący, 'pełen meniawiści. Hugh 'nie mógł opanować drżenia.

–Dobra – powiedział – nie mulsiales od razu...

To miie miało sidnsu. Odwirócił się, obsunął zmowu przy brzegu i przeszedł przez strumień, ślizgając się i oczipiając głazów po drodze. Skierował się w stronę bramy. Musi stąd 'wyjść! Wyniesie sę i pójdzie, i mtiigdły mię wróci, wszystko się zawaliło. Jego rzeczy łby-ły tam, w lesie, przejdzie przez bramę, zabierze je d. nigdy miie wrocii.

Ale już przeszedł przez bramę.

Kiedy obejrzał się, zobaczył za sobą półmrok i wodny nurt, i skały, o które aię rozbijał, i przed sobą zobaczył półmrok i ścieżkę biegnącą pomiędzy drzewami. Zgubił drogę, ne było drogi.

Zrobił jeszcze kiLlka kroków, stanął; stał chwilę; potem zawrócił, przeszedł mliędzy wysokimi krzakami z jednej i wysoką sosną o czerwonawej korze z 'drugiej strony i doszedł do miejsca początku.

Tamten, meziruajomy, wciąż stał nią przeciwległym brzegu. Nile chłopak, tylko kobiełta, dzinsy i 'biała bluzka, plamią czarnych włosów, biała, wpatrzona w mego twarz.

–Nie mogę wyjść – powiedział Hugh. – Tam nie mia żadnej drogi.

Rozdziałały ich głośne, łagodne dźwięki wody. Był miękko żarty przestraszony.

–Jeśli znasz to miejsce, mieszkasz tu, powiedz, jak stąd wyjść?

Kobieta ruszyła gwałtownie, przeprowiła się przez potok przeskakując lekko z kamienia na kamień. Stała przy skalnej półce i wskazała w kierunku bramy.

–Tam. Potrząśnij głową.

–Tam jest brama.

–Wiem.

–Tamtędy.

–Tam się 'zmieniło – odparł.

Odwrócił się i przeciął na ukośną polanę, przeszedł między krzakami i sosnami dalej. Nie było ciemnego zarysu ścieżki, tnąc było strome podejście między krzakami i jeżynami. Światła na przodzie. Drzewa stały gęsto, niewyraźne w bezwietrznym półmroku, miękko dobiegał z dala dźwięk poza muzyką potoku za plecami. Obejrzał się w końcu i zobaczył obserwującą go z brzegu postać.

Wrócił. Wyszła naprzeciw przez trawy.

–Ona tam idzie dalej – powiedziała szeptem. – Nigdy tego nie widziałam. Nigdy nie była zamknięta od tej strony... Chodź! – Minęła go zmierzając ku bramie, szybka, gniewna. Poszedł za nią. Chropowaty, czerwony pień sosny otarł mu ramię. Na ciemnej ścieżce jeżynowe pędy chwyciły go za włosy. Ledwie mógł dojrzeć wspinającą się przed nim dziewczynę. Jakiś ptaszek ćwierkał oschle nad głową. Powietrze pachniało dymem, gumą, benzyną, roz4\* 61

grzanym w słońcu sosnowym (igliwiem). Ścieżka pod stopami była sucha. – Tu są twoje klarnety – powiedziała dziewczyna. Plecak a śpiwór leżały w zmierzwionej trawie przy zaroślach.

Popatrzył na nie, jakby sprawdzając, czy czegoś nie brakuje. Nie śmiał się obejrzeć. Bał się, że jeśli spojrzy za siebie, zmrok uniesie się i popłynie za nim. Kobieta, dziewczyna w jego wieku, stała na ścieżce, czarne włosy, czarne oczy, brała twarz.

–Co to za miejsce? – zapytał. – Znasz je?

Nie od razu odpowiedziała, myślał, że miękko 'odpowie 'w ogóle.

–Gdybyś do niego należał, tobyś wiedział – powiedziała szorstkim, cienkim głosem.

–Ja powinienem...

Nie mógł znaleźć słów. Dlaczego stoi tutaj i pozwala się upokarzać? Twarz mu poczerwieniała i zdrętwiała, czyżby płakał? Pomasażował 'dłonią szczękę, zasłaniając usta, żeby 'ukryć wstyd.

–To nie obóz harcerski – powiedziała. – To 'nie miejsce, żeby znosić tu igraby i urządzać obozowisko... To mię park (miejski. Nie wiesz o tym nic. Nie znasz praw. Nie znasz języka, nie znasz ich... To nie jest twoje miejsce. Ty do niego nie należysz. Tu nie jest bezpiecznie.

Nie było w nim gniewu, który by zdusił wstyd. A więc stał i połykał to, co mówiła, by w końcu powtórzyć jedyne, o co mógł po-wdędać:

–Będę musiał tu wrócić. – Głos miał bełkotliwy. – Nie zostawię tego wszystkiego.

Zadygotała z wściekłości niczym skrawek gazety na wietrze, kawałek papieru płonący w ogniu.

–Ostrzegam cię!

Dopiero teraz dotarło do niego znaczenie jej poprzednich słów.

–Czy tam... czy tam są jacyś ludzie? Po długim milczeniu odpowiedziała:

–Tak, są.

Jej oczy skrzyły się dziwnie w 'niespokojnym świetle.

–Oni na 'ciebie czekają – rzuciła swym przytłumionym, drwiącym 'głosem, i nagle wymamęła go gwałtownie i poszła, nie jak oczekiwał, w powrotną 'drogę, ścieżką w dół ku krainie zmiLerz52

chu, ale obok niego, porywcz, szybko wstępując w ranek. Uszła kilka metrów i Skryła ją gęstwina krzewów, jeszcze chwila i ucichł lekki odgłos jej korków.

Hugh, oszołomiony i dotkliwie osamotniony, stał w ciepłym, nieco zapylonym leśnym powietrzu, rozedrganym od miieuistaininego huku odległych silników warkoczących na ziemi i na niebie. Na brunatnym pokrowcu jego śpiwora tańczyła nieustannie plama słońca sączącego się przez liście.

Dokąd teraz iść? Nie ma dokąd.

Był zmęczony. Wyczerpały 'go uczucia – gniew, lęk, żal. Usiadł na ścieżce z ręką na plecaku, jakby go chciał bronić albo dla dodania sobie otuchy. Przerażliwy ból po stracie nie opuszczał go ani nie zmniejszał się.

**Może oma czuje to isamo, myślał. Że ja jej wszystko zabrałem.**

**Nic na to n.ie poradzę. \ Muszę tu wracać. Nie mam gdzie iść, Ona nie ma prawa...  
To nie było odpowiednie słowo, ale nie umiał ltego wyrazić inaczej.**

**Wrócę. Nie zostawię tego wszystkiego. W każdym razie nie na polanie przy 'bramie.  
Mógłbym iść dalej – dalekio w (gorę stiru-mienia. Ona przecież nie chodzi wszędzie.  
Nie ma powodu, żebyśmy się kiedykolwiek spotkali.**

**Chyba że znowu nie będę mógł wyjść.**

**Odmiół się do tej myśli beztrosko. Paniczny lęk, który go ogarnął, kiedy stwierdził,  
że brama prowadzi jedynie dlalej w półmrok, opadł gdzieś bardzo głęboko, za  
głęboko, by wynurzyć się łatwo. Jeżeli znowu coś takiego się zdarzy, mogę  
poczekać, uspokajał się, i przejść na drugą stronę, kiedy ona nadejdzie, razem z  
śnią.**

**Oma jest taka jak ja, pochodzi stąd, ale powiedziała, że tam żyją ludzie.**

**I tą myślą nie zaprzętał sobie długo głowy. Nie muszę się iż Tili-mi spotykać. Nad  
potokiem nigdy nikogo nie było, a ona już poozia. Wracam...**

**Wepchnął swoje rzeczy pod zakurzone kolczaste obrzeża zarośli, wsifcał i poszedł  
ścieżką w dół, przez próg ii w 'półmrok, ku czystej wodizie, nad 'którą w końcu ukląkł  
i zaczął pić. Woda omyła mu twarz i ręce, zmyła wstyd i lęk.**

^ (- To jest mój dom – powiedział ziemi i skałom, a drzewom i z wargami nieomal ma wodzie wyszeptał: – Jestem tobą. Jestem tobą.

Dotarł do Sam's Thinift-E-Mart o dziesiątej i pięć matriut później otwierał stanowisko numer siedem. Dominia popatrzyła na nie-go znad kasy numer sześć.

–Wszystko gra, Buck?

Dla Hugh'a upłynęły dwa dni i trzy noce od chwili, gdy wyszedł z pracy o godzinie wcześniej wczonaj po ipołudim; mię pamiętał powodu, dla którego Dominia mogła myśleć, że coś nie gra.

–Jasne! – odparł.

Zlustrowała go od stóp do głów z dziwną mimą, trochę cynicz-iniie, itrochę z podziwem.

–Wcale iiiie 'byłeś chory – orzekła – miałeś coś lepszego do roboty. – Wybiła cna klasie sześć puszek coM i paczkę koktajlowych herbatniików dla jakiegoś trzęsącego się, sndę ogolotnegoi sta-nuiszka i zwracając się do 'niego i do Hugh'a dodała.: – Czy to nie wspaniale być młodym? Ale nawet igdyby mii dopłacali, me chciałabym przechodzić przez to wszystko jeszcze raz.

Nie zapuszczał stię daleko w dół stłrumiemńa. W tym klieruinku dolina stawała się głębsza; zawsze wydawało się, że jest tam ciemniej. W górę potoku, poczynając od polanki przy bramie, poszycie było rzadsze, miejscami brzegi były łyse, rozległe, piaszczyste. Doszedł do miejsca, gdzie potok, obrośnięty szpalerem wielkich wierzb, zwęzał się ściśnięty czerwoną skałą, która schodziła w jego łożysko ciągiem stopni i uskoków. Ponad spienioną wodą rozlewało się głębokie, wydłużone jezioro. Brzegi były zacienione przez drzewa, lecz samo jezioro leżało otwarte ku niebu. Z tego zakątka emanowało osamotnienie, oderwanie od świata, nikt tu nie docierał. Wynałazł schowek na swoje tłumoczki w rozwidleniu niskiego drze54

wa, tak gęsto obrośniętego drobnolistnym winem, że sam nie dostrzegł pnia, dopóki nie oparł się o niego rękami. Naściągał chrustu na ognisko, głównie gałęzi z uschniętego drzewa sterczącego nie opodal. Na osłoniętym brzegu trochę powyżej uskoku czerwonych skał wykopał w piasku dołek na ognisko. Zdjął koszulę i dżinsy i cicho, wyprostowany, wkroczył do nieruchomego jeziora. Tuż ponad uskokiem skały było tak głęboko, że nie miał gruntu. Pływał z cichą, dojmującą rozkoszą, w końcu gdy zimno stało się zbyt dotkliwe, skierował się ku brzegowi, zdrętwiały, dygocący, i rozpałił ognisko.



Płomienie były piękne w przejrzystym półmroku. Pirzykuała nago, żeby poczuć żar na skórze i w kościach, potem ubrał się i zagotował filiżankę słodkiej czekoladowkawowej mieszanki, którą ktupił z przeceny, i isiedzał popijając ją w spokoju ducha. Kiedy ogniisko dogasło, zasypał je piaskiem, włożył buty i wynuszył zbadać tereny (położone w górze strumienia).

Przychodził teraz codzienime. Polowa życia upływała mu w kirai-nie zmierzchu. Kiedy tam przebywał, nawet oddychał w innym rytmie, intensywniej. Gdy budził się z uśpienia, w które tam zapadał, uśpieni'ia głębszego niż sen, ciemnego i nie do odparcia miczym prądy strumienia, leżał zwykle przez chwilę leniwie nasłuchując, jak woda płynie i szeleszcza liście, i myślał: "zostanę tiu... zostaine jeszioze chwałę..." Nigdy mię pozostawał. Kaedy pracował w sklepie, kiedy siedział w domu, aiie myślał wiele o wieczornej krainie. Była, wystarczało pamiętać o Itym, gdy podliczał siześodzietsięctk>dola-rowe zakupy z działu spożywczego albo gdy starał się uspokoić matkę, wracającą plo ciężkiim dmiu w towarzystwie pożyczkowym, gdzie piriacowała. Ważnie, że była i ze mógł do niej 'wrócić, do ciiszy, która nadawała siłowom znaczenie, do miejsca, które niadawało światu kształt.

Nigdy więcej nie natknął-się nią zamkniętą 'bramę i nie zaprzętał solbie tym głowy. Wifedy musiało to mieć j'akiś związek z dzew-czyną. Pinzez nią to s!ię stało, przez jej obecność i dlaltego była w stanie odmienić sytuację, przejść razem z nim na dmigą stronę. Od czasu dio czasu myślał o niej z obawą, ale i z pewnym żalem. Gdyby nie 'zionęła taką nienawiścią i złością, mogliby pogadać. Pozwolił sobą poniewierać i to był jego 'bład. Mogłaby mu coś opo55

wiedzieć o tej krainie. Najwidoczniej znała ją dłużej i lepiej. Jeśli nawet sama tam ntte mieszkała, znała ludzi, (którzy tam żyła).

O ile byli jacyś ludznie. Sporo o tym myślał w czasie swoich dum'ań w zakątku pod wierzbami. Powiedziała tylko coś takiego:

"Nie znasz języka" i potem kiedy spytał, czy tam mieszkają jacyś ludzie, odpowiedziała "tak" – ale po chwili wahania, jakby zmyślała albo zmuszała się do 'mówienia. Usiłowała go odstraszyć. Kryła się w tym groźba. (Przecież cała radość tkwiła w tym, że był tutaj sam. Był sam, 'nie musiał przestawać z iirmymi, nie musiał przejmować się ich potrzebami, żadaniami, poleceniami.

Ale jacy oni są, ca ludzie, którzy tam mieszkają? Jakimi językiem mówią? Nikt się tu 'me odzywał. Żaden ptak mię śpiewał. W lesie musiały żyć jakieś zwierzęta, ale nie widziało ssie ich, nie słyszało. Nie było powodu, żeby ktoś kogoś niepokoił.

Myślał o tych rzeczach, kiedy siedział w ciszy pod wierzbamsi, pirzy małym, jasnym ognisku mad wodą. Umysł mógł tutaj zatrzymać każdą myśl, mógł ją przetrawiać, miała się gdzie rozpostrzeć. Nigdy n»iie uważał się iza (specjalnie głupttego i w

szkole nieźle sobie radził z przedmiotami, które lubił, ale wiedział, że nią ludziach robi wrażenie nilerozigairniętego, bo nie jest szybki. Jego (umysł ndie potrafił pracować w pośpiechu, na tempo. Tu mógł przyjść i wszystko przemyśleć. I stąd w dużej mierze brało się jego poczucie wolności.

Życie w dwóch światach na przemian, ciągle przekraczalnie progu między Kemiington Heights a krajem wieczoru mogło wprowadzić zamęt, mogło być wyczerpujące, ale tak nie było dzięki sile, którą czerpał z chwał 'spędzonych nad potokiem. Był spokojny, zajęty po prostu i bez (reszty wędrówką, pływaniem, spaniem, myśleniem, odbieraniem zmysłowych bodźców; ten głęboki spokój wyrugował uczucie poszturchiwania 11 popędzania przez życie, w którym nie ma czasu na postawienie sobie pytania, co człowiek robi albo dokąd zmierza, które nile daje czasu, by rozejrzeć się, czy istnieje jakiś wybór, i tego wyboru dokonać. Nawet po tamtej stronie, Jeśli mocno strzegł odnalezionego spokoju, niawet tam zdołał przemyśleć pewne sprawy.

Od chwiiM gdy powiedział, że ma chorą matkę, od 'kiedy usłyszał swój głos wypowiadający te s-łowa, zmuszał się, żefby nAe ucie56

kac i mię chować się przed tą myślą, lecz stawić jej czoło, rozważyć gruntownr.e, jaik bardzo jest chora ii.na czym ta choroba polega.

Trudne to 'było. Wymagało porównań: jak 'gdyby inie była jego matką, jakby była pierwszą lepszą kobietą. Kdimkoiwliek. Kimś chorym.

W przedostatniej i oslfcatniej iswojej szkole miał kolegów, którzy Cały czais szpilkowali się narkotykami. A 'w dziesiątej klasie – tego wspomnienia nie lubił odgrzebywać... dziewczyna, która czasami ściągąła od imiego wypracowania... mię mógł sobie przypomnieć jej imienia... zawsze budziła w nim poczucie wimy, bo toyla taka potulna... tak, zaraiz., miała na trmię Cheryl... pewnego dnia, na tydzień przed końcem 'roku szkolnego za'mlkmęła się w ubiikacji dla dziewcząt i usiłowała wepchnąć siłę do muszli klozetowej. Usłyszał wrzask i zobaczył, jak jakaś dziewczyna na korytarzu zanosy się okropnym, piejącym śmiechem, i jak potem wyciągają Cheryl złożoną we dwoje, różowawa woda ściekała j'ej z włosów, knzyczała wysokim, przemikliwym głosem, a on wraz z innymi stał i przyglądał sdę, podczas gdy ludzie biegli po schodach, żeby zobaczyć. Nikt potem mię wiedział, jak o tym mówić, nikt z ltych, którzy słyszeli krzyk. Było to najgorsze iż dotychczasowych doświadczeń, ale pracując w dziale spożyw.czym można się było napatrzeć rozmalitym ludziom: obrażonym na pieczarki, pomyleńcom w rodzaju złodzie-jaiszka, który próbował wykręcać się łapówką, albo faceta, który zagroził Donnie nożem, kiedy nie chciała przyjąć czeku, bez dowodu tożsamości; czasem zmów ich działaniia 'miały nawet jakiś sens, ale wyglądały całkiem niiedorzeczinie, ima przykład zakupienie czterdziestu ośmiu butelek płymu na robactwo w aerozolu i słoika konfitur. Wszyscy ci ludzie mlieli coś wspólnego, on określał to jako rozregulowanie skrzyni biegów czy

syttichromiu. SddTlik ryczał, ale koła nie miały mapędu. Uitknęli, nie dojeżdżali donikąd. W ciągu ostatnich siedmiu lat matka zmieniała mieszkania trzynaście razy i mieszkała w pięciu różnych stanach; tylko że im częściej się przeprowadzała, tym bardizfiej nie docierała donikąd.

Ale inawet jeśli przypominała tych pieczarkowców czy aerozo-lowców, me było z nilą tak źle jak iż ćpmnamd albo z Cheryl. Utknęła, ale nie utonęła. Towarzystwo Pożyczkowe, wielka firma ma57

•jąca biura w całym kraju, dwa razy zgodziło się na przeniesienie i ciągle dawało jej 'podwyżki. Matka często utyskiwała na swoją pracę, ale 'nie opuściła ani jednego dnia. I w końcu w tym właśnie biurze pozinała swoją nową przyjaciółkę Durbdinę i zmalazia mowę zaimteresowanie, te historie z poprzednimi 'wcieleniami traktowała bardzo s'erio. Czy to było nienormalne? Huigh mię umiał dać jednoznacznej odpowiedzi. Jej relacje nie brzmiały inazbyrt mądrze. Wychodziło na to, że w poprzedinich wcieleniach były zawsze kisięż-'niozkamii lub najwyższymi kapłankami; zastanawiał siłę, kto pracował w kasach pożyczkowych i domach towarowych starożytnego Egiptu. Co prawda mamy skłonność do zapamięty wanna raczej swodch wzlotów. Był to bzik, ale mię gorszy niż większość bzików, którymi ludzie isa opętani: wynika, meczów baseballowych, tndto-waniia giełdowe alulmiimfumi, stare flakony po lekarstwach, rozprze-strzemianie broni niukleamej, Jezus, polityka, irtieskażona żywność, gra na skrzypcach. Ludzie robią bardzo dziwnie (rzeczy. Ludzie są niesamowicie dziwni. Wszyscy. Nie można orzekać choirolby na tej podstawie, że ktoś jest dziwny, bo wyszłoby na to, że wszyscy są chorzy. Jest się chorym wtedy, kiedy nie wchodzą biegi. Dla niej-miejscem, gdzie biegi nile wchodziły, był dom. Im bardziej się o to starała, tym trudniiej jej było funkcjonować; 'me 'mogła zmieść samotności w domu, nie mogła znieść wieczornych powrottów do ^wss-tego mrleszkaalii, żyła w lęku, że ssie obudzi w mocy i nikogo w po-'bliżlu nie będzile. Było z tym coraz gorzej. Gorzej ndż kiedykolwiek. Ale ja to roziumrem, myślał. Tylko co iż tego, że roziumliem? Nic (nie mogę zrobić. Ona mię ma nikogo oprócz minie. Zawsze potrzebuje się kogoś, mawet jeśli ten ktoś nic nie może zrobić. Ona nie ma nikogo poza nim. On

czekał na Hugh'a na rogu naprzeciw szkoły.

–Chodź, zobaczymy, co sde dzieje na szkolnym stadionie – powiedział i Kugh, tznynastoleitmi, w zielonej koszuli, którą wczoraj dostał na urodzimy, zorientował się, że imię chłopaki zauważyły jego tatę, potężnego, jasnowłosego mężczyzmę, wysokiego i barczystego, kitóry świetinie się prezentował w dżinisowej (marynarce wy58

tartej na szwach do bdałości. Miał ciężarowego forda, podjechali •mim na stadion szkolmy i obserwowali przez złotawą mgiełkę kwietniowego popołudnia biegi, skoki w dal, skoki o tyczce. 'Gadali o o-statniej olimpiadzie i o technice skoku o tyczce. Tata

dał mu lek-łolego kuksańca a powiedział:

–Wiesz, Hugh, mam do ciebie zaufanie. Wielsz o tym? Mogę na tobie polegać. Jesteś dojrzalszy niż niejeden ze iznanych mi dorosłych ludzi. Tak trzymaj. Mama musi mieć w kimś oparcie. I to oparcie będzie miała w tobie. [Dla mnie to bardzo ważne, że tak jest...

Hugh me mógł pocałować wielkiej ręka. pokrytej złotymi włoskami, mężczyzmiom wolno się dotykać tyllko przez kuksańce. Nie mógł nawet dotknąć wyfcantego mankieta dżinsowej marynarki. Siedział 'cicho w upojnym cieple uzinania, które spadło ma miłego tak nieoczekiwamie. Następnego dnia po powrocie ze szkoły zastał w kuchni sąsiadkę Joannę, która stała iż zaciśniętymi wargaimti;

matka Hugba leżała bez czucia 'po środikach uspokaja j ących. Ojdiec odjechał ciężarowym fordem pozostawiając kartkę, że dostał pracę w Kanadzie i uważa to za odpowiedni moment do zerwania. Hugh nigdy nie zobaczył tej kartki, zinał tylko parę fraigmencików, które zacytowała Joanna, jak na po-zykład ten "odpowiedni moment do zerwania", i wiedział, że matka przechowuje ją między papie-ramii i fotografiami w sekretarizyku.

Do końca semestru obrywał same dwóje, bo matka zatrzymywała go w domu na wszelkie możliwe lposdby, najczęściej atakieirn płaciziu przy śniadaniu.

–Niedługo wrócę, idę itylko do szkoły. O wpół do czwartej będę w domu – tłumaczył.

A ona płakała i błagała, żeby został. Kiedy zostawał, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić, n. czytał stare komiksy. Bał stię wyjść i bał się odbierać telefony, 'bo mógł własniiie dźwonić opiekun ze szkoły, a matka nie przepadała, kiedy się pojawiał na horyzoncie. Tego lata przeprowadzili się po raz pierwszy, a ona podjęła pracę. Na nowym miejscu.początkowo zawsze wszystko ibriało lepszy obrót.

Od Udedy zaiczyła pracować, w dzień jakoś dawała sobie radę, więc skończył szkołę bez problemów. Ciągle jednak nie mogła so59

bie poradzić z nocą, z ciemnością, z samotnością po ciemku. Dopóki wiedziała, że jest w pobliżu, wiszystiko było w porządku. W kimże innym mogła znaleźć oparcie? A jemu cóż innego pozostało poza tym, że był oparciem? Wszystkie itnine wartości, kitóre sobie przypisywał, ojciec podkopał skutecznie porzucając ich. Nie porzuca się tego, oo potrzebne lub wartościowe. Ale chociaż 'wiedział dokładnie, jak czuła sną Cheryl – jak gównno, które należy splukać – nie zamierzał nic w tej sprawie robić, nlic z tego, co próbowała zrobić Cheryl, bo pod jednym względem był coś wart – 'był użyteczny, a nawet potrzebny: mógł być biliako, kiedy matka tego potrzebowała. Mógł zastąpić ojca. W pewnym sensie.

W dziesiątej klasie wiosną 'trzeba było wyjść ma bacznie a izaraz pierwszego dnia

skacząc o tyczce złamał sobie nogę w kostce. Nigdy nie był dobry w sportach. Wyrósł potężny (i wysoki, ale ciężki, z wiotkimi mięśniami, wiotką skórą.

–Wiesz co, chyba sobie kupię szpanerskń czerwony dres i też (zacznę ganiać po ullicach – powiedziała Donina. – Gdzieś ty podział, Buck, tę swoją dętkę?

Zażenowany, 'zerknął na brzuch, ale chyba rzeczywiście prezentował się lepiej niż kiedyś. Nic dziwnego, przecież co rano przed pracą aplikował sobie długi, szybki! marsz plus dziesięć, dwanaście godzin włączęgi li pływania, i to 'bez solidnego jedzenia. Z aprowizacją w krainie wieczoru miał problemy, które rozwiązywał na ogół w ten sposób, że chodził głodny.

Piteirwsizy wypady w górę strumienia były nieśmiałe i krótkie. Bał się zafblądzić. Kupił kompas, po czym stwierdzał, że mię mimie się nam po(r)ługiwać. Strzałka lałała 'i zmieniała kierunek przy każdym kiroku i chociaż najczęściej wskazywała, że północ jest po drugiej stronie potoku (o ile niebieski! koniec strzałki oznaczał północ!), to nie była to wystarczająca informacja, żeby znaleźć powrotną drogę z wyprawy na dalekie wzgórza. Orientowanie się według gwiazd lub słońca było niemożliwe, bo ich nie było. Co tutaj oznaczała północ? Drzewa rosły tak gęsto, że niepodobieństwem było iść długo w linii piwtej, a nie natrafił dotąd na żadną

otwartą przestrzeń, skąd można by teren ogarnąć wzrokiem. Tak więc penetrował ścieżki i izarośla, kotliny, polamy, pomniejsze do-linki i źródelka na zboczach, zakola i zakręty boru po obu brzegach potoku powyżej wierzbowego zakątka. Uczył się tej cząstki głuszy. Wiele się musiał nauczyć. Nie wiedział nic o puszczy, o tajnikach lasu i roślinach. Drzewa z szyszkami to były sasmy. Drzewa z giętkłimi zwisającymi gałęziami to były wierzby. Znał dęby, jodem olbrzyma dąb rósł na boisku szkoły, do które] ikiedyś chodził, ale żadne drzewo w tej puszczy 'nie było 'podobne do niego. Zdobył książkę o iposipolitych dTzewach i udało mu się zidentyfikować niektóre: jesion, klon, olcha, jodła. Interesowało go i zajmowało wszystko, cokolwiek tu zobaczył i co wpadło mu w rękę. Myślał także o tym, czego jeszcze mię zobaczył i iruie pozmał. Jak daleko ciągnęły siiię lasy, puszcza? Czy miały jakiś kres? Przeszedł wzdłuż stirumie-nd-a kilka mil i mic się inie 'zmiemiało, ani żywej dulsizy, żadnych śladów człowielka. Nie spotykał nawet ptaków a'ni zwierząt; chodaił niewyraźnymi ścieżkami saren, ale nigdy n):e widział sanny, zmiaj-dował czasem porzucone sitare gnialzdo, ale przy trwającej niezmiennie pogodzie w nie zmieniającej siłę nigdy porze dnia i roku mię odezwało się żadne 'zwierzę, nlie zaśpiewał ptak.

Ruczaj – jego towarzysz i iprzewodniik: jałkie są jego 'losy? Mmsi wpadać do jakiejś rzeki albo dalej sam sta'j'e się rzeką i, wielki dzy mały, w ikońcu wpada do morza.

Zaparlo mu dech. Wpatrzył się nieruchomo w ogień, umysł przywarł do tej myśli: morzie 'rozciągające się poza 'brzegami wieczoru. Cliemność, ku której płynęła Ita żywa woda. Spieniony nurt dobiegający kresu zmierzchu i dalej głębia, noc. Noc i wszystkie gwiazdy.

Tak przepastna i mroczna była ta wizja, myśl o gwiazdach tak wstrząsająca, że kiedy zniknęła i zinowu objął wzrokiem znajome skały, ławice piachu, drzewa, konary, wzorzystość liści, swoje obozowi-sko, wszystko wydało się małe ti kruche Jak zabawka, a płaskie jasne niebo 'bardzo obce. Często z powodu wieczornego półmroku nazywał ifen kraj krainą wieczoru, ale teraz pomyślał, że ta nazwa jest błędna. Wieczór zapowiada zmianę, jest przedsiionkiem mocy.

Łagodny wiatr wiejący doliną potoku zmarszczył powierzchnię rozlewiska. Wizja napłynęła znowu: szeroki, zatarty stopień, piróg ziemi i ten srebrny strumień biegnący środkiem w dół, w ciemność, z jakich wysokości, z jakich wschodimch szczytów niewyobrażalnego dmą?

Oszołomiony, usiadł znowu w półmrok'u ze świadomością, że przez chwilę 'wiedział, dlaczego ta woda jest dla niego święta.

–Powiniennem iść dalej – powiedział półgłosem. Od czasu do czasu mówił sam do siebie: jedno słowo lub zdanie w ciągu całego pobytu.

Właśnie się golił i powrócił do pirzowanej czynności. Gdy tu, jak się 'zdawało, mijala cała doba, w świetle dziennego światła 'upływała niepełna godzinna, ale jego zarost rósł według wlanego wycucia czasu, rnie według zegara. Uprościłoby sprawę, gdyby zapuścił 'brodę – w osiemnastym roku życia przysparzała mu zmartwień, teraz jedniak rosła miedziana, gęsta, bujna, tak że matka ciągle zwracała mu uwagę, że powinien się ogolić – ale personelowi Sam's Thrift-E-Mart nie pozwalano nosić bród. Miał dość u-tarczek o włosy, które lubił długie, aż do kołnierzyka. A więc ostatnim przed spakowaniem i pochowaniem dobytku elementem rytuału w wierzbowym zakątku stało sri-ę golenie. Czasem podgrzewał sobie wodę, ale jeśli ognisko wygasło, brał zimną, zaciskał zęby i skrobał zarost; nawet takie zetknięcie z wodą było tam miłe.

W sobotę wieczorem napomknął matoe, że wybiera się "w świat" na całoniedzielną łazęgę. Pogderała jak zwykle, że przy tym rannym wstawaniu robi zawsze tyle hałasu, ale w gruncie rzeczy jej to nie obeszło. Wyszedł o piątej rano taszcząc pod pachą paczkę z drogim prowiantem suchym i liofilizowaalym, który miał wzbogacić jego ekwipunek. Zamierzał zostać dłużej w krainie zmiernych, pójsć dalej, poza znany iteren.

Jak dotąd znalazł tylko jedną ścieżkę, zasługującą na tę nazwę, tę 'wybiegającą z miejsca początku, dokładnie z bramy. Przeprowadził się przez strumień brodem, skacząc z kamienia na kamień, minął ciemne 'zarośla, z których wyłoniła się dziewczyna – kiedyż to było, wiele (tygodni temu. – i zaczął wspilniać się zboczem nad doliną potoku. Ścieżka pięła się kreto, ale w zasadzie prostopadle

do potoku, a był to jedyny kierunek, który, jak sądził, potrafi u-trzymać. Odkrył, że gdy traci orientację w lesie, wystarczy, żeby się zatrzymał i dopuścił do głosu zmysł orientacyjny, który podpowiadał, gdzie z grubsza znajduje się brama – iż tyłu, ma lewo, a tym wzniesieniem czy jeszcze gdzieś indziej – i dotychczas ten zmysł nigdy go nie zawiodł. Jego plan ograniczał się jak na razie do tego, by mieć bramę w miarę możliwości za sobą, i iść, dopóki go to nie zmęczy.

Wysoko, na grzbiecie górskiego pasma, powietrze wydawało się lżejsze. Na przeciwległym zboczu drzewa były wysokie i iras-ły rzadko, grunt między nimi był 'goły, bez poszycia. Niikła, ale dostatecznie wyraźna dla baczego oka ścieżka schodziła prosto w dół. Gdy 'spiuszczał SŁę nią po drugiej stronie 'grzibilebu, po raz pierwszy przestał słyszeć głos potoku, głos, który błogosławił jego snom. Mia- iszerował długi czas krokiem równym i miarowym, odczuwając przyjemność i pewien rodzaj dumy ze swej kondycji. Ścieżka mię atawała się wyraźniejsza, ale i ni'e zanikała. Odgałęziały się od niej inne dróżki, zapewne szlaki 'saren, ale nigdy nie (było wątpliwości, która jest główna. Wiedziiał, że gdyby zawrócił, ta ścieżka zaprowadza. go na miejsce początku. Jego wycucie, gdzie znajduje się brama, zdawało się 'wyostrzać, w miarę jak się od niej oddalał, tak jakby jej psychiczne prawo ciężenia było odwrotnie proporcjonalne do fizycznego.

Przeprowadził się przez strumyk nieco mniejszy niż (ten przy bramie, 'usiadł nad hałaśliwą wodą, podjadł trochę, a kiedy ruszył dalej, czuł się rześkii, ufny, że szczęście go mię opuści.

Droga nie wymijała żadnego wzniesienia. Doliny były zamglone, z głębi ziamglenia dobiegał zawsze głos sitrumyka albo źródła. Wspinaczka po zboczach nie nastroczała trudności, ale góry stawały się coraz potężniejsze i wyższe, podejście było zawsze dłuższe niż zejście, jakby cały teren był pochylony. Kiedy dotarł do trzediego dużego potoku, zrobił postój, żeby się wykąpać, a po kąpieli uznał, że to na dziesiąt koniec dnia. Podobał 'mu się ten zwrot. Był zupełnie ścisły. Mógł ^wybrać dowolny odcinek czasu i nazwać go dniem, wybrać 'inny, nazwać go nocą i spać. Nigdy przedtem, rozmyślał siedząc przy zwęglonym chruście swego ogmdiska na 'brze63

gu potoku, imię doświadczał czasu. Zostawiał to zegarom. Po tamtej stronie 'to zegary sprawiały, że życie szło naprzód; interesy, światła uliczne, rozkład lotów, randki zakochanych, spotkania na szczycie, wojny światowe były nile do pomyślenia bez zegarów, a przecież czas zegarowy miał tyle wspólnego z czasem niezegaro-wym co zapałka albo pudełtko wykałaczek z jodłą. Tutaj 'ni'.e było sensu pytać, „kóra godzona” – bo 'nic 'nie mogło ci odpowiedzieć, żadne słońce inne mówiło "południe" i żaden zegar nie 'mówił, „siódma trzydzieści osiem i czterdzieści dwie sekundy”. Do



crebic nale-i-iA żala lodpowiedz i brzm'liala ona.[teraz\*.

Spał bez snów i budził się z wolna tak rozluźniony, że początkowo z trudem podnosił rękę. I'm dalej od trzeciego potoku, tym teren stawał się trudniejszy. Spadki były coraz ostrzejsze i wzdłuż lub w poprzek szlaku pędziły w dół małe sfery. Szlak był wciąż wyraźny. Nie wiadomo, kto go przetarł i kiedy, ale nie było żadnych odpadków, żadnych śladów świadczących, że ktoś niedawno tędy przechodził, mimo iż droga prowadziła nieomylnie, wspinając się lekko i zdecydowanie, i choć na zboczach skręcała w tę lub w tamtą stronę, (niezmiennie dążyła w tym samym kierunku. Uznał jej cel za swój i pozwolił się prowadzić. Las zagęścił się, wśród rozległych skupisk jodeł zalegał ciężki mrok. Nie dołatywał żaden dźwięk poza poszumem wiatru wśród jodeł, potężnym i spokojnym. Napotykał drobne tropy królików, myszy i innych płochliwych leśnych mieszkańców, raz spostrzegł na skraju ścieżki małą pogruchofaną czaszkę, ale nie zauważył żadnej zwierzyny. Wyglądało na to, że tutaj każdy strzeże swojej samotności. I jego dopadła samotność, gdy pisał się po rozległych zamglozonych zboczach w niezmiennej ciszy. Ujrzał siebie jako małą postać wędrującą przez pustkowie znikąd donikąd, samotnie. Ta wędrówka mogła trwać bez końca. Gdyż czas niezależny od zegarów jest zawsze teraźniejszością i sposobem, by "zawsze" było „teraz”.

Głód wytrącił go z transu. Zatrzymał się na posiłek. Kiedy ruszył dalej, marzycielski nastrój ustąpił czujności. Szlak był teraz miejscami tak stromy, że dla ułatwienia siedł na czworakach. Oz'uł, jak góra napiera na jego ręce, czuł jej ogrom, głębię i siłę, jej szorstką, ziarnistą skórę, poznaczoną skałami i korzeniami. Przez

pewien czas ścieżka odchylała się nieco w lewo do osi bramy. Teraz znów przyjęła pierwotny Kierunek: ii biegła łagodnie. Mógł się wyprosić, szedł bez wysiłku, w uspokajającym rytmie przynoszącym wytchnienie. Jodły tłoczyły się ciasno, wysokie i ciemne, pod nimi zalegał mrok, ale kiedy spojrzał przed siebie, zobaczył wyraźny szeroki szlak, 'nieomal trakt. I w suchym powietrzu pochwycili raz, a potem drugi raz słaby zapach dymu.

Szedł wytrwale, czujny i spięty.

Droga skręcała długim łukiem pod górę Stoki po prawej stronie, a widać było bardziej ^ti-ome ^ urywały się tak gwałtownie, że drzewa poniżej drogi odsłoniły perspektywę. Po raz pierwszy w tej okolicy miał przed sobą rozległą panoramę. Zobaczył, że jest na zboczu góry. Po prawej stronie przed nim w dali poza opadającą linią wierzchołków drzew na tle czystego nieba irysował się ciemny kontur następnej góry. Nieco oszołomiony, zwolnił kroku. Doznawał takiego uczucia, jakby był zawieszony w powietrzu między niezmiernymi dolinami a przepastnymi otchłaniami nieba. Za kolejnym zakrętem drogi, gdy podniósł wzrok, ujrzał dachy i kominy miasteczka przycupniętego pod górską granią, migotanie rozświetlonego okna w chłodnym zmierzchu. Tu był dom, ku któremu szedł, i znalazł się na ulicy między oświetlonymi oknami, i usłyszał głos dziecka wykrzykującego słowa, których nie rozumiał.

## 4

Przy dziennym świetle me wydawał się taki wielki i był młodszy, niż myślała, miał tyle lat co ona albo mniej, ciężka, przygarbiony chłopak o wyblakłej twarzy. Był głupi, nie rozumiał nic z tego, co mówiła. „Będę musiał tu wrócić” – powiedział, jakby ją prosił o pozwolenie, jakby mu mogła albo chciała na cokolwiek pozwolić. „Próbuję cię ostrzec” – odparła, ale nie zrozumiał i tego, a ona już miała dość. Przyszła do bramy z Górskiego Miasteczka i droga zmęczyła ją, zmęczył gniew, strach wywołany spotkaniem z nim, a przecież musiała iść dalej, dostać się do domu, umyć się, zjeść, iść do pracy – Patsi będzie wypytywać, gdzie spędziła noc –

## 5 – Miejsce początku CK

był jasny dzień, środa, obiecała matce, że zanieśli rzeczy do pralni chemicznej. A on sterczał z twarzą usmoloną węglem z tablicy, podły wróg, i musiała zostawić go i odejść, nie wiedząc, czy droga będzie dla niej otwarta, gdy powróci.

Było wcześniej, niż sądziła. Doitarsła do mieszkania parę minut po Jzoa.tej. Rick i Patsi od paru dni nie rozmawiali ze sobą, zło-'r.oglie 1'm'czemde objęło i ją, nie

padło więc żadne pytanie 'na temat rmirocnj nocy. Kiedy wieczorem wróciła z pracy, Patsi dalej uwd/.a-n jej nocną nieobecność z,a przejaw imelojalności i ignoro-^^ij '4 wzgardliwie. Rick nawiązał do sprawy jedynie po to, zęby 'lipiec 'przy okdzjii własną pieczeń: Komu, kurwa, by się chciało sy-y.dc t u t a 3?

Kiedy na Jesieni sprowadziła się do Ricka i Patsi, była bardzo zadUt/^I^na. Nie syli dusig'rosz,ami, ale nie odsuwali jej od udziału w wydatkach, nie stawali na głowie, jeśli chodzi o porządek w do^nu, ale dbaK o czystość na tyle, zęby dało się żyć. Liczyło się dla nich, ze pokrywała jedną trzecią czynszu, bo Rick nie miał praq' Układ był p-od (każdym względem dobry i mógł być taki nadal, ale Rick i Patsi rozchodzili się właśnie d żaden układ, który angażował ich oboje, nie mógł być dobry. A najgorsze w tym wszystkim było to, ze Rick chciał się nią posłużyć w porachunkach z Patsi. J(=j 'noc poza domem, bez słowa wyjaśnienia podsunęła mu uByśl, że ona nada się do czegoś więcej niż do pozorowanych rozgrywek Wystarczyło powiedzieć, że została na 'noc u matki, ale nsie chciała zniżyć się do kłamstwa, Riok mię zasługiwał na ten zaszczyt. Próbował przyjść do jej pokoju na pogaduszki. W czwartek wieczorem sytuacja się powtórzy ł'a. sprawa jest poważna, powiedział, trzeba porozmawiać o przyszłości. Patsi nie w^kaz'ije skłon-mośca do poważnej rozmowy, ale ktoś musi.

Nie ja, pomyślała Irena. Rdck, szczupły, dwudziestopięcioletni chłopak obrośnJęty rudawym kędzierzawym włosem miczym sfatygowany pluszowy miś, stał nonszalancki, nachalny pomiędzy n'la a drzwiami jej pokoju. Miał na sobie tylko przetarte na wylot:\h kolanach, straszące dziurami džinsy. Jego paice u nóg były bardzo długie i cienkie.

–Nie palę isiię specjalnie do rozmowy – odrzekła Irena, ale

on dalej ciągnął swoje, mówiąc przez nos, że ktoś tutaj musi od czasu do czasu pogadać i że chciałby wyjaśnić pewne sprawy na temat swój i Patsi, które Irena powinna znać. – Nie dzisiaj – ucięła Irena, zatrzasnęła szafę kuchenną i przemknęła obok niego do swojego pokoju zamykając drzwi za sobą.

Przez pewien czas kłął i tłukł się po kuchni; wreszcie wyleciał z mieszkania trzaskając drzwiami. Patsi w drugim pokoju nie trzasnęła niczym, zachowując wyniosłe milczenie.

Irena siedziała zgarbiona na krawędzi łóżka, z dłońmi wciśniętymi między kolana, i myślała. Tak dalej być nie może. Do końca miesiąca i koniec. Gdzie teraz?

Miała szczęście, że znalazła mieszkanie blisko matki, nie to za jedną trzecią czynszu. Mogła spłacić samochód, od którego izależała jej praca w firmie Mott i Zerming, zapłacić za naprawę hamulca i dwie nowe opony. Stać ją było na płacenie wyższego czynszu, ale nie na wynajęcie samodzielnego mieszkania. Nie pozostawało nic innego, jak przenieść się do śródmieścia i bulić prawie dwa razy tyle, do tego matka będzie się zamartwiała, że ją zgwałcą i pobiją, no i pół godziny trzeba tracić na dojazdy, więc będzie niespokojna o matkę. Żeby ona chociaż zadzwoniła, kiedy Wiktor się upije. Ale na pewno nie zadzwoni.

Irena wsłuchała i wyszła zamykając zbyt energicznie drzwi za sobą; poszła zobaczyć się z matką.

Była gorąca, cicha noc. Po ulicach przewalały się tłumy. Chti-sea Gardens Avenue wypełniał jeden wielki ryk samochodów pędzących, wlokących siłę, ścigających, krążących w kółko.

Wiktor zainstalował na podwórku silny reflektor, żeby móc grzebać przy samochodach przed domem. Nie było powodu robić tego w nocy, miał na to cały dzień, i w ogóle na samochodach znał się bardzo średnio. Irena po kursach obsługi wiertarki o silnikach dwa razy wiróty niż om, ale lubi zwracać na siebie uwagę. W jednej ręce trzymał klucz, w drugiej pałkę z plwici, i iął się na chłopców

–Odpieprcie się od tych narzędzi, gówniarze!

Dwóch czy trzech jego synów, przyrodnich braci Ireny, minęło ją pędem w świetle i ciemności podwórka, nie zwrócili uwagi na jej przybycie, zrobiły to tylko psy. Trzy małe pieski jazgotały histerycznie koło jej kositek, a oszalały doberman, którego Wiktor trzymał na uwięzi, (rzucił się ze zdławionym przez łańcuch charkotem. Matka Ireny zjadowała się w przepastnej kuchni z czteroletnią Treese. Treese siedziała przy stole i zajadała płatki owsiane o czekoladowym zapachu, a matka krzątała się

**mieśpiesaniie, uprzątając nakrycia po kolacji. Była dziewiąta.**

**–Dzień dobry Ireno, kochanie – powiedziała pani Hanson i 'uściskały się.**

**Mary Hanson miała lat trzydzieści dziewięć i 'za sobą trzy po-ronienila i sześć doimoszomych oiaż. Michael 'i Irena byli dziećmi z" pierwszego małżeństwa, z Nicikiem Pannuiseem, który zmarł na białaczkę trzy miesiące po przyjsciu na świat Michaela. Młodą wdowę z dziećmi przygarnęła ciotka Ndcka. Ciotka miała domek i udział w szkółce drzewek po drugiej stronie szosy; itam też pracowała. Po przejściu na emeryturę zabrała oszczędności i wyjechała na Florydę przekazując Mary dom i przyległe do niego pół akra ziemi. Wkrótce potem wprowadził się Wiktor Hanson, ożenił się z Mary i spłodził Wayne'a, później Daltona, potem Dawijda, później Treese i te nie donoszone. Wiktor miał własne teorie na temat przeróżnych spraw, w tym także seksu, i lubił je rozwijać przed słuchaczami:**

**–Rozumiesz pan, jeżeli mężczyzna nie pozbywa się substancji rozrodczej, rozumiesz pan, o co mi chodzi, komórki rozrodcze cofają się i robi siłę z tego prostattata. Tę substancję trzeba regularnie wydalać, 'bo jak mię, to się zmieni w truciznę, jak wszystko, czego się nie wydala regularnie. Jest z tym tak jak z opróżnianiem kiszek albo wydmuchiowaniem nosa, jak się nie wydmucha nosa, to można załatwić zatoki na dobre.**

**Wiktor był wielkim, dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną, (niezwykle zaabsorbowanym własnym ciałem, jego funkcjo-nowamliem i wyglądem – to była jego rzeczywistość, wobec której reszta świata i inni ludzie jawili się Jako nic nie znaczące ciemię;**

**przejawiał zainteresowanie sobą na miarę wyczynowca albo inwalidy, ichodiaz nie zaliczał się ani do jednych, aini do (drugich; był zdrowy i nieruchawy. Kiedyś był zatrudniony w fabryce konstruk68**

**cji aluminiowych, ale wkrótce to zajęcie rozplynęło się jakoś. Czasami pracował dla kolegi handlującego używanymi samochodami. Czasami znikał z kumplami o imionach Don i Fred albo Dwight i Roy, którzy parali się naprawą telewizorów albo sprzedają części samochodowych; wracał do domu iż pieniędzmi, zawsze w gotówce. Od czasu do czaisu w starej szopie na traktor pojawiała siłę kupa używanych rowerów, które Wiktor trzymał pod kluczem. Pętaki szalały, żeby się do nich dostać; fajne, jak inowe, z dziessięcioma przeraut-kami, ale Wiktor cisnął Daltonem przez cały pokój za siamo napomknięcie o 'rowerach, które w drodze koleżeńskiej przysługi pnzecho-wywał dla swego kumpla Dwighita.**

**Gdy Michael miał.czternaście lat, 'odkrył, ze ojczym trudnś, się dorywczo handlem narkotykami i trzyma towar, głównie amphetami-nę, w komodzie Mary. Dyskutowało, z Ireną, czy nie zgłosić tego ma policję. Ostatecznie wrzucili całe paskudztwo dio**

'ubikacji i nie puścili pary z ust. Jatk mieli rozmawiać z glinami, jeśli nie mogli porozmawiać nawet z własną miątką? Noe wiadomo 'było, co ona wie, a czego nie wie. W tej sytuacji słowo "wiedzieć" miało nieostre znaczenie. Jedno mię 'ulegało kwestii – jej lojalność. Wikitor był jej mężem. Cokolwiek robił, musiało być słuszne.

Michael był jej pierworodnym synem i cokolwiek robił, też łby-ło słuszne. Ale on tego nie akceptował. Uznawał to za niemoralne. Gdyby pozostała lojalna wobec jego zmarłego ojca, to ta lojalność miałaby znaczenie, lecz ona powtórnie wyszła iza mał.

Michael wyprowadził się w wieku siedemnastu lat, gdy dostał pracę w przedsiŚliębaorstwie budowlanym na drugim krańau mliasitia. Od tego czasu Irena widziała się z mim dwa razy w ciągu dwóch lat.

Jako dzieci ona i Michael, młodszy od niej o niecałe dwa lata, byli ze sobą bardzo życzli, mieli wspólny świat. Mndej więcej w jedenastym roku życia Michael zaczął się od niej oddalać, co 'uznała za prawidłowe, a w każdym razie za nieuniknione i choć odczuwała stratę, nie miała żalu. Ale w okresie dorastania wykreślił ją zupełnie. Zadawał się tylko ze zgrają chłopaków-przejął ich sposób bycia d, pogardliwy sposób wyrażania się o płdi żeńskiej, nie oszczędzając i jej w tym względzie. To, co odczuwała jako zdradę Miiehaela, zbiegło się z okresem, w którym jej ojczym stał się naprawdę nattarczy69

wy; czatował na nią pod ła ziemską na górze, kleił się d'o niej, kiedy ją mijał w kuchni, wchodził do jej pokoju bez pukania, pchał jej ręce pod spódnicę..Kiedys dopadł ją za szopą – próbowała obrócić wszystko w żart, wykpić go, bo nie mogła uwierzyć, że to na serio, ale nagle cały znalazł się na niej, ciężki niczym materac, tłamsząc ją brutalnie; miała szczęście, że skończyło się na wywichnięciu nadgarstka. Po tym zajściu /musiała uważać, żeby me zostać z imion. v/ domu sam na sam i nie wychodzić ma podwórze za domem. Ciężko jej było samej się z tym borykać. Chętnie zwierzyłaby się Michaelowi; potrzebna jej była jakaś obrona, pomoc. Ale teraz to nie wchodziło w grę. Pogardzał nią przecież, bo była kobietą, a więc przedmiotem żądy, czymś nieczystym.

K?iedy Michael (mieszkał jeszcze w domu, mimo wszystko przyszedłby jej z pomocą, gdyby zaczęła krzyczeć. Ale gdyby zaczęła krzyczeć, dowiedziałyby się matka, a tego Irena nie chciała. Życie Mary wspierało się na lojalności i miłości do rodziny; zniszczyć te podstawy zobaczyło zniszczyć ją. Gdyby 'przyparta do muru musiała wybierać, zapewne stanęłaby po stroniie córki 'przeciw mężowii, dostarczając imu wymarzonego pretekstu do piastwieniia się nad nlią. Kiedy Michael opuścił dom, Ironie mię pozositało nic innego, jak zrobić to samo. Ale mię mogła tak jiać on po prostu się wynieść: no, to na raaie, miło mi było z wami. Matka musiała mieć kogoś, na (kim, mogłaby polegać. W ciągu 'ostatnich pięciu lat cztery razy była w ciąży, a trzy razy zakończyło sd-ę Ho poronieniem. Teraz ibnała pigułki, o czym Wiktor nie wiedział, bo według niego "antykoncepcja blokuje substancję rozrodczą w

gruczołach", zabronił jej więc stosowania pigułek i Mary pewnie by usłuchała, i gdyby nie namowa Ireny, która zrobiła z tego ich babską tajemnicę. Miała kłopoty z krążeniem, miała ropo tok i wymagała fachowej opieki dentystycznej, którą mogła niedrogo uzyskać w technikum dentystycznym, pod warunkiem, że ktoś odwoziłby ją regularnie co siobotę. Wliktor bil ją po pijanemu, jaSk ima razie bez ciężkich następstw, chociaż kiedyś wywichnął jej ramię. Większość czasu przebywała wyłącznie w towarzystwie idzie-ci i gdyby ją poważnie poturbował albo gdyby zachorowała, nie było nliczego, kto by jej pomógł.

Zwróciła się do córki z czułością, która musiała zająć 'miejsce szczerości między nim)i:

–Kochanie, dlaczego trzymasz się tych slumsów? Powinnaś sobie 'znaleźć pokoiik w cenitrum, blisko pracy, przestawać z miłymi młodymi ludźmi. Kiedyś 'było tu przyjemimie, ale teraz te przedmieścia, te nowe osiedla, ta hołota...

Irena stanęła w 'obronie swoich układow z Patsn i Rickiem.

–Patsi Sobotny! To ci przyjaciółka! Mary kaibegoryczmiie potępiła Patsi, za to, że żyła z Rtticidem bez ślubu. Kiedyś Irena w rozdrażlnieiniu krzyknęła:

–Cóż według ciebie jest takiego wspaniałego w małżeństwie? – Mary przyjęła napaść wprost, nie uchylając isię. Przez ma-nutę sitoła nienuchomio, spoglądając przez miroczmą kluchnię w kierunku okna, a potem, odparła:

–Nie wiem, Ireno. Ja jestem staroświecka. Myślę to, co ludzie na ogół myślą, ja wiem. Ale widzisz, twój ojciec, Nick... Bo z inlim... wiesz, 'kochać się to było coś pięknego, 'bo... <nie urmem tego powiedzieć, ale to była tylko część. Część jakiejś pełni. Ciała reszta, całe życie, cały świat jest, widzisz, jej częścią, tak jak jest częścią ciebie, jeżeli jest się mężem ti żoną w talki sposób. Ndie wiem, jak to wyrazić. Kiedy się wie, jak to jest, właśnie w ten sposób, kiedy się raz tego zazna, wszystko iinne jest bez większego znaczeniia.

Irema widząc na 'twarzy matiki ślad 'tamtego blasku milczała, choć dostrzegła również przerażający fakt, że cały blask może zajaśnieć i zgasnąć do dwudziestego drugiego roku życia, że można potem żyć dwadzieścia, trzydzieści, pięćdziesiąt lat, pracować i wyjść za 'mąż, i rodzić dzieci, i tak dalej bez żadnego określonego powodu, nawet tego nie pragnąc.

Jesitem córką widma, pomyślała Irema.

Tego wieczoru podczas wspólnego sprzątainia ltaucihmi wspomniała, że Patsii i Rick chyba ze sobą zerwą.

–No to wyrzućcie tego imcpomiia Ricka i dobierzecie sobie mia trzecią jakąś miłą dziewczynę – podsumęła Mary opowiadając się bez in'amysłu po stronie kobiet.

–Wątpię, żeby Patsi chciała. Ja zresztą też mji'e bardzo l^ię palę eto mieszkania z tnią.



–Lepiej z nią niż z nikim – powiedziała Mary. – Za dużo przebywasz sama, w ogóle mię masz rozrywek, moje dziecko. Samotne włóczki po okolicy! Powinnaś tańczyć, nie łązić. A jeśli już, to zapisz się do Jakiegoś klubu turystycznego, gdzie są młodzi, mili ludzie.

–Mamie zawsze w głowie młodzi, mili ludzie.

–Ktoś mi uisi mteć głowę – odparła Mary ze spokojnym samozadowoleniem. Podeszła z tyłu do Ireny stojącej przy zlewle i zmierzwiła jej delikalfanie włosy, które rozsypały się beziadtną kędzierzawą grzywą.

–Ależ ty masz włosy! Greckie włosy, zupełnie jak moje. Po-wijnimaś się przenieść do centrum. Nie tkwić w tych slumsach.

–Ty tu mieszkasz.

–Dla mnie to wystarczy. Ale nie dla ciebie.

Do kuchni wtargnęli trzej chłopcy i z miejsca doprowadzali Treese do płaczu, bo zagarnęli jej pudełko z płatkami i napychali sobie nimi usita. W trójkę stanowili niszczyielski żywioł i zawsze odkrycie, że każdy z osobna Jest małym nrepozonnym chłopakiem mówiącym olcho i niewyraźnie, było zaskakujące. Mary zupełnie nie panowała nad tym, co robią poza domem, więc gamiali maeokieł-zaiaini, w domu obowiązywały 'wyraźne rygory, 'co wolno, czego nie •wołlino, ujmując w ryzy cały bezmyślny rozgardiasz ich żywota, a tu byli posłuszni. Od razu wyprawiła chłopców ma telewizję i po-(nownie zwróciła się do Iremy. Uśmiechała się inieśpiieszynym', szczęśliwym uśmiechem, który odsłaniał jej zepsute zęby i dziąsła. Dzieliła slię dobrą nowiną, nowiną zbyt dobrą, żeby zakoammikować ją od razu, zbylt dobrą, żeby odkładać ją n'a później:

–Dzwoinił Mlichiael.

–Co mówił?

–No, mówił, jak mu tam jest, i wypytywał o wszystkich, o ciebie i wszystkich. Kupił sobie samochód.

–To dlaczego nie podjedzie, żeby się z mamą zobaczyć?

–Ciężko pracuje – powiedziała matka odwracając  $\langle$ aię, żeby zamknąć 'drzwiczki kredensu.

**Chociaż ciężko pracuje, myślała Irena, mógłby odwiedzić mait-kę raz w roku. Ale telefon to ii tak wielka laska ze sitrony Wielkie72**

**go Pana Mężczyzny. A matka Pana Mężczyzny uważa to za wielki przywilej i składa dzięki.**

**Już tego dłużej me wytrzymam. Naprawdę nae wytrzymam. Teraz zrobiłam mamie przykrość pytając, dlaczego Michael nie przyjedzie nas odwiedzić. Wszyscy dokoła robią sobie nawzajem przykrości. Bez przerwy. Muszę się stąd wydostać. Muszę przeatać przychodzić ido domu. Następnym razem, kiedy Wliktor spróbuje mmite pomacać czy choćby mnie dotiknie albo ją potraktuje po chamsku., nie wytrzymam. Wybuchnę, a to 'tylko pogorszy sprawę i robi jej jeszcze większą przykrość, a ja ainu nic 'nie mogę poradzić, amii mię mogę tego wytrzymać. Miłość! Co jest dobrego w miłości? Kocham ją. Kocham Michaela tak samo jiaak ona. No i co z tego? Spraw, Boże, żebym sr.ę nigdy nie zakochała, inigdy nie była zakochana, inigdy mkogo me pokochała!„Miłość” to tylko elegainickae słowo nią określenie tego, że się kogoś głęboko rani. Chcę się wydostać! Wynieść się stąd, wynieść, wynieść!**

**Tego wieczoru po rozstaniu z matką nie poszła pirosto na Chelsea Gardens, lecz skręciła za domem iw lewo, na żwirowaną drogę, i znalazła s'ię pozia zasiięgnem reflektorów Wiktora, ia potem zmów na lewo, przez pola, na skróty. Niepinzyjemniie się szło po oiemkiu, igrunit pod zmierzwioną trawą był twardy i wyboisty, a latarki nie używała ze strachu, że ściągime na siebie uwagę bandy skórzanych kurtek albo złowrogiego gangu z przedmieścia, który czasem grasował koło fabrykii. Ten głiu pu strach zatruwał JCJ wszystkie samotne spacer y, od czasu (gdy w iriie wykończonym domu na Chelsea Gar-dens została zgwałcona przez członków takiego gangu jej przyjaciółka Doris – głupi strach, który nie omijał żadnej piustej przestrzeni poza błogim pustkowie m krainy ain.**

**Ale leśna ścieżka nie wiodła w dół między wawrzyny a sosnę, w przezroczysty, nie kończący się wieczór. Było alemno, świerszcze grały rozgłośnie i swojsko, blisko i daleko; tłem dla ich muzyki był ciężki, nieustanny odgłos czy tętnienie, może samochodów na autostradzie, a może całego miasta, które biło w ciężkie nocne**

niebo łuną umożliwiającą poruszanie się nawet tu, w lesie. Ale nie było słyhać dźwięku płynące] wody. Przeszła kilka kroków poza miejsce, gdzie powinien być próg, po czym zawróciła. Drogi nie było.

Rzypommiało jej się wówczas, jak obserwowała go, gdy przechodził przez bramę – ocięzały, nieznamy człowiek, jak szedł niapród, a półmrok wypływał pirzied! nim iniczym fala. Tło było przerażające. Wołała o tym niie myśleć. To była jego wina. To zdarzyło się jemu, nie jej. Ona zawsze może wrócić. Przeprowadziła go nią tę stronę. Jedynie stąd mię zawsze mogła przejść.

A on mógł? Czy jest teraz łbam, gdzie ona iść nie może?

Nie dając za wygraną wróciła do Pinkusowego Lasu następnego wieczoru po pracy i potem co drugi, trzeci dzień, przez tydzień, przez dwa tygodnie, jakby to były zapasy, w których zwycięża się siłą woli, odmowa kapitulacji. Pod koniec drugiego tygodnia zaczęła przyjeżdżać codziennie po pracy, zostawiała samochód ma parkingu wyłtwóci. farb i szła przez pola do lasu Zauważyła, ze wydeptuje ścieżkę w suchej, sierpniowej trawie, więc zmieimiła trasę, chodźliła naokoło, za każdym razem inną drogą, żeby nie pozostawiać śladów, po których mogliby trafić inni. Ale nic nie było do ukrycia. Lasy, chaszczce jeżyn, ścieżka, kanał, trochę dalej ogrodzenie z drutu kolczastego u podtnóża pagórka, biegnące wśród drzew. Ćwierkająca para wróbli, słabe dudnienie samiochodów na autostradzie i pogłos miasta niczym oddech zwierzęcia długiego na trzydzieści mil tak potężny, że aż niesłyszalny. Upalnie, późne słońce i łagodne, nte-bdeskiawe piowaetirze. Zwykile przyistawała na chwilę w maejsou, gdzie ścieżka schodziła w dół i gdzie powinien być próg, po czym zawracała, wlokła się z powrotem przez pola do samochodu i jechała do domu o kilka przecznic na zachód od Chelsea Gardens.

Piatsi i Rick przeżywali nawrót miłosnych undeasień, ostattmii fajerwerk namiętności.

Gdy w sobotę wieczorem wróciła od matki, wdtepnęła w aam. środek największej z dotychczasowych awantur. Nie mogła pozio1-stać na uboczu, była domownikiem. Kiedy Patsi oskarżała Ricka o spanie z ndą, stanęła w otofroiniie jego d. własnej, kliedy Rick oskarżał Patsi o nieuczciwe glotsipodarowiainie paeniędzrn(i, musiała wziąć

stronę Patsi, 'która z kolei naskoczyła na nią, że się szarogęsi. Po wielu godzinach awantur zrozumiała, że mię pozostaje jej nic m-nelgo i że należało zrobić to znacznie wcześniej; spakować (rzeczy, zapłacić swoje i wynieść się.

Ric'k i Patsii sposepnieli, byli zaskoczeni. Patsi z ostentacyjną sikirupulatnością dokonała sprawiedliwego podziału malinowych konfitur, które wspólnie smażyły w ubiegłym miesiącu, nalegając, żeby Irena zabrała.równo połowę słoilków; płakała cały 'czas, lzy wolno spływały jej po policzkach, ale nie powiedziała do widzenia. Rick pomógł Ireinile.znieść irzeczy do samochodu, powtarzając ciągle:

–O, kurwa, o zez kurwa!

Irena wyniosła siłę o ósmej rano w 'niedzielę. Poprowadziła samochód wyładowany swoim ziemskim dobytkiem upakowanym w dwa kartonowe pudła ii walizkę bez ucha ulicą Chelsea Gardens, szosą, ku farmie. Warkot samochodu rozlegający się w ciszy 'niedzielnego poranka pobudził ibrzy małe pieski do jazgotu, a dobermana do wycia. Gdyby nie psy, dom otoczony zdezelowanymi! wrakami.samochodów wyglądałby ma bezpieczeństwa. Wyjechała tyłem z podwórka, skręciła w prawo na żwirową drogę, podjechała na parking wytwórni farb i tam zaparkowała. Zaimlknęła wóz i raz, jeszcze ruszyła przez zachwaszczone pola prażące się już w upale, który zapowiadał spiekotę w ciągu dnia. Jeżeli 'droga jest zamknięta, zaczekam, myślała. Usiądę i zaczekam, aż saę otworzy. Choćby przyszło czekać miesiąc... W głowie miała mętlik po nie kończącej się nocy kłótni, wyrzutów, wyjaśnień, wzajemnych oskarżeń, przeprosin. Nie jadła śniadania, tylko między czwartą a piątą rano, (kiedy Rick zarzucił Patai, że chce go zdominować, a Patsi Oskarżała go 'o samczy szowinizm, zjadła paczkę paluszków i wypła szklankę mleka.

Położę się teraz spać przed progiem i będę się budzić co pewien czas, żeby sprawdzić, czy już jest otwarta, zdecydowała. Otwarta, otwarta, otwarta – to słowo kolebało jej się w głowie, jak ciało w ryftm kroków. Upalne słońce raziło ją w oczy. [t)twóirzcie się, oczy. Otwórzcie się, drzwi. Jest las, jest droga do lasu. Jest rów, jest obrośnięta bluszczem ścieżka w dół, sosna z czerwoną korą,

przejście i brama, droga do mojej krainy, mojej własnej, przystani mojego sercaj

Wkroczyła w półmrok. Napła się ze strumienia, przeszła fna drugi brzeg i poszła niedaleko w górę potoku do ustronia zasło-nlięteigo wielknmi krzewami, gdzie całe wieki 'temu (kładła się do snu. Położyła się tam z krótkim szlochem wywołanym zmęczeniem..i wstrząsem, jakim było spełnienie pragnienia; i zasnęła.

Sen w krainie ain był; tak głęboki, że inie przynosił snów. Ja jestem snem, 'myślała na wpół rozbudzona, sen to ja. Jestem nocną zjawą. Ale nocy nie ona. Co to? – i jiuż rozbudzona usaadta wyprostowana sztywno,,z walącym sercem, bo tym, co wyrwało ją •ze snu, był głos, wysoki gulgoozący głos, który dolatywał z głębi lasu – czy rzeczywiście słyszała głos?

?0 poza szmerem płynącej wody i westchnieniami wilaitru wysoko wśród drzew. Niebo było ciche, w lesie nic się nie poruszało.

Po chwili wstiała ostrożnie, wypatrując wolkół oznak jakiejś zmiany, jakiegoś niebezpieczeństwa. To jego winia, myślała, tej nalanej gęby, tego śdlimaka. To on 'zmiemł wszystko. Już nie jest ltak jak dawniej. Dobrze, że mogła wskiaiziac przyczynę niepokoju, obmierzłą przyczynę. Ale kiedy mimo wypatrywania śladów intruza, jego ogniska, jego ekwipunku, nie znalazła nic, strach woale nie zelżał. Serce dalej waliło, brakło jej tchu. Czego się boję – zapytywała siebie wzburzona. Tutoaj, w tyttm miejscu wybranym z wybranych? Przecież jest takie samo, bezipieozme jak zawsze. Na pewinio miałam sen, zły sen. Chcę iść do Temibreabrezi. Chciałabym już 'tam być, pod dachem, w gospodzie. Głodna jesifcem. Dlatego źle się czuję, to z głddłu.

Piła.znów długo, chciwie, żeby napełniło żołądek, nazrywała łodyżek mięty, żeby je zuć w eziasie marszu, i wyruszyła w drogę do Górskiego Miasteczka. Szła krokiem lekkim jak zwykle, lżejszym, szybszym niż kiedykolwiek, gdyż przynaglał ją głód ii popędzał strach, nie mogła sobie pozwolić na postój i rozmyślania o jednym

i o drugim, bo gdyby stanęła, głód i strach siłyby się nie do zniesienia. Kiedy szła, nie musiała myśleć, a mroczny 'bór przepływał koło niej jak woda w strumieniu. Tak szybko, tak lekko się poruszała, że nic nie usłyszy jej kroków, nic jej nie zauważy, nic nie wyrośnie przed nią na ścieżce zagradzając drogę białymi pomarszczonymi ramionami.

W oknach gospody paliły się świece, jak gdyby na nią czekano. Na ulicy 'me było inikogo. Musiało być późno, 'para kolacji albo później. Na myśl o 'kolacji, o 'zupie, o chlebie, 'mięsie, owsiance, ma myśl o czymkolwiek, po prostu czymkolwiek do jedzenia poczuła zawrót głowy, a kiedy Sofir otworzył przed nią drzwi gospody wypełnionej ciepłem i światłem, zapachem jedzenia i brzmieniem jego głębokiego głosu, stwierdziła', że z trudem tirzyma się na nogach.

–Och, Sofir – powiedziała. – Jestem taka głodna! Usłyszawszy głos wyszła Palizot i chociaż nie mależała do kobiet 'wylewnych, ucałowała Irenę i przytuliła.

–Baliśmy się o ciebie – powiedział Sofir.

Posadził ją przy ogniu. Istotnie, było późno, wszyscy goście rozeszli się do domów, ogień przygasł. Sofir i Palizot krzatali się przygotowując jej wodę do mycia, przyrządzając poaitek; usta im się nie zamykały.

–A wiesz, on przyszedł – oznajmiła Palizot, a Irena zapytała;

–Kto przyszedł?

Dwie znajome, bardzo kochane twarze zwróciły się ku niej w radosnym świetle ognia; Palizot spojrzała na Sofitra z uśmiechem, jemu pozostawiając odpowiedź w amieiniu obojga.

–Mówimy o n'-im – odezwał się Sofir. – On jest teraz tutaj. Wszystko obróci się na lepsze. Tyle było zapału i promiennego 'zadowolenia w jego głosie i taka pewność, że Irena podziela ich radość, iż nie była w stanie nic powiedzieć.

–Jedz, teraz jest dobrze ciepło.

Palizot postawiła przed nią talerz, na widok którego Irenę przestało obchodzić wszystko inne. Jadła pogrążona w błogostanie, jedzenie, odpoczynek, światło ognia, przyjaźń; Sofir przygotował dla

niej pokój, pokój, z którego można było sięgnąć wzrokiem ponad ciemnym uskokiem aż po lasy na wschodnich szczytach.

Sofir gdzieś wyszedł, a Palizot była zajęta, więc śniadanie zjadła sama. Niewiele na to śniadanie było: trochę wodnistego mleka, garnuszek sera i chleb, twarde, maleńki, tak nie przypominający okrągłych, brązowych pyszności wypieku Sofira w dawnych czasach, że oszczędnie odkroiła kromkę z zeschniętego bochenka. Nie ulegało wątpliwości, że pszenica 'od kupców z Miasta Króla nie do-ciełała.

Zaraz po przebudzeniu pomyślała, że PaMzot i Sofir mówiąc wieczorem "on" mieli na myśli króla. Gdy rozbudziła się bardziej, pomyślała, że młowa była 'nie o samym królu, lecz o jego wysłanniku, o kimś władnym otworzyć drogi. Teraz, gdy otrząsnęła się ze snu ma dobre, wiedziała, że zupełnie mię o to chodziło.

–Pójd'ziesz do domu Mistrza – powiedziała PaMzot przechodząc przez Skucbmę z naręczem odzieży zdjętej ze sznurów. – Odświeżyłam trochę twoją czerwoną sukmię,gniecie się, kiedy leży w skrzyni. Czy masz czyste pończochy? Zobacz, jak ci się podobają?

–On.'zapewne tam jesit – powiedziała Irena.

Skoro "on" nie zatrzymał się w gospodzie, to znaczy, że został zaproszony – co jej niigdy nie spotkało – aby zamieszkał w domu Mistrza. Dojmujący, mimo niegodnej przyczyny, ból i wysiłek, by go nie okazać, laik ją pochłonęły, że nie od razu dotarła do niej odpowiedź Palizolt.

–Ach n,'ie, on mieszka we dworze. Ale Mistrz już dawno nas prosił, żebyśmy ci powiedzieli, abyś do niego przyszła jak najszybciej, kiedy tylko zjawisz się znowu.

To był balsam.,,On"" może sobie imieszikać we dworze, ile mu się podoba.

–Są prześliczne – powiedziała patrząc z zachwytem ma de-llikalffiiie prążkowcme pończochy, które Palizot położyła na stosne ubrań gwoli prezentacji – Zrobiłaś je zwyczajnie na drutach?

–Sprułam cztery pary -surych i 2 tej weliny wyszły – powiedziała Palizot z satysfakcją skrzętnego rękodzielnika. – Włóż je dziisitaj, 'leyadja. To dla ciebie

Wystrojona w piękne pończochy i czerwoną sukienkę, Irena weszła w półmrok ulicy i wspięła się po owładniętych czkawką schodkach do domu Mistrza. Gęsi w zagrodzie przylegającej do południowej ściany, wielkie pitaszyska świecące białą swych szyc i u-pierzenia, poruszyły się sycząc; jedna załopotowała skrzydłami. Zawsze troszeczkę bała się gęsi. Zastukała do drzwi zdobnych dwunastoma płytkami i Fimol, niewzruszona jak zwykle, wpuściła ją i poprowadziła przez salę pomiędzy posępnym wzrokiem protoplastki rodu a potępiającym spojrzeniem jednorękiego protoplasty ku drzwiom gabinetu. Mistrza.

–Przyszła Irena – powiedziała Fimol swym czystym, przy-c iisolnym głosem.

Odwrócił się od biurka wyciągając iręce z nieukrywaną radością:

–Irena, Irpniadja; Witaj! Tęskniliśmy za tobą!

I ja tęskniłam za tobą, chciała powiedziieć, ale me mogła. Język nigdy mię fcył jej posłuszny w obecności Mistrza. Był posłuszny jemu.

–Chodź i siadaj – powiedział. Uśmnech go odmłodził. Głos brzmiał serdecznie. – Opowiedz, jak ci się tym razem szło? Czy nie miałaś przeszkód? Czy było ci ciężko? – Jego ciemne spo]rzenie spoczywało teraz wprosił na niej. – Obawiałem się, że nie będziesz mogła pirzyjść – dodał pospiesznie zniżając głos i odwracając wzrok.

–Brama była zamknięta aż do wczoraj wieczór. Chciałam, próbowałam przyjść.

Skinął głową poważnie, łagodnie. Usiłowała znaleźć właściwe słowa.

–?0 dostrzegłam niczego, kiedy droga się otworzyła... nic się nie zmieniło. Ale czułam... Był jakiś dźwięk... może się przesłyszałam. Wiem, że było coś, czego nie zobaczyłam.

Teraz, w tym izac-isznym pokoju, przerażenie, którego nte dopuszczała do siebie idąc przez lasy zboczem góry, dopadło ją i przepłynęło przez nią długą, zimną, porażającą falą; skuliła się na krześle i zadygotała. Jej głos stał się wąty i kruchy:

–Dawniej nigdy nie bałam się w iesie.



Podniosła wzrok na smagłą twarz Mistrza chcąc jeszcze raz przekonać się o jego sile. Milczał przez chwilę, w końcu głosem wciąż stłumionym powiedział:

–A jedinak przysłaś.

–Jeszcze ktoś... Sofir mówił... ktoś jeszcze przyszedł, jakiś mężczyzma...

Mistrz skinął igłową. Taił albo tłumił jakieś silne wzruszenie. N'a koniec wyrzekł słowo czy (imię, którego Irena mię znała,,hiu-radja", i znowu spojrział jej w oczy,z napięciem, pytająco.

–Czy przyszedł od północy, z Miasta? – zapytała, chociaż znała odpowiedź.

–Od południa. Tak jak ty. – Drogą południową. Tak jałk ty, kiedy przysłaś po iraz pierwszy, nie znając kraju ani języka.

Ciekawość, chęć poznania całej bezwzględnej prawdy, była silniejsza od rozczarowania i niechęci.

–Czy on jest... – nile znała odpowiednikła słów,,blond",,,jasnowłosy", ludzie tutaj byli ciemnowłosi. – Czy on ma słomiane włosy i jest gruby?

Mistrz potwierdził krótkum skinieniem.

–Zostaliśmy wezwani do dworu, żeby go poznać – powiedział i coś w jego głosie wzbudzało czujność Ireny, cień ironii, gniewu, może niechęci? – Chodź!

–Tenaz?

–Lord Horn życzył sobie, żebyśmy w miarę możnośoi byli Jak najszybciej. – Znów ten odcień sarkazmu czy oschłości; ale nie obdarzył jej porozumliwawczym spojirzeniem i jaik zwykle nie-przenikniiony poprowadził ją ze swego domu przez ulicę ku wysokiej, kunsztownej, otwartej "bramie, iktóra wiodła do dworu. Milczał, kiedy szli alejkami wśród trawników. Po ich prawej stronie piętrzyły się zbocza góry porośnięte ciemnym lasem. W jednym tylko miejscu odsłaniał się na chwilę widok na urwiste skały sterczącego w dali szczytu. Przed nimi wznosił się okazały budynek z brązowego kamienia, ciepło zalegało w nim niczym światło zachodzącego słońca, wieczorna zorza.

Jakiś staruszek otworzył im drzwi,1 poprowadził pirzez zimne, skąpo umeblowane, wyniosłe komnaty i po schodach do prze80

szklonej galem. Okna tej galerii wychodziły ima wschód; ponad rozległym,

'opadającym w dół zбочem rozitacizał się widok aria daleka. wschodni masyw rysujący się ostro na tle nieba. W przeciwnym końcu galeria w marmurowym koo- nimku płonął ogień – stał tam Lord Horn w towarzystwie córki i przybysza.

Był to oczywiście on, ciastowata twarz, ciężkie ręce. Przeniosła spojrzenie na człowieka stojącego obok niej: smagły, surowy, piękny profil, opanowany, powściągliwy, silny. Mistrz nie odezwał się 'ani słowem, 'nie zdradził 'najmniejszym gestem, ale była świadoma jego inienawiści, tak jak i swojej własnej.

Lord Horn postąpił naprzód ma swój sztywny, powolny sposób, aby Ach powitać. Córka uśmiechała się blado. Była blondynką, Irena zapomniała o tym. A więc 'me wszyscy itutaj byli ciemnowłosi. Włosy tej dziewczyny były jasne i wełniste niczym owcze runo.

–Irena, nasza przyjaciółka – dokonał prezentacji Lord Horn. – Nasz gość, ia twój rodak, jak sądzę. Nazywa się Hiuradjas.

Spostrzegła, że ją poznał. Przestach, zaskoczenie, potem nadzieja przemknęły po jego twarzy jedno po drugim niczym w telewizyjnej farsie. Zrobił krok naprzód z ociężałą skwapliwością i powiedział po angielsku zacinając się:

–Cześć... ja, ja przepraszam... bo... ja mię znam tich języka, tak jak mówiłaś.

Cofnęła się o krok, żeby nie zimnie jsizy ć odległości między ni-md..

–Lordzie Horn – powiedziała – kiedy jestem tutaj, mówię językiem, jakim 'się tutaj mówi.

Intruz ii dziewczyna o bladej twarzy madonny wbili w nią wzrok.

Mistrz sifcał czujny jak jastrząb, co odgadła z przechylenia jego głowy; ale Lord Horn nic mię odrzekł, tylko powoli, jak zwykle, popatrzył na Mistrza. Zapadła dzawina cisza, trudnią do zniesienia.

–On nie włada inaszym językiem – odezwał się stairzec. – Czy pomożesz nam porozumieć się?

Mistrz nie dał żadnego znaku. Powaga starego Pana robiła wrażenie. Niechętnie i Wbrew sobie odwróciła się twarzą do initirud – Mlcj»ce początku Q I

za, nie patrząc ma niego, lecz ma 'wyfroterowalią podłogę przed jego hubami – był w tenisówkach, wielkich, długich i brudnych.

–Chcą, żebyś tłumaczyła. Zaczynaj.

–Wiem, że jesteś niezadowolona, że tu jestem – odezwał się młody męski głos. – Zdaje się, że to nie moje miejsce. Nie wiem. Nazywam się Hugh Rogers. Gdybyś miała im powtórzyć coś z tego, co mówię, podziękuj im, byli dla mnie bardzo dobrzy.

Głos uwiązał mu, aż usłyszała, jak zachrypiało mu w gardle.

–On mówił, że trafił tutaj przez pomyłkę – zaczęła zwracając się do Lorda Honna, ale mię podinosząc 'wzroku przy tych słowach. – Pragnie wam podziękować za życzliwość. – Nastawiła swój głos na 'beza'1'amiętny ton maszyny.

–Witamy go serdecznie, po trzykroć serdecznie.

–Mówi, że cię witają – przetłumaczyła na angielski bezbarwnie.

–Kim ci jest? Nigdy nie znam nawet ich imion. Ty jesteś Rayna? Na moment zbił ją z tropu. Powinien mówić do niej Aj-rin. Nikt oprócz matki i mieszkańców Górskiego Miasteczka imię nazywał jej Ireną. Musiał przedtem usłyszeć od nich jej imię. Tak czy inaczej to nie jego sprawa.

–To jest Aur Horn, Lord Horn. To jest Dou Sark, Mistrz Sairk, Mistrz Tembreabrezt. To jest córka Horraa. Nie wiem, jak ma na imię.

–Allia – niespodziewanie odezwała się dziewczyna z wymuszonym uśmiechem, zwracając się 'mię do Ireny, lecz do Hugh'a Rogersa.

Podmógł ją nieśmiałe spojrzenie, potem zmiowu zwrócił się do Ireny.

–Zdaje mi się, że im się zdaje, że jestem kimś, 'kim mię jestem...

Nie pomagała mu wybrać.

–Czy możesz im powiedzieć, że ja jestem nietutejszy, że przychodzę, ino wiesz, skąd, a że to pomyłka.

–Mogę powiedzieć. To niczego nie zmienia. Jej wzglądliwość wreszcie dotknęła go do żywego. Wypinostował swą przgarbią postać, zmarszczył brwi.

–Słuchaj – powiedział – kiedy tu przyszedłem, wyglądało na to, że na mnie czekają. Zachowują się, jakby wiedzieli, kim jestem. Ale ja 'ich mię znam i nie umiem im wytłumaczyć, że pomylili mnie z kimś, kim nie jestem.

–Nie wiesz, 'kim jesteś tutaj.

–On 'nie wie. Ja wiem – odparł z nieoczekiwaną stanowczością.

–To z powodu drogi, którą przyszedłeś.

–Ja tu mię szedłem. Ja snę tu po prostu znalazłem. Nie wiedziałem, że tu jest miasto, po prostu trzymałem się ścieżki.

–Nikt z snich nie może chodzić tą ścieżką. Nikt stąd. Tylko ludzie, którzy przychodzą z... przez (bramę. Nie pojął tego.

–Czy 'nie możesz lim po prostu powiedzieć, że obojętnie ma kogo czekają, jia tym kimś mne jestem?

Zwróciła się do Lorda Forna i powiedziała:

–Każe mi powiedzieć, że mię jest tym człowiekiem, nią którego czekacie.

–Nie bierzemy go za kogoś innego niż jest – odparł starzec spokojnie. Jego słowa zabrzmiały 'niejasno, dwuznacznie. Z wahaniem przełożyła je na angielski.

–Lord Horn mówi, że dla nich jesteś tym, kim mówisz, że jesteś.

–Wydaje mi się, że jestem tym, ksim om i mówią, że jestem.

–Co w tym złego? – zadrwiła.

–Niedługo muszę wracać. Gzy oni o tym wiedzą?

–Nie będą cię zatrzymywać.

–Ostrzegałaś mimie... 'na początku przy bramie... wtedy. Przed czym? Czy oni są 'niebezpieczni? Czy są w iniebezpieczeństwie?

–Tak.

–To pierwsze czy to drugie? Co to za niebezpieczeństwo?

–Oba. Dlaczego miałabym cię ostrzegać? Czy coś ci zawdzięczam? Sam powiedziałeś, że jesteś tu obcy. To ty jesteś niebezpieczeństwem. Ty jesteś złem, które zaczęło się wraz z twoim przyjściem. Ja jestem tutejsza, to miejsce jest moje. Myślisz, że ci je

e\* 83

oddam, bo jesteś mężczyzną, więc wszystko ci się należy. Ale tutaj to mnę przejdzie.

–Irena! – przerwał Mistrz. – O co chodzisz? Co on powie\*-dział?

–Nic! To głupiec! On nie jest stąd, on nie powinien tu być. Musicie go odesłać i

**zabronić (mu powrottu).**

**–O co chodzli? – zapytał Lord Horn rozwlekle jak zwykle. – Ty nie znasz tego człowieka, Ireno.;- Nie. Nie iznam ii nie chcę znać' Allia powiedziała do ojca swym jasmym, równym głosem:**

**–Przez Irenę przemawia obawa o nas. Lord Horn popatrzył na córkę, na Sarka, na Irenę. Jego oczy, nieomal bezbarwne oczy starego człowieka, przyciągały wzrok.**

**–Nazywamy cię przyjacielem – powiedział.**

**–Jesttem waszym przyjacielem – odparła zapalczywie.**

**–Jesteś. I on również. TamAą drogą, twoją drogą, Ireno, mię przychodZli żadne inieszczęście. Przyszłaś, żeby mówić w naszym dimieniu, on, żeby być pomocnym w potrzebie; tak właśnie ma być. Pierwsze i drugie. Drugie i pierwsze. Tamtą drogą chodzi dwoje.**

**Stała milcząc, wylęknioma.**

**–Chodzę sama – wyszeptła.**

**Wtem niemądre łzy zaikrećiły jej siłę w oczach, musiała odwrócić się, żeby odzyskać panowanie 'nad sobą, wytarła oczy i nos chusteczką, kitórą jej Palizot wsunęła do kieszeni sukmił. Niełatwo było spojrzeć im ponownie w oczy. Jej twarz płonęła, (kiedy wreszcie spojrzła.**

**–Postaram się zrobić to, o co prosicie – wykrztusiła. – Co chcecie, żebym mu powiedziała?**

**–To, co tobie wydaje się 'najwłaściwsze – odparł Lord Hom swym przytŁumikynym, równym głosem. – Mów w naszym imae-mu.**

**Ku jej oszołomiieniu cofmął się za Allię i posępnego Sarka, po czym z ledwo widocznym sztywnym sikiinieniem pod adresem jej i Hugh'a Rogersa wyszedł wraz z tamtymi z komnaty. Pozostała sam ma soim z przybyszem.**

Usiadł na krześle, za wąskim dla niego, potem wstał niezgrabnie i podszedł ku wysokim oknom.

–Przykro mi – powiedział.

Zachodnie światło było zimne. Przysunęła się bliżej do kioman-ka. Była zziębnięta i otepiała po paroksyzmie płaczu. Musi wywiązać się z obietnicy.

–Oto, co ci chcą przekazać, o ile dobrze zrozumiałam- Tutaj dzieje się coś złego, z jakiegoś powodu nie mogą opuszczać rmiastba. Nikt nie może chodzić po drogach. Z wyjątkiem nas, którzy przyszedliśmy z południa. Oni się czegoś boją i wygląda na to, że jest z tym coraz gorzej. Aż przyszedłeś ty; oni sądzą, że to coś odmiie-n.

–Co odmieni?

–Ich lęk.

–Lęk przed czym? Kiedy ja właśnie tu imię czuję lęku. – Odwrócił się od okna. – Niczego tutaj nie rozumiem, ani języka, ani dlaczego nie ma nocy, słońca, ale to nigdy nie budziło we mnie lęku. Czego tu można się bać?

–Nie wiem. Nie opanowałam wystarczająco dobrze ich języka. Albo nie cha o tym mówić, albo jakich nie rozumiem. Mówią tylko, że nie mogą opuszczać miasta i że nikt nie może tu przyjść z nizin. • • •

–Z niLzin... – powtórzył.

–W kierunku północnym, u 'podnóża gór, przez niizilny droga rowadzi do jakiegoś mliasta.

Spojrzała na niego i zobaczyła jego oczy, szaToniebieskie czy mebiesJkie^ szeroko otwarte w dużej, bladej, naznaczonej tęsknotą twarzy. Stał zwrócony ku niej, ale jej nu,e widział, wyobraźnią o-garniał naztny mroku.

–Byłaś tam? Potrząsnęła głową.

–W którym kierunku jest morze?

–Nie wiiem. Nie wtem, jak jest "morze".

–Wszystkie potoka płyną na zachód – powiedział cichym głosem. Spojrzał na nią swym niespokojnym, zakłopotanym wzrokiem

wołu – czoło zmarszczone, skręcone włosy, otwarta twarz, udręczony wzrok Kiedyś dawno temu widziała talki obrazek na okładce książki: mężczyzna iż głową byka pośrodku ciasnego pokoiku. Ten obraz powracał do niej wiele razy w ciemności przed zaśnięciem, ciało tego człowieka a przerażająca, ciężka głowa.

–Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – zapytał, a ona odpowiedziała:

–Nie.

Po chwiii mówił dalej:

–Niedługo muszę iść. Boję się, czy zdążę na czas z powrotem. W przyszłym tygodniu będę mógł przyjść na całą sobotę i niedzielę, mam wolne. Jeżeli oni będą chcaeli, żebym coś zrobił, mogę spróbować. To znaczy z soboty na niedzielę według zegara. Czy... czy zauważyłaś, że godzina zegarowa to jiaakby cały dzień tutaj, mam na myśli dzień i młóc, o ile...

–O ile jest jakiś dzień ii jakaś moc – dorzuciła. To było niezwykle mówić o czymś takim z ia-mytm człowiekiem, słyszeć, jiaak on o tym mówi.

–W jaki sposób przeszedłeś przez bramę za pierwszym razem? – zapytała z czystej ciekawości i przy tym pytaniu uświadomiła sobie, że cała jej wściekłość wyparowała, że pogodziła się z faktem jego obecności tutaj i że dała mu to poznać.

–Jia... – zamrugał. Głos mu się załamał zgrzytawie. – Uciekałem. Od... Nie wiem. Widzisz, ja jakoś utlknąłem. Roibfie nie to, co bym chciał.

–A oo byś chciał?

–Nic. Ważnego. – Te dwa słowa padły zupełnie oddzielnie. – Po prostu chciałbym studiować, ale nie potrafię tego przeprowadzić.

–Co studiować?

–Biblaotekarstwo. To nie ma wielkiego załączenia.

–Dlaczego? Ma. Jeśli to właśnie chcesz robić w. życiu. A teraz co robisz?

–Jestem kasjerem w spożywczym.

–Aha!

–Płacą dobrze. Wszystko jest O.K. No wiesz. Jak się tu pierwszy raz. dositałaś?

**-Uciekałam. Też.**



Ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Nie była w stanie (mówić o tym wszystkim, o zgwałceniu Doris, 'o całej tej szarpaniinie w domu i w ogóle, to było tak dawno, nie ma sensu wracać do tych spraw. Uciekła już od tego. Przyszła tutaj. A tutaj nic z tamtych rzeczy nie istnieje. Tutaj jest spokój i cisza i nic się nie zmienia, zawsze jest tak samo. Tutaj nie pytają cię o nic. Przychodzisz do domu. On nie mógł tego zrozumieć, był obcy. Nie mogła mu powiedzieć, że przyszła tu, hQ^tu-4e8^•a-^J-J[nl^:ość• J^ miłość, jej Mistrz.^ Nikt nigdy się o tym nie dowie, nikt nigdy nie domyśli się tej najważniejszej sprawy i tajemnicy jej żyda. Jego wiek, jego władza, jego niezwykłość, jego surowość nawet, wszystko, co ich dzieliło, przestrzeń sprawiająca, że byli daleko jedno od drugiego, to wszystko pozostawiało dość miejsca na pragnienie bez lęku, pozostawiało miejsce i czas na miłość bez spełnienia, bez cierpienia czy bólu. Jedyłą ceną było milczenie.

Milczała.

Przybysz, 'potężny w świetle padającym z dżina, stał w pół odwrócony od niej i patrzył w dal.

–Chciałbym móc tu zostać – powiedział półgłosem.

Odwrócił się jednak od okna z determinacją i poszedł pożegnać się ze swymi gospodarzami. Pozostała jeszcze przez chwilę, tyle, żeby przekazać jego zapewnienie, że (przyjdzie ponownie do Lorda Hor-nia, który przyjął jego odejście i obietnicę powrotu bez zastrzeżeń, po czym opuściła dwór. Kiedy szła wśród gajazonów (ku żelaznej bramie, myślała o powrotnej drodze, która i ją wkrótce dowie. Spoglądała ma ciemnie zbocze góry, na daleką szarość skalnych płaszczyzn. Przytłaczająca była cisza góry, jakiby jakieś widko zdiusiło głos, który był tam zawsze. Przycisnęła ramiona do drżącego ciała i szła dalej. Po co w ogóle wracać? On musiał wrócić, ale co to ma do niej? Po co podejmować tę długą powrotną wędrówkę przez mroczne bory, do bramy? Dlaczego nie pozostać tutaj, w krainie aini?

Powtarzała to sobie leżąc w łóżku w wysokiej, aliczej sypialni. gospody; dlaczego tutaj po prostu nie zostać, nigdy JUŻ tam nie wracać... Ale nie wiedziała, co by tu robiła, gdyby pozostała, jak wpisałaby się w życie miasteczka, które było całkowite i bez niej. Przyszła z potrzeby pomocy i pragnąc pomóc, nauczyła się od kobiet

prząc i gręplować i chodziła na Długą Halę iż dziećmi, i schodziła ku Trzem Źródłom z kupcami, d wywoływała śmiech swymi potknięciami w mówdeniu, a potem znowu odchodziła. To nie był jej dom;

zawsze nazywała go domem, ale domu nie miała, m)i'eszkała w gospodzie, me było miejsca itu ani gdziekolwiek indziej, które byłoby jej.

Stała nieruchomo pod żelazną bramą z 'zaciśniętymi dłońmi.

–Ireno.

Odwróciła się i zobaczyła, ze uśmiecha się do niej.

–Wstąp do mego domu. Poszła z nam w milczeniu.

W sali z dwoma kominkami zatrzymała się ii 'on również stanął, zwrócony twarzą do niej.

–Pozwól mi iść ma północ dla ciebie, do Miasta. Lord Horn nde pośle mnie. Pośle tego mężczyznę. Pozwól mi iść dla ciebie.

Wypowiedziane słowa wywołały obraz długich dróg, ciągnących się przez spowite zmierschem niziny, lśniących wież, bram, pięknych szarych ulic, które wiodły w górę do pałacu. Widziała siebie, posłańca, który kroczy tymi ulicami. Widziała to, chociaż nie dawała temu wiary.

–Ze mną – powiedział Mistrz. – Pójdiesz ze mną. Wpiła w niego wzrok całkowicie zaskoczona.

–Ten człowiek wyrusza dziiś wieczór. Jutro czekaj na mnie rano przy zagirodzie Gahiara.

–Możesz... czy możemy iść razem?

Przyłbaknął skilniem głowy. Twarz miał posępną Ł (nieruchomą, lecz w Irenlie narastające niewiarygodne szczęście wyśpiewywało: O, mój Mistrzu, moja miłości, razem! – ale w onailozenau; zawsze w miuczeniu.

Sarfe izrobił kilka kroków.

–Ja będę lordem – powiedział bardzo mliękko, głos miał jasny i suchy. – Nie ten^ nie tamten, ale j'a- spojrział na Irenę •z dziwnym iliśmiechem. – Nie 'boisz sę? – 'zapytał po dawnemu, drwiąco.

**Plotrząsinęła głową.**

Po wczesnym śniadaniu opuściła gospodę; w miejscu, gdzie po-ludmowa droga przechodzi w ulicę, skręciła ma prawo, imitując sklepik stolarza Veniny i domek starego Geiby. Maszerowała szybko, jej mocne buciki rozrzuciły spódnice ma boki, aż łyskały pasiaste pończochy. Zadyskała pięści, wargi miała zacięte. Nie brukowania opustoszała droga przechodziła obok zagrody kamieniarza. Czekala tam, z początku niespokojnie przemierzając przestrzeń między cedrami a blokami z grubsza ociosanego kamienia, później zamarla w biernym oczekiwaniu i kiedy go ujrzala wreszcie inadziejodzącego, przyjęła to 'bez ulgi, a naiwiew bez głębszego zrozumienia. Jej uczucia zdawały się oderwane od myśli i zmysłów. Obserwowała, jak idzie igitoki, smukły ciemny mężczyzna o smagłej przystojnej twarzy, i było itak, Jakby go n'igdy przedtem nie widziała i nie znała. Szedł szybko, dość sztywno, nie zatrzymał się mijając obejście kamieniarza. Zdawało się, że na nią nie patrzy.

–Chodź – rzucił.

Przyłączyła się do niego na drodze. Wyglądał jak zwykle, tyle że miał na sobie podróżny płaszcz i nóż czy sztylet w pochwie przytroczony do luźnego pasa, tak jak ikupcy schodzący z góry, ale zaszła w nim jaikaś zmiana; wyglądał jak zawsze, ale ona go nie poznawała.

Droga skręcała nieco. Teraz miasto i bardzo odległy ipróg znalazły się za ach plecami. Droga zaczęła opadać w dół i biegła w rozpadlinie pomiędzy wysokimi rdzawymi zwałami ziemi.

–Idź – powtórzył. Dopiero co zwolniła kroku, żeby się z nim zrówniać.

Piraeszła niewielki odcinek.

–Mitstrzu – powiedziała odwracając się. Staął. Wbił w nią wzrok. Jego oczy i twarz były niesamowite. Ruszył naprzód prosto na nią, jak ślepy. Przestraszyła się.

–Poczekaj ilu – nakazał piskliwym głosem. Zauważyła, że drży mu szczęka. – Poczekaj. Ja... – Znowu stał. Rozejrzał się wokół potrząsając głową, popatrzył na ściany rozpadliny i na drogę. Zrobił jeszcze krok do przodu i nagle ze świszczącym skowytem spróbował się odwrócić; nogi ugięły się pod nim, opadł na czworaki i chwiejnie, zygzakowato zaczął pięć się 2 powroter

górze. Uszli nie więcej niż sto jardów od zagrody kamieniarza. Tam się z nim zrównała.

–Mistrzu – zaczęła – nie trzeba, wszystko jest w porządku. – Próbowała wziąć go za ramię. Odepchnął ją ze ślepią siłą paniki, aż przeleciała na drugą stronę drogi, i pobiegł w kierunku miasta z tym piskliwym, świszczącym krzykiem.

Pozbierała się, w głowie 'trochę jej się kręciło, rękę miała zadrapaną o kamień. Otrzepała spódnicę z kurzu i stała przez chwilę oszołomiona. Wolno podeszła do ociosanego bloku granitu i usiadła na nim, z głową wtuloną w ramiona, z łokciami wciśniętymi w brzuch. Mdlilo ją 'trochę i czuła potrzebę oddania 'moczu. W końcu zsunęła się do rowu pod starymi cedraami i tam przykucnęła. Wyżej, koło domku Gęby, para chudych kóz pobekiwała iż cicha. Wróciła i stała gapiąc się na kamień, na ślady dłuta, nią żyłkowania skały.

–Nae bałam się – powiedziała do siebie, ale nie wiedziała, czy mówi prawdę czy kłamie: była tak przeniknięta i zdominowana przez jego strach.

Nigdy nie wybaczy mi, że go widziałam w takim stanie, pomyślała; miała pewność, że 1^1 jest (naprawdę, i nie mogła zmieść tej świadomości.

Opuściła podwórze kamieniarza, minęła wolno domek Gęby i sklepik Venny.

Mogłam iść, mogłam iść dalej do Miasta, gdyby nie on – powie'-działa do siebie mściwie, z wściekłością, ale wiedziała, że to nieprawda. Ani z nim, ani sama nie poszłaby do Miasta. "Wszystko to była obłuda, kłamstwo i przechwałki, i głupie rojenia. Nie było drogi.

Pozostała tylko przez ten jeden dzień i noc. Właściwie mię miała ochoty w ogóle zostawać. Wszystko zostało zniszczone. A po tamtej stronie zostawiła nie załatwione sprawy. Musi znaleźć nowe mieszkanie i tak dalej, i wtedy tutaj wróci; (może, jeśli zechce. Nie jest niczyją służką. Zrobi, jak będzie chciała.

Serce Jej wiało, kiedy wstąpiła na południową drogę, ale był to serach przed strachem, nic poza tym; szła wytrwale.

Nie obejrzała się za siebie. Nigdy nie -należy oglądać się przez namię. Nauczyła się tego dawno temu, jako dziecko 'bojące się ciemności, biegając w iniesamowitych nocnych szpalerach szkółki drze-welk. Jeżeli się obejrzysz – dopadnie cię. Kroki za pletcami na ulicy w centrum miasta i długa droga do (najbliższego skrzyżowania. Idź i mię oglądaj się. Droga spadała stromo w dół, a las był bardzo gęsty, nigdy dotąd' me odczuwała tak silnie natłoku ipni i plą^tanny gałęzi. Starła się poruszać cicho, a potem starła się nie poruszać cicho, bo to oznaczało sitrach. W końcu usłyszała przed sobą mruczenie wody, Trzeciej Rzeki, strumienia u podnóża góry. Piękny był ten dźwięk płynącej wody, jedyna muzyka 'krainy a(in. Bo ptaki widywało się tu rzadko i nigdy nie śpiewały, mieszkańcy Temibreabrezi też nie śpiewali nigdy, nawet dzieci. Wiatr szeptał alibo niósł swój samotny ryk wysoko wśród konarów, ale tylko woda śpiewała na głos, gdyż przybywała z miejsc głębszych niż lęk. Podieszła do stru-menia, szerokiego i płytfldego w miejscu przeprawy, lśniącego i mi1-gocącego pod starymi, piorośniętymi mchem, pochylonymi olchami, przekomarzającego się wesoło z każdym kamieniemA na swej drodze. Przeprawiła się i uklękła, żeby się napić. Teraz woda płynęła między nią a górą i na sercu zrobiło się lżej.

Podążała swym zwykłym, równym krokiem., który wprawiał w trans; jej dało było 'czujne, ale myśli tak rozwlekle i ospałe, że nie dawały się ująć w słowa, bo nie istnieją słowa ni zdania tak długie – gdy nagle instynikt kazał jej zatrzymać się, nozważnie, lecz gwałtownie, i dopiero gdy nasłuchując zamarła jak głaz, umysł jej sformułował pytanie: co to?

Dźwięk doleciał z przodu. To, co przejmowało trwogą, pozostało za nią z tyłu – ale tu! Białe 'cielsko wyskakujące zza zakrętu, przed nią, tu! W ręku miała kij, znalazła go na górze i używała jako laski – teraz jej saę przydał. Zrobiła zamach z furją przerażenia i uderzyła. Cios 'był wymierzony w twarz, ale lldiedy intruz przedzierał się 'przez zarośla, podniósł ramię, które przyjęło cios na siebie. Staął, głowa opadła mu nieco do tyłu, usifaa maal otwarte, oddychał głośno. Jego oczy były oczami byka z cŁąłem mężczyzny w ciasnym pokoju. Jej ręka, zaciśnięta na złamanym kiju, zdrętwiała. Cofnęła się na ścieżce o ikrok, drugA, nie spuszczaając z niego oczu.

Półotwarte usta zamknęły się, otwarty.

–Nie mogę – powiedział, chrapliwie łapiąc oddech. – Nie mogę się wydostać.

Usiadł czy raczej padł ciężko i niepewnie na skraj ścieżki, zarośnięty gęstym zielskiem. Siedział ze zwieszoną głową, z rękami na kolamach, w zwykłej ociążałej pozie wyczerpającego człowieka. Drżały pod nią nogi po przebytych szoku. Usiadła po turecku w pewnej odległości od niego, odłożyła złamany kij i roztartą zdrętwiałą prawą dłoń.

–Zgubiłeś się?

Skłinał głową. Piers wznosiła mu się i opadała.

–Przegapiłem bramę.

–Z miasta wyszedłeś dwa dni temu.

–Ścieżka bez przerwy prowadziła wosto.

–Szedłeś mi cały czas? Mmąłeś...o miejsce, gdzie powini być brama?

–Uważałem, że ścieżka musi dokądś doprowadzić.

–Wariat z ciebie – mruknęła odęta, ale z uczuciem podziwu dla jego upartej odwagi.

–To było głupie – powiedział swym ochryplym, stłumionym głosem. – W końcu zawróciłem. Myślałem, że pomyliłem ścieżkę. – Machinalnie rozcierał rękę, w którą go uderzyła.

To, co zobaczyła uprzednio w zaroślach, to była jego biała koszula. Z bliska [niezupełnie biała, ze smugami brudu i potu.

Otworzyła chlebak, wyjęła chleb, który dał jej Sofir – nad Trzecią Rzeką zjadła już cały ser, ale połowa twardego, ciemnego chleba została – podała mu przez ścieżkę.

Podniósł wzrok, wziął chleb powoli i zaczął jeść – mgdy nile widziała, żeby ktoś tak jadł chleb: trzymał go w obu rękach i przysuwał do niego twarz, jakby pił albo się modlił. Chleb zniknął bardzo szybko.. Wówczas uniósł głowę i podziękował.

–Idziemy – rzuciła. Podniósł się od razu. Coś w niej drgnęło; jego ociążałe posłuszeństwo i biała, umęczona twarz wywołała przyływ litości, fizyczne współczucie, jakie budzi zranienie.

**–Chodźmy – powtórzyła, jakby zwracała się do dziecka. Poszła pierwsza ścieżką w dół.**



Po przejściu Środkowej Rzeki zapytała, czy chce odpocząć; jest już spóźniony, oświadczył, więc szli dalej.

Zeszli z ostatniego zbocza i po przejściu ukochanego potiofkiu dotarli do miejsca początku. Nie zatrzymała się, pogainiał ją jego lęk. Prowadzili go prosto przez polany, pomiędzy wysoką sosną i wawrzynami, przez, próg.

Na końcu ścieżki w upale, w świetle pełnego dnia, przy zamie-rającym gdzieś na wschodzie ryfku 'odrzutowca, 'w smrodzie.spalanej gumy (napływającym z za wzgórza za'trzymał»a się, żeby mógł się z nią zrównać.

–W porządku? – zapytała z odrobiną 'triumfu.

–W porządku – odparł. Miał szarą twarz, ze zmarszczkami pięćdziesięcioletniego mężczyzny, z dwudniowym zarostem' włóczęgi, był przygarbiony i słał się jak pdJak albo ćpum.

–Człowieku! – powiedziała z przerażeniem. – Ależ ty wyglądasz!

–Powiniem coś zjeść – odparł.

Ponieważ tak długo szli razem, dalej też razem poszli.

–Przychodaisz tutaj co tydzień? – zapytała.

–Co rano.

Trawiła jego odpowiedź przez dłuższą chwilę.

–I zawsze możesz 'wejść? Zawsze jesit brama?

–Zawsze.

Po chwili powiedziała:

–A ja zawsze mogę wyjść.

Wyszli z Pinkusowego Lasu. Światło nad pustymi ugorami było tak jaskrawe, że aż przystanęli. Rozświetlona, brązowa chmura smogu zalegała nad miastem po zachodniej stronie. Słońce przesączało się przez nią rozproszonym, oślepiającym blaskiem. Całe powietrze zasnuwane było smogiem i płonące światłem. Każde źdźbło trawy rzucało cień. Przenikliwe terkotanie cykad narastało i przycichowało, raz krzyknął jakiś ptak, ostro, w lesie, za ich plecami. Piekły ich oczy, twarze pokryły się potem.

**–Słuchaj – zaczął. – Jeśli chodzi o tę twoją tablicę. Przykro mi. Ale nie mogę tam nie wchodzić.**

**–Dobra. Wiem.**

Przygarbiła się i zapatrzyła poprzez pola w odległą autostradę. Przesuwająca się metalowa nić samochodów migotała i razila źrenice odbitymi piromieniami.

–Jia tu mię mam nic do gadania. Najczęściej ilie mogę saę tam w ogóle dostać.

Ruszyli przed siebie na przełaj.

–Przychodzę tu zwykle koło wpół do szóstej. • Milczała.

–Ale nie dam rady dojść do miasteczka na górze i przed pracą wrócić... – myślał na głos, powoli. – W przyszłym tygodniu jest święto pracy. W niedzielę i pomiędzyłek mam wolne. Wtedy (mogę przyjść. Om... tak wyglądało, jakby (mnie prosili, żebym wrócił.

–Prosili.

–W porządku. Więc będę mógł przyjść i zostać dłużej – wymamrotał znowu w ciszę, po czym nagle dodał: – Jeśli chcesz.

Po następnych piętnastu czy dwudziestu krokach dorzucił:

–Pomogłaś mi saę wydostać. Irena odchrząknęła i powiedziała:

–Okay. Kiedy?

–Szósta rano pasuje? Niedziela?

–Może być.

Kiedy wspięli ssie na nasyp powyżej zwirowej drogi, sikręcił na prawo.

–Zaparkowałam siamochód z tamtej stromy.

–W porządku. No to na razie.

–Hej!

Oddalał się powłócząc nogami.

–Hej, Hugh! Odwrócił się.

–Podwieźć cię? Mówiłeś, że jesteś spóźniony. Gdzie ty właściwie mieszkasz?

–Kensiungton Heights.

**–O.K – Kiedy szli w stronę fabryki farb, odezwała się: – Stąd musi być daleko na piechotę. Nic masz samochodu?**

## **94**

**–Czynsz za to zasranie mieszkamie pożera kupę forsy – powiedział w nagłym przyływie pasji.**

**–Mój ojczym może ci sprzedać samochód za pięćdziesiąt dolarów.**

**–Tak?**

**–Będaie na chodzie cały tydzień.**

**Nie chwycił dowcipu, o ile to był dowcip. Słowa 'nie mógł wymówić ze zmęczenia. W samochodzie siedział skulony na przednim siedzeniu. Był najipio'tężintiejszym pasażere.ii. jakiego do tej pory wiozła, wypełniał sobą cały samochód. Czuć go oyło wyschniętym potem, potem strachu. Włosy na wierzchu wielkich, białych dłoni były koliom miedziamozłotego. Udia grube W czasie jazdy nie odzywała się do niego poza pytaniem o drogę. Wysadziła go przed sześciorodzd-nym domkiem, który jej wskazał, Ł od jechała z uczuciem ulg}, że poizibyła saę zwalistego cielska i iueiązliuwej obecności. Nie powiedzia-ła mu, gdzie mieszka, chociaż przejeżdżali koło farmy. Czy rzeczywiście tam mieszika? JaSk ina razie ^i:- 'miieszika (nigdzie indziej. Podobno Rick i Patsi zmów się zesli, ale ma ich gdzieś. Matka nie ibędzie miała nic przeciwko temu,;3fchy pobyla zinowu trochę w domu, i wszystko będące grało, obejdzie się ibez kłopotów, jeśli tylko uda siłę jej schodzić z drogi Wiktorowi. Spałaby z Treese, tio go znie-chęei. Albo li nie. Tak czy inaczej nie ma 'teraz gdzie siłę podziać, dopóki nie znajdzie własnego kąta. Może w centrum. Czy to matka chce mieć ją blisko, czy może ona czepia się matki? Powinna spróbować. Żetoy tylko znalazł się ktoś, z kim mogłaby wspólnie za-mieszikać w śródmeśdu. Na czerwonym świetle sięginęła za siebie, znalazła budzpik, który leżał na jej rzeczach w kartonie nią tylnym siedzeniu. Było piętnaście 'po drugiej. Dobra pora, by jechać do domu i wyładować rzeczy, umyć się. coś zjeść i zacząć szukać mtiiesz-łkaniia. Może znajdzie siię coś ma miarę jej zasobów finansowych. W niedzaelnych gazetach jest dużo ogłoszeń o wynajmie i będzie cz-as na oglądanie. Może od razu dzisiaj coś się jej trafi i przy odiro-'binie szczęścia uniknie nocowania na fanmle.**

To było tak, jak gdyby do tej pory był ślepy, a ona dotknęła go i przejrzał, żeby ją zobaczyć. Patrząc na nią zobaczył świat po raz pierwszy; tylko w ten sposób można widzieć. Teraz każde działanie i każdy przedmiot miały swoje znaczenie, ponieważ uzdrowiła go swym dotknięciem i (nauczyła języka życia. Nic się nie zmieniło, ale wszystko zyskało sens. Jabłka trzy, za osiemdziesiąt dziewięć centów i przeceniony puszkowany pudding po osiemdziesiąt dziewięć za sześć opakowań, w porządku, ale to były liczby i słowa, a on teraz opanował równania i gramatykę: piękno świata. Twarze, których nigdy przedtem nie widział, bo bał się patrzeć na piękno świata. Ludzie stali w kolejce do jego kasy, z niedierpliwymi lub potulni, posłuszni 'nakazom głodu, swego własnego i swych dzieci. Istoty śmiertelne muszą jeść, więc czekali w kolejkach i popychali -(^ druciane wózki. JSJ^yś^umrą... "

Krucze istoty. Byli dokuczliwi, byli nieznośni, kiedy stali tak umęczeni i mię mieli dość pieniędzy, by kupić to, co chcieli, czy inawet to, co im było potrzebne. Wyczuwał ich złość, ale to już nie wywoływało 'złości w nim, ani nie 'budziło lęku, gdyż teraz wszystko było przeniknięte myślą o tej, która przeobrażała każdą rzecz. Twarz chłopczyka taszczonego do kasy przez zmęczoną matkę, cierpliwość i powaga małej buzi, niewyszukany, nieświadomy 'wdzięk obejmującego ramienia matki sprawiały, że miał ochotę krzyknąć, jakby się\* skaleczył albo sparzył w rękę. Wszystko Jwłałp. Dawniej był odrętwiały. Znieczulenie przestało działać. Został przywrócony życiu, odczuwał ból. Ale jego powodem była radość. Pod każdym słowem, które powiedział albo usłyszał, we wszystkim, co 'widział bądź robił, znajdowało się jej imię, a wokół tego imienia, miczym poświata, niczym świetlisity pancierz niezmacona radość.

Wodził 'oczyma za każdą blondynką w sklepie. Żadna nie miała takich włosów jak tamta, miękkich, popielatych, wijących się delikatnie jak ruina, spoglądał na nie jedniak z czułością, gdyż w jakimś 'stopniu przypominały ją.

Ale tutaj nie pojawi się podobna jej kobieta. Tutaj żadna kobieta nie umiała mówić jej językiem. Jej głos był czysty i łagodny. W ostatnim, trzecim, dniu jego pobytu w miasteczku miała na sobie zieloną suknię, miękką, wąską suknię podkreślającą zaokrąglenia wiotkiego ciała. Jej szyja i przeguby były delikaibne i bardzo białe. Za jej przyczyną inne kobiety stały się piękne, ale żadna nie była taka jak ona. I żadna nie mogła być, bo 'ona była jedyna, tam, w innym kraju, w którym człowiek stawał się sobą.

W książkach mężczyźni mówią, że gotowi byliby umrzeć dla takiej (to a takiej) kobiety. Zawsze uważał, że jest to tyleż poetyczne co bez sensu, ot, komunał. Teraz pojął, że te słowa można brać do-słowniie. Bo oto sam odczuwał pragnienie, wręcz tęsknotę, by ofiarować ukochanej tak wiele, by nie pozostawić dla siebie nic, oddać wszystko, wszystko. Osłaniać ją i strzec, służyć jej, umrzeć dla niej – ta myśl napawała niewysłowioną słodyczą; zaparło mu dech, jakby poczuł w ciele inóz, gdy o tym pomyślał.

–Czyżbyś ostatnio przyłączył się do tych Swami Maha-Jiji czy j.ak tam om siłę zwa, co, Buck? Roześmiał się.

–Masz teraz takie samo zezujące spojrzenie, jak ci kudłaci kriszniasi – powiedziała Donna.

Podkpiwała z niego tak ciepło, że musiał się poddać. Zwierzył się z 'cudu, na tyle, na ile mógł.

–Spotkałem dziewczynę – wyznał. Donna z zachwytem i satysfakcją odparta:

–Wiem, że spotkałeś. – Ale naturalnie chciała dowiedzieć się 'więcej, a on pożałował, że zdradził jej cokolwiek. Tio był bład. Tu nie należało wspominać o niczym, co wiązało się z kramą wieczoru. Nie było na to słów.,, Spotkałem dziewczynę" nie odpowiadało prawdzie. Prawda wyglądała tak, że zobaczył księżniczkę, że ją pokochał, że oddałby dla niej życie. Jakżeż Donna mogłaby to zrozumieć?

Miała dobre serce. Chyba zrozumiała, że^ żałuje swojego wyznania, skończyła więc z przycinkami, a nawet z pytaniami. Ale gdy na niego patrzyła, w jej spojrzeniu czaił się chochlik, wesoły, porozumiewawczy błysk. Nie chciał go widzieć. Donna była równa

7 – Miejsce początku g'7

babka. Donna była bardzo mliła, ale jakże ktoś takii mógłby zrozu-innieć, co go spotkało: niesamowitość, 'tajemnica, tragiczny lęk; zagrożona jasnowłosa kobieta,

którą kochał w malcendzu, w milczeniu 'uwielbienia, w milczeniu wiecznego półmroku borów tamtego świa-tia.

Tutejszy świat z dniami i nocami był przez cały ten tydzień dłostatecznie niezwykły. Sadzał, że gorące pragnienie powrotu do miasteczka na górze uczyni czekanie udręką, ale 'nie. W rzeczywistości mapawał się i delektował tymi dnian-ró, gdy 'w 'pracy ialbo w drodze do domu, albo w domu pieścili mysi o swej ikisieżmiazce, jej imie-<niem wypełniał całą świadomość, zamiast sterczeć w Jej obecności, niezgrabny i niemy, nae potrafiąc do niej mówić, zgadując tylko, co mówi ona.

W tym tygodniu nie chodził rankami nad strumień. Bał saę ryzyka, że brama może być zamknięta. Nie ufał sobie. Dlaczego był tak głupi, że minął próg, którego me było, i parł wciąż do przodu, skoro wiedział, że droga prowadzi donikąd. Przecież gdyby od razu, kiedy spostrzegł, że nie ma przejścia przez bramę, zawrócił do Górskiego Miasteczka i poprosił tę dziewczynę o pomoc, zaoszczędziłby sobie całego koszmaru, tej wędrówki bez końca, tego wmawiania sobie, że jeżeli tylko będzie szedł prosto, to,, 'na pewno stąd wyjdzie", a tej pian'iki. 'której ruległ, gdy zdawało moi się, że zgubił ścieżkę, i przerażenia, i głodu. Wszystko to było głupie i niepotrzebne i nie tylko wyczerpało go do tego stopnia, że każdy dzień w pracy włókł się długo i mozolnie, ale także poderwało zaufanie do samego siebie, czy może do tamtego miejsca.

"Tu właśnie niczego się nie boję" – powiedział tej dziewczynie w domu Allii w długim pokoju z oknami wypełnionymi przejrzystym półmrokiem, ale to JUŻ nile była prawda. Wiedział już coś niecoś na temat ryzyka, które podejmował wracając tam. Wiedział też, że wie o nim tylko coś niecoś. Tam czaiło się niebezpieczeństwo, a on nie miał pewności, czy zareaguje rozsądnie. Biorąc pod uwagę to i fakt, że przejście przez bramę było niepewne, należało oceniać szamsę powrotu najwyżej na pięćdziesiąt procent. Uznał ten bilans za wyraz równowagi obu światów ii zaakceptował. Ryzykiem była Służba, za którą tęsknił, była jego szansą. Tak czy owak, póki prze"

bywał w zwyczajnym świecie z jego iluzorycznymi wyborami, przyziemnymi problemami i szamotaniną, cieszył się światłem dnia.

Odczuwał skrupuły wobec matki, zachowywał smutną cierpliwość ukrywanego wiarołomsitwa, wystawianą ma próbę tylko przez Jej ustawiczne rozjątrzenie. Nie wybaczała mu niczego. Kiedy w niedzielę po południu przyszedł o parę godzin później, niż obiecał, 'posypały się gorzkie wyrzuty, że jest nieodpowiedzialny. Rozumiał to, ale mię pojmował, dlaczego jego rzucające się w oczy wyczerpanie (miezręczynie tłumaczył: „poszedłem na skróty i zbłądziłem”) wywołało taką wrogość i wzgardę.

–Zabłądziłeś w lesie? A po co poszedłeś do lasu? Jeśli ktoś jest taką ofermą, to głupota, głupota, głupota pchać się tam. Takim Ludziom jak ty powinna wystarczyć sala gimnastyczna. Nie nadajesz się mia harcerz.a. Co chcesz w ten sposób udowodnić? – I talk dalej; dosłownie ją ponosiło, a jej niekontrolowane rozdrażnienie nasuwało myśli, że- nie tyle jego powrót w oplakany stan tak ją wzburzył, co w ogóle jego powrót. To wszystko nie trzymało się kupy.

Ostatnio chodziła na seanse do Durbiny trzy albo cztery razy w tygodniu i przesiadywała tam czasem do północy. Dołączyło się do nich jeszcze kilka osób zainteresowanych spirytyzmem. Pani Rogers okazała się utalentowanym medium, potrafiła prowadzić auto-matyczny zapis bez zapadania w trans. Ten dar pozwalał im na ożywioną konwersację czy też korespondencję z jednym 'z dawnych wcieleń Durbiny, kapłanką Izis. Podręczny stolik w pokoju dziennym Rogersów zavalony był książkami o starożytnym Egipcie, bądź pożyczanymi od Diurbiny, bądź, mimo wysokich cen, kupowanymi w księgarni. Kiedy kapłanka Izis kwestionowała jałklieś twierdzenie wyłożone w którejś z książek albo poprawiała błędnie odczytany hieroglif, pani Rogers triumfowała. Czasem po powrocie do domu matka opowiadała z ożywieniem, co się zdarzyło podczas seansu, ale gdy tylko Hugh próbował podjąć temat, skrzydła jej opadały.

–Oczywiście, ciebie tego typu sprawy nlie zajmują – mówiła bez względu na to, co powiedział czy o co zapytał. Wiedział, że jest szczęśliwa wśród tamtych ludzi, którzy podziwiali ją i cenili jej zdolności spirytystyczne, że bryluje wśród nich. Ale nie potrafiła



tego odprężenia i radości przenieść do domu. Nowe zainteresowania jeszcze pogłębiły jej podejrzliwość i rozdrażnienie. Hugh nie był w stanie niczym jej zadowolić. Jeżeli robiła przepiórkę, wyrzekała z pasją 'na skarpetki nie do pary, koszule z brudnymi kołnierzykami i plamami od trawy, podkoszulki nie wywrócone na prawą stronę;

ale jeżeli Hugh brał się za pranie, prała wszystko drugi raz twierdząc, że nie zrobił tego jak należy. Jeżeli przynosił coś 'ze sklepu, bo akurat była wyprzedaż czy jakaś okazja, inazywiała to przedwczorajszym święństwem i przetrzymywała w lodówce, dopóki sam mię wyrzucił. Kiedy oboje byli w mieszkaniu, dawała mu odczuć, że bez przerwy jej zawadza, ale nie zmieniała zasady, że musiał być przed nią w domu, obojętne kiedy wracała. Skoro mijali się kilka razy w tygodniu, a mimo to obecność syna tak jej wadziła, to jak wytrzymają ze sobą po jego powrocie? Ale sprawy tak się miały, że odchodził. Wobec tego faktu bezdyskusyjne żądania matki stały się w końcu nieważne. Jej szorstkość i zniecierpliwienie dotyczyły go, ale niezbyt głęboko; jego pragnienia były poza nią. Żadne ostrze noża nie mogło go dosięgnąć, gdy szedł myśląc o Allii.

Gorąco jest, tłumaczył sobie, każdy robi się zły, gdy jest gorąco. Przeszedł przez długie dni tego tygodnia najczęściej w milczeniu. W nocy nie spał głęboko, lecz śnił coś i budził się, nieraz wstawał po północy a stojąc przy oknie patrzył na gwiazdy albo na pierwszą wysoką zorzę świtu.

W piątek Donna, która nie pracowała w soboty, zapytała, co ma Ziamiac zrobić w wolne dni; odpowiedział tak, jak sobie zaplanował:

–Wybieram się na wycieczkę z jednymi znajomymi. – Donna spojrzała na niego przelotnie spod oka; kochając kobietę zasługiwał nią aprobatę całej kobiecości reprezentowanej przez nią – jeśli to była aproba. Wtem spojrzała na niego wprost i wyraz jej twarzy 'się zmienił. Położyła mu rękę na ramieniu.

–Żeby ci się tylko nic nie stało, Buck – powiedziała.

–Co mi się może stać na wycieczce?

–Nie wiem – odparła, jakby ją to samą zdziwiło, i zbyła sprawę śmiechem.

Ale jej spojrzenie i słowa, i dotknięcie pulchnej, stwardniałej

ręki z pomalowanymi na czerwono paznokciami stały się dla niego talizmanem, podporą w potrzebie, bo 'był ktoś, ikto się o niego niepokoił, chociażby daremnie, wyczuwając intuicyjnie, że znalazł się w tarapatkach czy niebezpieczeństwie.

Jeśli spirytystyczny italeint matki pozwalał jej przeczuwać coś podobnego, uważała, że jest sam sobie winien, uznawała to za przejaw zdrady i nie wybaczała mu.

W piątek wieczorem powiedział, że chce wyjechać na niedzielę i że 'nie wróci ma moc. Przez cały tydzień bał się tej chwili. Wymamrotał z góry przygotowany tekst, że idzie z kolegami na wycieczkę do rezerwatu na północ od miasta, wsiądzie w niedzielę we wczesny poranny autobus, nie wróci na noc i w domu będzie w poniedziałek po południu. Nie odrywała oczu od ekranu telewizora, kiedy mówił, mię był pewien, czy słyszała. Chociaż poczucie winy hamowało mu oddech, dokończył swoją kwestię i umilkł nie pytając o zgodę, mię pozwalając sobie na takie pytanie, gdyż zgoda, zezwolenie, akceptacja, której tak zawsze pragnął, nigdy nie była i nie miała być jego udziałem. Ale również (nie pozwolił sobie na gniew i gdy wstała po skończonym programie, żeby wyłączyć telewizor, zapytał najnaturalniej jak mógł o jej ostatni seans. Nie odpowiedziała. Wzięła książkę o Echnatomie i zasiadła nie zaszczycając go ani spojrzeniem, ama słowem. Usiłował sobie wmówić, że jej milczenie jest łatwiejsze do zniesienia niż którakolwiek z jej zwy<sup>^</sup>yich tyrad, ale gdy tak siedział z mą w jednym pokoju próbując czytać „Time”, zauważył, że zaczyna się trząść jak w febrze. Wstał i poszedł do swego pokoju. Nie odpowiedziała ma jego "dobranoc".

Normalnie w sobotnie ramki wylegiwała się długo w łóżku, ale tego dnia wstała i wyjechała samochodem, zanim Hugh się obudził. Poszedł do pracy jak zwykle. Był to ciężki dzień, przed dwoma dniami świąt. Nie zastał jej w domu, kiedy przyszedł z pracy. Kolację zjadł sam. Wróciła o wpół do jedenastej, wyglądała mi-zenna, posępnie, trochę miechlujnie w kretonowej sukience. Nie odpowiedziała na jego przywitanie, od razu sklienowała się przez hali do swego pokoju.

–Mamo – powiedział, a w jego głosie musiała być siła uczu<sup>101</sup>

cia, bo zatrzymała się, choć nic odwróciła aię do niego twarzą. Milczenie zalecało między nimi jak coś materialnego.

–Nie ma sensu, żebyś tak minie nazywał – powiedziała suchfo, wyraźnie, i poszła do swego pokoju zamykając za sobą drzwiA.

A kogo mam talk nazywać? – pomyślał. Miał uczucie, jakby coś z niego wyjmowano, coś z jego ciała, przycisnął ręce do żeber, żeby się osłonić.

Nie było 'nikogo, kogo by można nazywać ojcem, teraz n»ie ma.nikogo, kogo można by 'nazywać matką. Ale fajnie, urodziłem się bez rodziców. Nie ma sensu, ona ma rację. I icała reszita tych bredni, kraina wiiieczoru, miasteczko, Allia też nie są rzeczywisifce. Dzieclina-da. Ale ja 'nie jestem dzieckiem. Dzieci mają ojca i matkę. Ja nie jestem, mię ja. Ja mię mam niic i nie jestem niczym. Stojąc w hallu uświadomili sobie, że talk jest rzeczywiście. Właśnie wtedy przypo-mnało mu się, fizycznie, ciałem, mLe umysłem, dotknięcie ręki Donny, dźwięk jej głosu: "Żeby ci się tyklo nic nie stało, Bu»dk". Odwrócił się od drzwi pokoju matki, poszedł do kuchni, potem do sie-bue, żeby przygotować wszystko ma nano: ubrainie na drogę, chleb, salami i owoce na długą wędrówtkę na górę.

Obudził się o trzeciej, potem o czwartej. Wstałby i ruszył w drogę, ale nie było sensu wychodzić tak wcześnie, skoro umówił się z dziewczyną, że spotkają saę o szóstej. Przewrócił się na drugi bok i próbował zasnąć. Półmrok świtu w pokoju, niewyraźna jasność bez cienia przypominała światło tamtej krainy. Budzik tykał w gło-wiach łóżka. Wpatrywał się w blialiawą tarczę. Obie wskazówki skierowane były w dół. Tam, tam mię było zegarów. Nie było godzin. To nie rzeka 'czasu porusza wskazówkii zegiara. Porusza je mechia-mizm. Widząc, jak się piosuwają, ludzie 'mówią: czas mija, mija, ale zegary, które sami zrobili, 'oszukiwały ich. To my mijlamy w czasie, myślał Hugh. My ddziemy. My wędrujemy wzdłuż strumieni, rzek; czasem możemy przejść przez strumiLeń... Leżał, drzeimiiąc, do piątej. Kiedy zablokowany budzik pstryknął, 'wstał i poczuł pod s)to-pafmi zimno podłogi. W dwie mdJnuity 'ubrał się i 'wyszedł z domu.

Był przy brainyle przed szóstą. Dziewczyna już czekała.

Ciągle nie był pewien, jak jej ima imię. Kiedy wymawiali je ludzie; z kramy półmroku, brzmiało to jak Rama czy Dama; poprawiła go, kiedy powiedział Rama, ale nie z.rozuimiał, jak powinno brzmieć. Nazywał ją "dziewczyna", kiedy o niej myślał, a słowo to pojawiało się w otoczce 'ciemności 'i gniewu, i szmeru płynącego ruczaju. Stała przy jeżynowym gąszczu w 'niebieskawym, przesyconym kurzem, ciepłym świetle wczesnego poranka pod słabo ulistnio-nymi drzewalrm przy wejściu do lasu. Plodniiiosa wzrok, kiedy usłyszała, że nadchodzi. Jej blada twarz nie złagodniała, ale dziewczyna wyciągnęła odwróconą, poplamioną na czerwono dłoń podając mu jeżyny.

–Dojrzewają – powiedziała i przesypała je w jego rękę. Były drobne i słodkie od sierpniowych upałów.

–Sprawdzałaś, co z bramą?

Zerwała jeszcze parę jeżym i dołączając dio 'mego na ścieżce podała m'u.

–Była zamknięta – wyprzedziła go iniieco i 'zajrzała w obniżający się wśród zarośla,

tunel ścieżki.

–Teraz jest tutaj.

–Tędy. – Zatrzymał się jednak na progu dzielącym dwie krainy i odwrócił się, czego nigdy przedtem mię robił, aby spojrzeć na światło dnia, zakurzone liście, skąpany w słońcu błękit pomiędzy liśćmii, trzepotanie 'brązowego ptaszka przefruwającego z gałęzi na gałąź. Wreszcie odwrócił się i wszedł w ślad za dziewczyną w półmrok.

Kiedy ukląkł dło swego pierwszego obrzędowego łyku z ruczaju, spostrzegł, że 'dziewczyna zrobiła to samo. Klęczała na półce skalnej spoglądając w dół na płynącą wodę, nie konwencjonalnie, tak jak się klęka do modlitwy lub oddając hołd, ale z całej jej postawy poznał, że woda ta była dla niej tak jak i dla niego święta. Potem powiodła wzrokiem wokół (i wstała. Przeprawili się przez strumień i razem wkroczyli w wieczorną krainę. Szła naprzód w milczeniu. W lesie również Ramowało całkowite milczenie, od kiedy pozostawili za sobą głos strumienia. Najmniejszy wiatr mię poruszał losómi.

Po (niespokojnej, źle przespanej nocy Hugh czuł się otępiały

i odpowiadało mu, że idzie bez słowa i bez rozmyślań, w szybkim tempie, które narzucała dziewczyna. Wszelka myśl i wszelkie uczucia znalazły ale w stanie zawieszenia. Znowu uległ wrażeniu, że mógłby tak iść bez końca wielkimi krokami, bez wysiłku odmierzając drogę pod imeiruchomymi drzewami, czując na twarzy chłodne powietrze lasiu. Ta wizja mię wzbudzała w nim lęku. Wtedy gdy przeoczył bramę, kiedy zabłądził, przerażała go myśl, że mógłby iść i iść pod drzewami w półmroku i nigdy żadnej zmiany, żadnego kresu; ale teraz, z kompasem, na właściwej drodze, był zupełnie spokojny. A na końcu bezkresnej podróży widział Allię niczym gwiazdę.

Dziewczyna zatrzymała się i zaczęła czekać na niego na ścieżce. Niska, krępa postać, dzinsy, kraciasta niebieska koszula, okrągła, chmurna twarz.

–Głodna jestem. Chcesz zrobić postój i coś zjeść?

–A to już czas? – zapytał niejasno.

–Już jesteśmy prawie przy Trzeciej Rzece.

–Okay.

–Wzięłaś coś ze sobą?

Nie mógł zebrać myśli. Dopiero kiedy wybrała miejsce ma po-sitój blisko ścieżki, obok wpadającego dło rzeki strumyka, który pty-nął równolegle do ach drogi, odpowiedział nią jej pytanie oferując do podziału SWÓJ chleb i wędlinę. Dziewczyna przyniosła czerstwe rogalaki, ser, jajka na twardo i torebkę małych pomidonków, mocno sponiewieranych po drodze, ale nęcących swą jaskrawą, czystą czerwienią w tym miocznym miejscu, gd'aie wszystkie kolory były przytłumione a gdzie nie kwitł żaden kwiat. Złożył swój prowiant obok jej zapasów; kiedy wziął pomidora T. jej 'wiktuałów, ona wzięła plasterki salami z jego; potem częstowała się już swobodnie. Poczł sŁę strasznie głodny i jadł o wiele więcej mi. ona, ale ptoinieważ jadł szybciej, skończyli maliej więcej równocześnie.

–Czy to miasteczko na górze Jakoś się nazywa? – zapytał:

zabierając się do ostatniego kawałka chleba z salamli, rozbudzony wreszcie, ale ciągle nie pozbierany.

Powiedziała parę słów, a może jedno długie słowo w języku tej kraimy.

–To oznacza po prostu Górskie Miasteczko, tak je nazywam, kiedy myślę po angielsku.

–Ja chyba też. Jak ty... Jakoś tak nazwałaś to miejsce, raz, kiedyś. Całe to miejsce – wskazała kanapką w strofię drzew, półmroku, rzeki za nimi i przed nimi.

–Nazywam je krainą ain – błysnęła oczami w jego kierunku nieufnie i wyzywająco.

–Czy to jest w ich języku?

–Nie – zaprzeczyła niechętnie. – To z piosenki.

–Z jakiej piosenki?

–Był kiedyś w naszym szkolnym zespole taki jeden, który to śpiewał, i przyczepiło się do mime. Nawet połowy inlie mogłam zrozumieć. To jest chyba po szkocku. Nie wiem nawet, co oznacza "ain". – W zażenowaniu mówiła tak, jakby była zła.

–Zaśpiewaj – poprosił Hugh bardzo cicho.

–Połowy słów nie znam – odparła i witem mię patrząc w je go stronę zaśpiewała:

Kiedy w pączku kuli się kwiat

i drzewo się liśćmi okrywa,

wiedzie mnie w dom skowronka śpiew,

do ain krainy mnie wzywa.

Głos jej przypominał głos dziecka, głos ptaka, naturalny, czysty, łagodny. Ten głos i ta tęskna melodia sprawiły, że włos jeżył mu się nią głowie, oczy zaszyły mgłą 'i drżenie lęku czy (rozkoszy przeszło przez ciało. Dziewczyna podniosła wzrok, wpatrując się w niego pociemniałymi oczami. Uzmysłował sobie, że wyciągnął rękę w jej stronę, żeby uciszyć śpiew, chociaż nie chciał, żeby przestała, nigdy n'ie słyszał równie słodkiej melodii.

–Nie powimno się... nie powinno się tutaj śpiewać – powiedziała szeptem. Popatrzyła wokół, a potem znów na niego. – Nigdy dawa-niej nie śpiewałam. Do głowy mi nie przyszło. Dawniej tańczyłam. Ale nie śpiewałam nigdy... Wiedziałam...

–W porządku – powiedział Hugh bez związku – wszysibko będzie w porządku.

Oboje zastygli w bezruchu wsłuchując się w delikatne mruce-rńe sitrumyka 1 niezmierną caszę lasu, jakby 'niasłuchiwali odpowiedzią.

–Przepraszam. Głupie to było – wymamirotała w fkońcu.

–Dobra jest. Chyba powinniśmy ruszać.

Skinęła głową.

Zjadł jeszcze jednego pomidora na ostatek, kiedy zwijali resztki. Poszła znowu przodem, oo wydawało się właściwe, bo o wiele lepiej imz on znała drogę. Szedł za nią do głównej ścieżki, którą nazywała drogą południową. Za niimli 11 przed nimi, na lewo i na prawo trwał inezmacony spokój i głębokie, czyste, niezimienne światło wieczoru.

Kiedy przeszli! przez ostatni z trzech strumieni i zaczęli pokonywać ostatni stromy odcinek, zorientntował się, że ją doganiia, chocnaz inie przyspieszył. Zwolniła kroku lub 'wybiła się z rytmu.

Na grainicy pogónza zatrzymała się. Za zasłoną wiotkich, bladych brzóz pięltrzył się pirzed nimi ii (nad niimli ogromny masyw góry, caemność. Kilika dużych kroków i zrównał się z ima.

–Może by trochę odsapnąć – powiedział; podejście było strome i sądzili, że się zmęczyła, tylko nie chce tego okazać. Zwróciła ku niemu umęczoną twarz, trupftą główkę.

–Nie czujesz tego? – ledwo mógł usłyszeć, co powiedziała.

–Co miałbym czuć?

Serce szarpnęło się i zaczęło walić nieprzytomnie. Głowa jej się trzęsła. Ledwie zauważalnie wskazała w kierunku ciemnego zbocza gony.

–Czy coś jest przed nami?

–Tak – odparła łapiąc powietrze.

–Zastępuje nam drogę?

–Nie wiem – zęby jej dzwoniły, kiedy mówiła. Twarz mfi-la ściągniętą, zgarbiła się Jak stara kobieta. Hiugh powiedział głośno:

**–Słuchaj. Ja chcę dotrzeć do miasteczka. – Ogarnął go 'gniew, mię na nią, lecz na jej sitrach. – Przepuść mnie, pójdę pierwszy.**

**–Nie możemy iść dalej.**

**–Ja muszę.**



Potrząsnęła głową z rozpaczą.

Za wszelką cenę choiał opanować tę nie uzasadnioną panikę. Położył Jej łagodnie rękę na ramieniu •i ziaczał:

–Damy radę... – ale odskoczyła od jego ręki jgak od rozpalonego żelaza, a jej twarz pociemniała z gniewu; wykrzyknęła głośno:

–Nie waż się mnie dotykać!,

–Dobra – powiedział trochę wzgardliwie – nie będę. Uspokój się. Musimy iść dalej. Oni na mas czekają. Obiecałem, że przyjdę. Chodź.

Ruszył pierwszy. Duma nile pozwalała mu się oglądać, 'ale podczas długiego zejścia nadstawiał rucha, 'by 'złović odgłos jej lekkich kroków za sobą. Kiedy ścieżka znowu zaczęła się piąć pod górę, obejrzał się za siebie. Wiedział, co to zinaicszy bać 'się tutaj. Była tuż za nim i ime przystawała, ani nie zwalniała. Twarz pod czarną potarganą czupryną była zamknięta niczym pięść. W koronach drzew wiatr szumiał jak odległe morze – monze, które rozciągało się daleko, daleko na zachód po lewej stronie, tam 'gdzie 'zalegała ciemność. Wędrowała długą ścieżką pomiędzy nocą i dimem. Pirowadziła wciąż •naprzód i naprzód ii gdyby dziewczyna nie podążała za niim, zatrzymałby się. Zbocze góry nie miało lkońca, opanowało go zmęczeim!e. Nigdy w życiu nie czuł się tak znużony. Całe ciało ogarnęła słabość,, omdlenie, które byłoby rawet miłe, gdyby tylko można 'było usaąć, położyć się, przystanąć i odpocząć.

Ciężko szło się naprzód, o wiele łatwiej byłoby zejść w dół.

–Pliugh!

Odwrócił się i oszołomiony rozglądał przez chwilę, zanim ją spostrzegł. Była nie za mim, lecz powyżej, ma 'zboczu wśród d-e-mmych olch. Miejsce było mroczne, nietoo odcięte przez stykające się gałęzie i skaliste zbocza.

–Tędy – szepnęła.

Zorientował się, że dziewczyna stoi na ścieżce. Musiał zboczyć ze szlaku na ukos 'pomiędzy drzewami, w dół.

Te' kilka kroków stromo pod górę kosztowało go iwiele wysiłku.

–Zmęczyłem się – powiedział drżącym głosem.

–Wiem – szepnęła. Wyglądała, jakby płakała przed chwilą, twarz miała zapuchniętą i rozmazaną. – Trzymaj się ścieżka.

–Dobra. Chodź.

Na krańcu zbocza pod olchami było już płasko, ale nie szło się łatwiej, bo narastało zmęczenie, ociążałość, chęć, aby się położyć. Szła teraz obok niego, było dość miejsca dla nich obojga. Kiedy ta ścieżka zrobiła się szeroka jak droga? Teraz dziewczyna narzucała tempo. Usiłował dotrzymać jej kroku. To nie było fair. On jej nie ponaglał, kiedy opadła z sił.

–Tam.

Błysk wśród ciemnego rozległego wieczoru; płomyk ognia, pło-myłk lampy. Lęk i zmęczenie były tylko cieniiami, które padały za nimi z tyłu, ma drogę.

Weszli do imiasta. Zatrzymali S(ię między pierwszymi domami. Dziewczyna stała obok niego z twarzą znużoną, obrzmiałą, przechyloną 'wyzywająco.

–Idę do gospody – oznajmiła.

Usiłował otrząsnąć się z odrętwieffia. Teraz, kiedy znalazł się tu, dokąd pchała go cała siła pragnienia, czuł się 'ociężały, niezgira-bny, nie ma maejsou. Nie znajdował odwagi, by stawić się w wielkim domu, a nile wiedział, gdzie indziej mógłby się udiać.

–Chyba pójdę z tobą – powiedział.

–Czekają na ciebie we dworze.

–Gdzie?

–We dworze. Tak się przedeż mówi na dom lorda. Dom Lor-dia Horna. Tam gdzie byłeś poprzednio.

Mówiła tonem ostrym i drwiącym. Dlaczego obróciła saę przeciwko niemu po całej tej ciężkiej wędrówce, 'którą odbyli razem? Nie można było ma mej polegać, nie można jej było zawierzyć. Lubiła patrzeć, jak robi iż siebie durnia, a on nie odmawiał jej tej przyjemności.

–Na razie – powlediaiał i skręcił w pierwszą boczną 'uliczkę prowadzącą na wzgórze.

–To 'nie ta ulica, następna. Taka ze schodkami – zwróciła mu uwagę i poszła 'w

czym galeon ze swymi spiczastymi szczytami i łukowatymi okienkami.

Ruszył za nią, mimął gospodę, skręcił na lewo i w górę uliczką o wielu schodkach. Powietrze pachniało dymem drzewnym niczym cała jesień zamknięta w jednym tchnieniu, dziecięcy głos rozbrzmiewał w oddali, w dole, gdzie miasteczko stykało się z zamglonymi pastwiskami. Dzikil harmfider dochodził z podwórza za msikim ogrodzeniem przy najwyższym położonym domu tej ulicy. To gęsi syczą – uświadomił sobie, kiedy zobaczył wielkie białoramienne ptaszyska wlepiające w jego oczy. W tym mieście były ptaki i zwierzęta, były głosy, ale żaden głos nie śpiewał. Gęsi syczały i poruszały się. Chociaż doszedł tam, gdzie pragnął dojść, czuł zmęczenie d chłód, zimno mię od wiatru czy niepogody, lecz od środka, od szpilki kości, od samego wnętrza, dojmujący, przykry chłód.

Minął 'kuftą bramę i gazony i podszedł do 'wyniosłego domu;

dach rysował się czernią na wieczornym niebie, dwa okna rzucały łagodne światło na ścieżkę. Uintósł kołatkę w kształcie baraniej głowy i zastukał.

Drzwi otworzył stary sługa i Hugh usłyszał wypowiedziane energicznie i przyjaźnie własne imię i nazwisko, co w tutejszej mowie brzmiało jak jedino obce słowo. Staruszek poprowadził go przez nie oświetlone galerie i otwierając drzwi rozjaśnionej ogniem komnaty o purpurowych ścianach, zaanonsował radośnie tym samym wspaniałym na wpół już znanym imieniem: H j upadłaś!

W rozświetlonej komnacie zobaczył Allię. Wstała upuszczając pirzy tym robótkę i wyszła mu naprzeciw wyciągając do niego ręce. Jej jasne włosy zakołysały się, gdy się podniosła i odwróciła. Nie ma sposobu, by przewidzieć piękno lub by na nie zasłużyć. Ujął jej ręce. Mógłby paść jej do nóg. Nie znał języka, ale głos Allii powiedział: „Witam cię, witam, witam! Wróciłaś wreszcie!”

Powiedział „Allia”, a ona znowu się uśmiechnęła.

Zapytała o coś. Tyle było miękkości i troski w jej spojrzeniu, że wyznał:

–Ciężko było tu iść i strasznie jestem zmęczony. – Ale z jej gestu zrozumiał zaraz, że pytała tylko, czy zechce usiąść, co uczynił z wdzięcznością. Po czym ponownie wstał, wkroczył bowiem

Lord Honn wiltając go z serdecznością zaprawioną czymś, czego z początku Hugh mię rozpoznał: szacunkiem. Ten oto leciwy człowiek, tytułowany lordem, nawykły najwyraźniej do szacunku, traktował go nie tylko z poważaniem, ale j'alk równego sobie, Jakby należeli do jednej rodziny. Jakby Hoirin odwoływał się do jakiejś jego cechy, której on sam nie był świadomy, jakby dostrzegał ją ten starzec i chylił przed nią czoło.

Życzliwość Allii, aczkolwiek nieśmiała i układna, była o wiele mniej powściągliwa niż życzliwość jej ojca. Cała rozmowa, jaką byli w stanie prowadzić, przypominała lekcję języka. Ona z ożywie-iniem wskazywała potrzebne przedmioty, zastępowała słowa 'gestem i mimiką i śmiała się ze sprowokowanych przez siebie jego błędów. Ale wyczuwał, że i w jej stosunku do niego jest coś, czego nie chciał nazywać szacunkiem, a nie śmiał miłością. Jedyne, co mógł przed samym sobą wyznać, to że go 'chyba lubiła, może podziwiała – za co? Czego dokonał? Niczego. Jałk mogła go. cenić za to, czym był? Też przecież niczym. Mimo to w jej miękkim, szczerym spojrzeniu o głosie, nawet w tym, jak się śmiała z jego potknięć, wyczuwało się nutę głębokiego podziwu. Podobnego do tego, jaki on żywił dla niej; ale jej był ten podziw należy. Wszystko, czym była i co robiła, było piękne i godnie podziwu. Jego można było podziwować (tylko przez uprzejmość. Nic mu się nie należało. Ale żeby zapracować, zasłużyć na to, czym go darzyła, żeby być mężczyzną, za jakiego go brała przez pomyłkę, 'zrobiłby wszystko.

Obiad jedM w długiej komnacie oświetlonej świecami. Był tak zmęczony, że posiłek minął mu w odurzeniu światłem i ciepłem. Kiedy znalazł się w pokoju sam, był jak pijany. Sypialnia, w której spędził trzy noce w czasie swego pierwszego pobytu, zadziwiła go swojsk ością. Ściany w kolorze spłowiałego błękdftu, z niemal zatartymi złoceniami, dębowe łoże, korniinkowe wilki o ciężkich okuciach było tak miło rozpoznać, jakby je znaA całe życie. Ten pokój, chociaż absolutnie niepodobny, przypominał mu inny, do którego przez całe lata powracał myślą, poddasze w pierwszym domu, w którym mieszkał – w domu matki ojca. Miał tam łóżko przy oknie wychodzącym na ciemnozielone pola i błękitne wzgórza Georgii. Było)to w innym kraju, dawno temu. Tutaj 'wysokie okna były za110

słonięte 'kotarami. Ogień płonął jasno i niemal bezgłośnie w niewielkim kominku. Łóżko było wysokie i twarde, pościel chłodna, ciężka, jedwabista w dotyku. W tym łożu – ze złotym okiem ognia połyskującym między przymrużonymi rzęsami – nie było sennych widziadeł. Był jedynie sen, rozległa, 'dryfująca ciemność snu. Gdy poniechał wszelkich rozważań, odróżnianie światła, impulsy woli wymknęły mu się, tylko przez chwilę słyszał ponad ciemnością jakiś wąty głos, jakby ptaka:

Kiedy w pączku...

**Przewrócił się na bok, ukrył głowę w ramionach, spychając pieśń dalej, głębiej, ku jej źródłu. Nie było dla niej miejsca tu, gdzie żaden kwiat nie kulił się w pąku, żaden liść nie spadał, a głos nie śpiewał. Ale tu była Allia i wyciągała do niego ręce, gdy skwapliwie wstępował w ciemność.**

**Dlaczego wróciłam? – to pytanie narzucało się uporczywie, diraziniło jak manudzenie dziecka. Odepchnęła je z irytacją: bo musiałam! A teraz imusa zrobić to, co należało robić dalej. Udała się do domu na końcu ulicy ze schodkami i Fimol otworzyła jej drzwi. W pięknym pokoju między kominkami czekała tak spięta i baczna, że wszystko, co widziała i słyszała, było niesamowicie ostre, wyodrębnione; pierwotny, jaskrawy chaos.**

**Do pokoju wszedł Mistrz. Inny niż widziała go ostatnio: nie skulony z przerażenia, skamlący i oślepy. Nic z tych rzeczy. Był wyprostowany, czujny, spokojny i posępny: Mistrz.**

**–Witaj, Ireno – powiedział i jak zawsze nie mogła przemówić ani oprzeć się jego autorytetowi, o powitała z ulgą. Taki właśnie jest naprawdę, powinnam zapomnieć, jak wtedy wyglądał. On jest moim Mistrzem!**

**Jednak inapnzeciw tej krępującej żarliwej oiległości, niczym za szklaną szybą, stanął ktoś chłodny, obserwujący jego i ją. Tem kitoś nie był ani sługą, ani sędzią. Obserwował. Obserwował, jak ona wy111**

**baera twarde, ozdobne krzesło i zasiada na nim i dziwi się, dlaczego tafcie wybrała. Obserwował, jałk Mistrz przemierza komnatę, i zauważył, że chętnie odwraca się do niej plecami.**

**W kominku mię płonął ogień. Powietrze w długiej komnacie było spokojne niczym w zagłębieniu morskiej cienkościennej muszli.**

**–Wkrótce będziemy musieli zarzynać owce – powtiedział Mistrz. – Skończyła siłę pasza na wschodnich niskich łąkach. – Niskie łąki to były pastwiska położone tuż za miastem, ma których normahie wypasano stada tylko w czasie wykotów owiec. – Ale ponieważ sprzedawcy soli nie dotarli, nie będzie można zakonserwować większej ilości mięsa. Wielka uczta, uczta strachu...**

**. Ludność Tembreabrezi hodowała owce mię ma mięso, lecz na runo; ich bogactwem była delikatna wełna, którą farbowano, przędzono, tkaino (i wymieniano na to, oo było potrzebne z nizin. Sam król nosi szaty z naszej wełny – Irena słyszała, jak mówiM.**

**–Czy nic mię możecie zrobić? – zapytała zdjeta przerażeniem ma myśl, ze będą zabijać te piękne, rozważne, cierplive zwierzęta, ich dumę i źródło utrzymania. Wielokrotnie bywała z pasterzami wysoko na zboczach, trzymała w ramionach nowo**

**narodzone jagnięta.**

**–Nie – powiedział swym suchym głosem stojąc tyłem do niej przy oknach wychodzących na tarasowe ogrody jego domu.**

**Przygryzła wargę, gdyż jej pytanie ugodziło w sam środek jego wstydu. Widziała przecież, widziała na własne oczy, że nie był w stanie nic zrobić.**

**–Pewne rzeczy można było zrobić. Zwierzęta wiedziały pierwsze. Należało zwracać na nie uwagę. Dzikie kozy przebiegały w oddali, owce nie zbliżały się do Wysokiego Stopnia; wszystko to wAdzileliśmy. Widzieliśmy, ale wciąż nie robiliśmy nic. Nie ja jeden twierdziłem, że pewne rzeczy należy zrobić. Inni mężczyźni mówili to wcześniej ode mnie. Że musimy zgodzić się na cenę i dobić targu. Ale stare niewiasty podniosły lament, och, nie, nie, nie róbcie tego, to haniebne i zbyteczne. Wszystkie stare niewiasty, między nimi Lord Góry...**

**Zwrócił się k.u niej twarzą. Światło miał za sobą, więc nie mogła dostrzec jego rysów. Jego głos brzmiał ostro i zuchwale:**

–Tak więc posłuchaliśmy rady tchórzów. I teraz wszyscy jesteśmy tchórzami. I wszyscy jesteśmy bezsilni. Zamiast jednego jagnięcia całe 'nasze stada. Żadne z naszych własnych dzieci, litylko ten chłopak, ten głupi chłopak, który nie umie mówić w naszym języku. On ima ruas wyswobodzić! Lord Horn był mądrym człowiekiem, lale ito było dawino temu. Gdybym poszedł do Miasta, (kiedy pierwszy maż o tym zamarzyłem! Ale czekałem przez szacunek dla niego...

Ostatnie słowa nic dla niej 'me znaczyły. Trudno było uchwycić sens tego, co mówił, ale mściwość w jego głosie stłumiła jej zwykłą nieśmiałość. Zapytała bez wahanńa:

–Co masz na myśli? W jaki sposób ten obcy' mia was wyswobodzić? – Kiedy nie odpowiadał, natarła znowu: – Co on takiego ma zrobić?

–Iść nią górę.

–I co zrobić?

–To, co przyszedł zrobić. Jak powiada Lord Horn.

–Ależ on 'mię wie, po co tutaj jest. Sądzi, że wy wiecie. On nic nie rozumie. Nawet ja czułam lęk idąc tutaj, ia on nie.

–Lęk nie ima się bohaterów – powiedział Mistrz szyderczo. Zbliżył się do niej nieco.

–Co to jest, czego się boimy? – zapytała z mocą, chociaż teraz napawał ją trwogą. – Musisz mi powliedzieć, co to jest.

–Nie mogę oi powiedzieć, Irenadja. Twarz mu pociemniała, nabiegła krwią, oczy Iśniały. Uśmiechał się.

–Spójrz na ten olbraz – na moment rzuciła okiem tam, gdzie wskazywał, na portret chmurnego męża. – To był ojciec mojego dziadka. Był mistrzem Tembrea-brezi tak jak ja. Za jego czasów przyszedł strach. On nie dawał posłuchu skamłaniom starych bab, lecz wyszedł i 'udał się na Gorę z zapłaltą w rękę. I dobił targu, A drogi zostały oifwarte. Zszedł 'z Góry aam, z uschniętą ręką, tak jak to widać na obrazie. Powiadają, że ręka była spalona. Mój dziadek jednak, który był wtedy dzieckiem, mówił, że była zimna'w dotknięciu, zimna jak zbutwiałe drewno w zimie. Ale uiscił zapłatę za wszystkich.

–Co on. trzymał... czego dotknął? Czym zapłacił? – naeiskaid tracąc planowanie pod wpływem, lęku i wzburzenia.

–Tym, co kochał.

–Nie rozumiem.

–Nigdy nie rozumiałaś. Kim ty Jesteś, aby nas rozumieć?

–Kocham was – odparła.

–Czy zrobiłabyś to, co 'cm zrobił z miłości dio mas? Czy possałabyś tara do płaskiego głazu i czekała?

— Zroboę wsaysitko, co w mojej mocy. Powredz, co mam robić?

Oczy niiU płonęły Podszedł do iliej tak blisko, że 'uczwała gorąco jego twarzy

–idź z mim – powiedział szc-ptem. – Z obcym. Horn. pośle 'go. Idź z mmi Zaprowadź go do Wysokiego Stepnid, do tego łka-rmenia, do płaskiego s^azu. Dn>gQ ^Tiiasz Możesz z nim iść.

— A potem?

–Pozwól mu dobić laa-gu.

— Z kim? Jakiego targu?

–Nie mogę ci powiedzieć – odparł, a jego śniiiadą, płonąca twarz wykrzywił skurcz – Nie wiem. Powiedziałaś, ze nas kocha-sz. JeśM minie 'kochasz, idź 2 rsirn,

Nie mogła mówić, ale ski.n.ęła głową.

–Uratujesz zias. Ireno – is-zepnął Nachylił się, jakby chciał ją pocałować, ale dotkwęcie.iegto ust było suche 'i lekkile jak do-tlkmiięcie ptasiego plióra, raczej suche, f?oraće tchni'e!me niż dotyk.

–Pozwól mi odejść – powiedziała.

Odsuła się od niej.

Nie mogła mówić i mię chciała na Triego patrzeć. Odwróoiła się przeszła przez całą długość kominaty 'ku drzwiom. Nie odprowadził jej.

Nie wróciła do gospody ani nie posyła odwiedzić Triijat. Zeszła samotnie stromymi' ullicznikami tma wschodnim krańcu miasta, (minęła sikleplik Venmy i domek Gęby i



niarza. Tam siedziała na grafiitowym bloku i na murku przy drodze i krusząc w dłoni malutkie, zgrabne stożki cedrowych szyszek my" siała; "właściwie nie tyle myślała, oo oddawała się żalowi, który musiała wyzalić, tak Jak muzyk musi wygrać melodię od początku do końca. Często jej oczy zatrzymywały się na północnej drodze, na drodze, która prowadziła w dół do Miasta, a którą nie mogła iść.

Następnego dnia została wezwana do dworu. Miała na sobie tę samą czerwoną suknię, 1 mię najlepsze pończochy. Palizott chciała pożyczyć jej nową parę i własne buciki na cienkich podszewkach], "żeby prezentowała się jak należy w domu Lorda", ale Irena odmówiła i wyruszyła przybita, ze zbolałym sercem, wciąż w nastroju otępienia i smu)tk'u, pod którym siłę czaił, jak głęboka, zimna woda pod trzciami przybrzeżnych bagien!, lęk.

Nie spojrzała w stronę szczytu, kiedy szła od żelaznej bramy do dworzyszczaa.

Tak jak poprzednio, stary służący zaprowadził ją do przeszklonej galerii, w której zastała tych samych ludzi. Tym razem Hugh'a Rogersa przyodziali po tutejszemu. Pożalowała, że na przekór im nie założyła dzinsów i koszuli, ia jednocześnie było jej przykro, że nie ma cienkich pantofelków i pończoch w paski. Otaksowała jego sitrojność; wąskie, czarne sptodnie, ciężka samodziałowa koszula, długa kamizelka ozdobiona ciemnym haftem. Dobrze siłę w tym prezentował. Był zwalisty, ale zbudowany proporcjonalnie, szyja w wycięciu otwartego kołnierzyka była biała i silna, głowę ta-zymał 'ume-sioną. Skwapliwie wyszedł jej naprzeciw i zaczął rozmowę, okazując niezręcznie swą dobrą wiołę. Był aiszczęśliwliomy swym pięknym strojem i poklepywaniem po ramieniu przez starca, i wdzięczeaKiem się jego córki, i tym,, że dla niego jest całe jądło i uwaga wszystkich, i przyjaźń, jakiej serce łaknie, a potem przyjdzie wyruszyć stąd, żeby zrobić, czego nie da się zrobić, i Bóg zapłać po to tu przyszedłeś, prawda?

Mistrz już był, rozmawiał ze starym Hobinem i 'kilkoma am-mymi mieszkańcami miasteczka. Ani raz-u nie spojrzała na niego wprost, ale wciąż była świadoma jego obecności, a na dźwięk jego głosu jej serce stanęło w oczekiwaniu.

Córka Lorda Homa stała obok Hugh'a. Mówiła teraz do niego,

•• 115

wyjaśniała mu, co zinaczy słówko "adjia", które dorzuca się do imae-nia, jeżeli chce się kogoś 'nazwać przyjacielem. Usiłowała wytłumaczyć, że jego imię, tak jak oni je słyszeli, Hiuradjas, już samo w sobie zawiera ten przyrostek i byłoby komiczne, gdyby go podwoić:

Hiuradjadja! Mówiąc to roześmiała się dźwięcznym, wesołym śmiechem. Stał

wpatrzony w jej porcelanową twarz i wełniste włosy. Dureń! – pomyślała Irena. Głupi dureń! Czy ty nie widzisz? Ale spostrzegła łagodną linię jego ust, zniieruchomienie oczu i przeraziła się.

–Alliadja – powiedział i rumaemec zalał mu twarz, iusizy i szyję pod jasnymi, gęstymi, spoconymi włosami, a potem zbladł znowu.

Allida pochwaliła go z uśmiechem, słodka i chłodna jak woda.

–Mogliby być bratem i siostrą – usłyszała czyjś głos w pobliżu, ktoś do niej mówił, jak się zorientowała, wyrwana ze stanu współczucia, które owładnęło nią, gdy przyglądała się Hughowi.

Lord Horn podszedł bliżej i stamął koło niej. Nie patrzył na nią, przyglądał się Allid i Hughowi, którzy odcdimali się od pozostałych swymi blond włosami. Pociągła twarz starca była surowa i spoko jlna jnak zawsze. Irena. mikaala zaskoczona osobliwą ironią czy poufałością tej uwagi. W końcu 'zwrócił się do niej.

–Czy długo tym razem zostaniesz z namii, Ireinadja?

–Tylko dopóki będę potrzebna – odparła z 'ironią. I zawstydziła się. To przecież Horn powiedział jej: "Twoja odwaga godna jest 'najwyższej pochwały" – słowa, (które przechowywała jak skarb na chwile frustracji i zwątpienia w siebie. Tam, w innym kraju, w którym nie było dla niej domu, nie myślała o tym, kto je powie-dział, ale - trzymała się ich kurczowo: twoja odwaga, jesteś odważała... Nie będziesz zmuszać matki, by dokonywała wyboru, którego dokonać mię może, nie będziesz prosić o pomoc, której udzielić d nie może. Nie (potrzebujesz pomocy. Twoja odwaga jest godttia najwyższej pochwały.

–Lordzie Horn – zaczęła – żałuję, że nie poszłam do Miasta, •kiedy... kiedy ludzie mogli Jeszcze wychodzić.

–Nlie jedna droga wiedzie do Miasta – odrzekł.

–Czy byłeś tam kiedyś?

Popatrzył na nią swym szarym, odległym wzrokiem.

–Byłem w Mieście. Dlatego nazywają mnie lordem, że tam byłem – odparł uprzejmy, chłodny, spokojny.

–Czy widniałeś Króla?

–Cień – odparł Horn – widziałem jasny cień Króla. – Ale użył słowa rodzaju żeńskiego, więc musiało oznaczać królową albo matkę. Sens wypowiedziomych przezeń słów był nieuchwytny, a jednak rozumiała je głębiej, niż rozumiała cokolwiek innego w swoim życiu. Jego oczy, które zawsze spoglądały jakby z oddalenia, wpatrywały się w jej oczy. Jeżeli wyciągnę rękę i dotknę go, zobaczę wyraźnie, pomyślała. Zasłana zniknie i będę stała równo-eżeśnie tu i tam. Ale ta świadomość niesie zgubę.

Szare oczy Hornia rzekły łagodnie: Nie dotykaj minie, dzieeoko. Gdy tiak stali przy kominiku, ktoś do nich podszedł. Z wolna odwróciła się od Homa i stwierdziła z pełną obojętnością, że jest to Mistrz Sarik.

–Teraz, kiedy Irena jest tutaj, łatwiej nam będzie rozmawiać z naszym gościem – powiedział Mistrz z sizaciunkiem, ale z naleganiem w głosie, zniecierpliwiony.

Starzec popatrzył na niego i przemówił jak zwykle po chwili milczenia.

–Doskonale. Ireno, czy będziesz mówić 'za nas i za iniego?

–Tak – odparła. Poczula, że przytłaczająca ją od tak dawna drętwa ustępuje. Poczula, że znów staje isię panią swej woli. Dała znak Hughowi, pozostali umilkli i zgromadzili się wokół korniintka luźnym półkolem. Najbliżej Hugh stała Allia. Przeniósł spojrzenie swych uważnych, czystych oczu z niej na Irenę, trochę spłoszony i otwarty niczym 'dziecko. Lord Kom przemówił i Irena zaczęła tłumaczyć ołwia jego ii Hugh.

–Prosimy cne o przysługę. Prosimy cię o pomoc. Hugh skinął głową.

–Nie możemy niczego od ciebie żądać. Jeżeli zrobisz, o co cię prosimy, uczynisz to wyłącznie ze współczucia dla tych, dla których nie ma innej nadziei.

–Rozumiem.

–My nie-możemy ofiarować cii pomocy, a ty znajdziesz się w 'niebezpieczeństwie.

Po pewnej chwili Hugh zapytał:

–Co ito za niebezpieczeństwo?

Nie całkiem zrozumiała 'odpowiedź Henna, ale przełożyła ją ma amgielski maj-wierniej, jak umiała:

–My, którzy tutaj żyjemy, boimy się... jesteśmy samym strachem – powiedział – więc nie można stawić czoła wrogowi... tylko ktoś inny, obcy, może odwrócić twarz (tego, jego twarz,... – ja naprawdę Cię rozumiem, co on mówi.

–Zapytaj go, kto jest wrogiem. Zapytała. Horn odparł:

–Oko, które widza., nadaje kształt, umysł, który wie, nadaje imiona.

W miarę jak mówił, padały słowa jpo attigleisbu.

–Ale zagadki – powiedział Hugh z uśmiechem. Rozwagał to, co usłyszał, i chciał zadać jakdeś pytanie, ale powstrzymał się. Cierpliwość pasuje do niego, pomyślała Irena. Było w (ntiim jakdeś dostojęństwo pod pozorami niezgrabności. Może było częścią tej mtezgra-bności.

–W co go wyposażysz na drogę, mój panie? – zapytał Mistrz.

–W szpadę, którą mnie dano, o ile ją zechce – odparł Horn

–Co dasz mu, aby dał, mój panie?

Zaczęła tłumaczyć, gdy nagle uświadomiła sobie, że starzec przemawia, powoli jak zwykle, lecz twardo, z naciskiem:.,

–Jesteś Sark, wnuk twojego dziada, ale gdzie są dzieci jego córki?

–Wszyscy – odparł śniady mężczyzna. – ' My wszyscy jesteśmy jej dziećmi.

–Dziećmi strachu. A więc jesteśmy związani. I Błasze prawice są bezużyteczne. Czy ziniowu nas zaprzedasiz, Satrk? Przemieś BBipadę, Allilo.

Przemierzyła komnatę kierując się ku skrzyni stojącej pod przeciwległą ścianą, uklękła i uniosła wieko.

**Napięcie między Hornem a Misitrzem było talk wielkie, a jego**

źródła tak dla Ireny niejasne, że nie próbowała przetłumaczyć Hughowi tych ostatnich słów. Stali oboje śledząc ruchy Alli.

Jasme runo jej włosów zacałowało, gdy przemierzała •koimm.a-tę z powrotem, niosąc na rękach cie'mkiiie palsmo ositirego światła. Zatrzymała się przed ojcem; skinął krótko 'i 'z powagą w stronę H'ugha. Zwróciła saę!ku niemu i 'unosząc ręce nieco wyżej, uśmiechnęła się, choć jej twarz a wargi pobladyły.

Hiugh spojrział na szpadę i powiedział półgłosem:

–O Boże!

Nie przeniósł wzroku ze szpady na Allię, Homa czy Irenę, aureumiejętmiie Ujął rękojeść d z wyrazem zawziętości przejął hron.z rąk dziewczyny.

Szpada była bez wątpienia ciężka.

Nie uniósł jej, mię próbował obejrzeć ano wypróbować, trzymał ją nieizgrabonie, uniesioną przed sobą, jgak zaporę.

–Sądzę z tego – rzekł obojętnie – że to, z czym mam się zmierzyć, jesit realne.

–Tak mi sfię zdaje – wyszeptała Irena.

–Miałem nadzieję, że chodzi o czary. Byłoby łatwiej. Powiedz im lepiej, że w szkole nie małam szermierki.

Ostrozinie oparł szpic szpady o wypolerowaną podłogę i stał z ręką wsfpairtą m'a gałce, przypiatnując saę rękojeści i klindze z wyrazem powściągliwego respektu. Pięknie uformowany "uchwyt pasował jak ulał do jego wielkiej dłoni, klanga była bardzo cliemfka i dliugta. Gardła, ma której Irena wypatrywała poprzecziziki, jaką widywała ma ihisitnacjach, miała kształt masywmej, owalnej iktryzy wy-saldzanej żółtymi iklejkiotamii.

Gdy oderwała wireshoie' \vziiok od sizpiady, stwiteirdczila, że uczyniła ito pierwsza. Twarz Sarika była sikurcz-ona i postarzała. Horn wpatrywał się ntiefportisizoiny.

'- On imówi, że 'nie ma wprawy we władaniu szpadą – powiedziała Irema czując drobiną złośćkwą satyisfaikcję, coś w rodzaju so-lidaflnóśd, (przeciwko Holnnjowi i un wszystkim, z Hughiem.

–Nie wiem, czy jakakolwiek wprawa zdałaby się- na cokolwiek – odparł starzec. – Ale

**nie mogę wysłać go bez broni.**

Powiedziane to było ze smutkiem i iskierka buntu zgasła w Irenie.

–To jest pewnie jego szpada z Miasta – powiedziała Ireffia do Hugh'a.

–Dziękuję – zwrócił się Hugh do starca w języku zmierzchu, a potem do Ireny: – Dobrze. Czy ona mogą mi powiedzieć, dokąd mam iść i co mam robić?

Kiledy przetłumaczyła jego pytanie, kilfcu mężczyzn, którzy stała w milczeniu przysłuchując się, odpowiedziało:

–Na górę – 'rzekł jeden. A drugi:

–Do góry. A stary Hobim:

–To jest Gara.

Misifcz wszedł im w słowo:

–Pod górę, ma letnią halę, na Wysoki Stopień. Irena wie, jak się tam idzie.

–Nie! – przerwała Allia z dzikim przerażeniem na twarzy. – Pozwólcie iść mnie... Ja z nim pójdę...

–Nie możesz – rzekł Sark – będziesz pełzać nią rękami i kolanami, zanim przejdiesz przez most, błagając, by ci wolno było wrócić. – Mówił z mściwą satysfakcją, której nie stanał się ukryć. Allia zwróciła się do Ojca z rękami uiniesilomymii do zbiegającej twarży, szlochając.

–Powiedz, co oni mówią – Hugh zwrócił się do Ireny z rozpaczą.

–Chcą, żebyś poszedł pod górę, na najwyższą halę. Allia chciałaby ci posłużyć za przewodnika, ale wie, że nie może. Lord Horn... Ale starzec mówił teraz do Sairka.

–Znow płośliłbyś dziecko, Sarik? Znasz drogę tylko w jedną stronę. Ale już nie możesz ani jej posyłać, ani zatrzymać. A droga idzie w dwie strony, w którą stronę mają zwrócone twarze ci, którzy przybyli do nas z południa?

–Powiedz im, że to nieważne – wtrącał się Hugh. – Gdzie mi powiedzą, tam pójdę. Jeśli wyruszę i będę szedł tak, żeby natknąć się na to coś, to na pewno się natknę.



–Droga jest długa i rozwidła się na wiele ścieżek. Pójdę z tobą, JUŻ tam kiedyś byłam.

–Dobra – zgodził się bez wahania. Zwróciła się do Homa:

–Pójdzie. Ja pójdę razem z nim. Starzec skłonił głowę.

–Kiedy mamy iść?

–Kiedy chcecie.

–Kiedy chcesz wyruszyć? – zapytała Hugh'a. Była już roztrzęsiona; pod wpływem łez Allii i jej zbierało się na płacz.

–Im szytaciej, tym lepiej.

–Tak myślisz?

–Chcę to już mieć 'aa sobą – odparł z prostotą. Spojrzał na Allię, która stała podtrzymywana ramieniem ojca; nie podniosła oczu, żeby napotkać jego wzrok.

–Jutro – powiedział po krótkiej chwili. – Spytaj lioh, czy tak będzie dobrze.

–Ty ilu rządzisz.

–,Oczy coś jest mi w porządku?

–Nie wiem. Dlaczego oni nie mogą powiedzieć? To mię fialiir. Z tego, co zrozumiałam, oni cię zwyczajnie wysyłają jak... sama riie wiem. Jak kozła ofiannego. – Nie mogła znaleźć właściwego słowa oznaczającego coś, co składa się z ofiarę.

–Są w sytuacji 'bez wyjścia. Nie mogą zrobić tego, co należy. Jeśli ja będę mógł, Ho w porządku. Wszystko gra.

–Według mnie nie powinieneś iść.

–Po to tu przyszedłem – odparł. Spojrzał na nią 'bez śladu zażenowania. – Ale co z tobą? Jeśli uważasz, że to jakaś podejrzana historia... Po co mamy robić (głupstwa obydwójce?)

Widziała, jak światło płomienia biegnie długimi pasmami ciepłej czerwieni po kładzie szpady.

**–Znam drogę. Przyda ci slię ktoś taki. Zresztą nie chcę tu zostawać. Już nie.**

**–Ja mógłbym tu zositać na zawsze – rzekł półgłosem patrząc na Allię, nie na twarz, lecz na białą rękę odcinającą się od niebiesko-zaelonej sukni.**

–To ci aię pewno spełni – powiedziała Irena, ale mimowol" me współczucie przytłumiło gorycz, świadomość tego, że zdradza (i jest zdradzania; mię zrozumiał jej.

Proszono, by pozostała i wzięła udział w obiedzie we dwon-ze, ale wymówiła siłę i wymknęła przy (pierwszej sposobności).

Hugh nie potrzebował tłumacza, lepiej dawał sobie radę bez znajomości języka, inoż ona z całą swoją bielgłością. A poza tym me mogła już dłużej znieść ich obecności. To j'ej wiina, głupia była. A teraz jest już za późno. Za późno na wszystko. Nie zwracała uwagi nią tego mądrego i 'niebezpiecznego człowieka 11 związała się a. tattn-tym o pustym sercu. Oszukała sama siebie, wybrała rolę sługi. Tak więc teraz pozostało jej tylko piatrzyć ma swego mistiraa, swoje zwierciadło i nie wfidzieć w mm wiary, udzctiwości, odwagi. Jego mirocność była puistiką, a jedynym auJtencycznym uczuciem zazdrość.

A jednak gdyby tak spojrzeć na niego oczami Allii, czyż nie dositrzegłoby się w nim diummelgo męrozysiny, (którego widziała lire-na? Było tak, jokiby ci dwoje niależeli do siebie, on ciemny i impiul-sywny, oTLa jasma i dhlodtna. Jak mógł nie być zaizdrosmy, gdy ikiolo iniej stał Hugh? Brat i siostra, powredztał Lord Horn spoglądając na Hugh'a i Allię, ale patrząc na Allię i Sarka powiedziałyby: kochanek i kochanka, mąż i żona. I tak właśnie powinno być. Wszystko (tutaj było, Jak być powinno Ł jaik <być musi, wisizytstko z wyjątkiem niej, 'bo tu nie jest jej imliejsce, ani (migdzlie lindeflej, mię ma domu, nie ma lblisikich.

ZjaldAa kolację w towarzystwie Palazot i Sofiina, pozostała potem na trochę w irozśwfetlonej promieimamli kuchni z Palizot, Oile inie było już powtrotu do diawnego spoflcoju. Nić, na którą nanilzała swoje żydzie, została pfraerwana; 'gra saę skończyła. Udiawiała, że jest ich córfeą, ale to nigdy nie była prawda, a 'teraz te pozory krępowały prawdziwe uicaucia. Wiedetieli, że (namo wyłbierta się na szczyt góry, i chociaż sterali się nie okazywać tego, przejmowała ich giroza.

Sofir był przybity. Palizot trzymała się lepiej, ale nieszczel22

rość ciążyła om wszystkim, •więc Irena pożegnała ich wkrótce i udała się do swego pokoju.

Zaciągnęła zasłony odgradzając się od niezmiennirrie czystego mie-ba, rozpałła ogień i usiadła, żeby pomyśleć. Niie napływały żadne myśli godne rozważenia. Czula znużenie. Położyła się. Już w łóżku, zamiim zasnęła, (nasłuchując wiatru, który zrywał się czasem (ude-irtzając w mansardy starego domostwa, pomyślała: cokolwiek się zdarzy, 'nie wrócę do Tembreabrezi. Czas liść. Czas stąd 'odejść. Oni

tylko skłonił mnie do obiecania tego, oo i tak bym za\*olbna. Myśl ta nie stanowiła pocieszenia, ale uspokoiła, ją.

Nie przyjmowała do wiadomości faktu, że musi odejść, udawała, że będzicie mogła zachować to, co pokochała, stąd żal, poeziucie zdrady. Nie było n!ic do zachowania, poza może samą gotowością kochania. Jeśli to straci, jest stracona. trudno.

Zadawała sobie pytanie, dlaiczego już się nde 'boi. Jej obecne 'wyczerpanie było pamię'tiką zachowaną w mięśniach i nerwach po nie kończącym się mdlącym strachu, który odczuwała idąc tutaj;

ale mimo że zmuszała się do myślenia o czekającym wymarszu, o wspinaczce pod górę, przerażający chłód mię wkradał się db żiołą-dka, impuls i umysł ruie wpadały w piopłoch. Może to ozmaiczało, że dokomała właściwego wyfbo^u, zrdbfla to, po co tu przyszła, jak ujął sprawę Hugh, biedny Hugh z tym jego Uldzciwym spojirzeniem, ociężały i miesipokojiny. Sizedł, chociaż mię chciał iść, cihodaż wołał zostać. Więc jaki wybór jest właściwy? To się 'okaże, a na razie lęk me istmeje, jesit tylko zaisypianie, wypływa jące ze źródeł głębszych niż sem;, poiza zaisłomą słowa czy dotyku ręki, góra, kttótra jest wew1-(nątez góry, morze, lkłtóre się mieści, w źródle, tutaj, igdzie ilie spadł żadesn dieszcz.

Kiedy gospodairtee ją zbudzili, wsbała d. ulbrała się w diżninsy, bluzkę i buty do marszu, by, jak zawsze gdy opuszczała krainę ain, nie zabierać ze sobą nic "na tamitą sitironę; jedmaik późmiej wzaęła ze sterzyni w ikorytarziu stary, wylatany płaszcz, lkttóry dała jej Paliaot, gdy udawała się z kupcami pólinocną driogą. Był z.cfiemttioczerwoolej wetny, 'bardzo poplamlilomy, positrzępiony ina brzegach, ale caepty i poręczny do zwAnięcia. Sofir również brał pod uwagę możliwość, że ta wyprawa nie zakończy się jednego dtoda, i przygotował jej

solidny prowiant – suszone mięso, ser i suichairy – 2 pewnością starczyłoby tego ma 'kilka dni. Zawmnęła wszystko w płaszcz.

Ścisnęły snę z Palizot przez dłuższą chwilę. Żadna nie mogła -^ wydobyć z siebie słowa. To był koniec, a słowa są po to, by roe-^Kiczymał Ucałowała Sofira i on ucałował ją, i 'opuściła gospodę.

Kiedy wyszła na podwórze, zobaczyła, że czeka ma 'nią Aduvan i Viirti, a dnne dzieci, podniecone, ale trochę wystraszone czy może oszołomione. Nie mówiły wiele, tłoczyły się tylko wokół niej, jakby szuikając oparcia.

Grupka ludki schodziła uliczką ze schodkami: Horn i Allia, Siark i Fimol, kilkoro starych mężczyzm i kobiet, a między nimi Hugh, wielki, z białą twarzą – wół prowadzony na rzeź. Czekali w dole ulicy i Irena, eskortowana przez dzieci, 'ruszyła, by się do nich przyłączyć.

Pnzy (ulicy, która prowadziła na zachód przez miasiteczko, ludzie stali w drzwiach domów. Serdecznie pozdrawiali Lorda Hor-na wymawiając jego tytuł, a Hugh'a i Irenę po imiemiiu: "Irena, ltnemiadja!" Niektórzy dołączali do ich grupy, inni igiromadzili się na.sfenżyżowaniach. Uświadomiła sobie, że jest to rodzaj maniifesta-cji. Ze spokojnym smutkieirn ludność Temibreabrezi zebrała się, aby im złożyć hołd, życzyć wszystkiiiego dolanego, a'by pod:ać wraiz z nimi swoją nadzieję.

Jakiś młody ojciec 'uniósł w górę dziecko, żeby zobaczyło przechodzącego Hugh'a. Na widok tego gesitu ogarnęła ją przemożina chęć śmiechu, głupiego szyderczego śmiechu; zmarszczyła brwi, "usiłując zapanować nad sobą. Wielki Hugh w zigratbnym skórzanym płaszczu, 'który mu podarowano, z plecakiem i szpadą w sikórzamej pochwie przy boku, wyglądałby ma bohatera, gdyby tylko wiedział, że jest bohaterem, ale on szedł żałośnie zażenowany, przygarbiony, me odbierając należnej mu części chwały, gdyż nikit mu nigdy nie powiedział, że chwała może być jego udziałem.

Uliczka wybiegająca z 'miasteczka na zachód przeszła, w drogę, bnuJkowce ustąpiły miejsca bitej ziemi. Domki po obu stronach były niższe, coraz rzadsze, a potem zaczęły się pola ogrodzone kamiennymi murkami i długie, nisko położone łączki, gdzie, na zachód i na północ od miasta, pasły się teraz wszystkie stada. Kiedy szli

między ogrodzonymi polami, przyłączyli się do nich ludzie, szło wraz z nimi ze czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, spoko jenie, w milczeniu. Z nagłym uderzeniem serca Irena pomyślała: A może onii pójda z mami, może potrzebowali tylko, żebyśmy dała dobry przykład, i teraz, jeśli będziemy się trzymać razem, pójda z nami. Ale rodzice szli razem z dziećmi, brali je na ręce, nachylali się do nich i przemawiali łagodnie. Nikt inne rozmawiał głośno.

–Irena – powiedziała żalosnymi szeptem Aduvam stojąca koło matki i młodszego brata. Irena odwróciła się do nich. Imine, dzie-ci wyciągały do niej ręce, szepcząc: "Do widzenia!" Virti nie chciał jej pocałować, płakał i pisał: "Ja mię chcę zobaczyć tego złego czegoś, ja nie chcę!" Trijlat zawróciła z nim. Irena szła dalej, obejrzała się raz jeden, dzieci stały na drodze, w miasteczku nie było widać żadnych światła.

Kobiety i mężczyzna zatrzymywali się jedno po drugim. Stali nieruchomo na drodze, paftrząc za tymi, którzy szli dalej. Owiewał ich łagodny, niespokojny wietrzyk.

Wysoki do ramienia mur z kamieni ciągnął się z lewej stbony, po prawej wysoki żywopłot ocieniający dirogę. Ledwie mogła dostrzec białawe kamienie mostu, który spinał górską drogę ponad małą strużką rozlewającą się niżej w strumień nawadniający pastwiska. To będzie gramaca: te»n moBt.

–Do widzenia, Ireno – powiedziała miękko kobieta, którą mijała. Wiatr wydymał lekko jej szarą spódnice, twarz wydawała się blada w zamglonym świetle ina drodze. Była to ba'blka Aiduvan, matka Trijlat, uczyła Irenę prząść.

–Do widzenia – pożegnała ją Irena. Droga skręcała w lewo w śltronę masUL Minęła Mfeitrza, który stał sztywny, zrozpaozomy, z zaciśniętymi pięściami przy bokach. Powiedziała:

–Do widzemia, Sark – po raz pierwszy i otstatmi zwróciła się do 'niego po imieniu. Niie odpowiedział, może nie mógł. Przeszła dalej i (zatrzymała snę przy Lordzie Horirtie. Tuż obok włosy Allai, która stała z twarzą zwróconą do Hugh'a, lśniły w półmroku drogi, jiatóby zamknęły w sobie światło.

–Niech nasza nadzieja pójdzie z tobą, miedh nasza wiara dię

podtrzymuje – swym miękkim, czystym głosem mówiła Allia w swoim języku. On powiedział tylko, i tylko Irena to zrozumiała:

–Kocham oLę.

–Żegnaj – odparła Allia, a on, powtórzył swoje słowa. Ręka Lorda Herma, szczupła i lekka, spoczęła na ramieniu Ireny. Zaskoczona, podniosła ją na mego oczy. Uśmiechając się pocałował

ją w czoło.

–Idź, nie oglądając się, moja córko – rzekł.

Stała oszołomiona.

Hugh szedł dalej w strome mroczki. Musi iść z nim. Minęła Allię stojącą w milczeniu na ciemnej drodze niczym posąg. Nazwał minie 'córka, szepnęło jej serce, nazwał minie córka. Szła dalej. Tamci pozostali w milczeniu w mroku na drodze poza nią. Nie obejrzała się.

Droga szła przez mroczki, skręcała ostro w lewo, na zachód, i pędziła się z boczem pod górę. Po jednej stronie były teraz gęste drzewa, po drugiej wysokie żywopłoty. Na drodze panowały (ciemności.

Hugh nie zwalniał rozkołysanego kroku, szedł przed nią z prawej strony, w półmroku majaczył tylko jako ciemna ruhioma bryła.

Miejsce żywo spłoliu izajął las. Ciemnie gałęzie stykały się nad ich głowami. Droga miała ścianki i dach z pni, konarów i liści. Tunel. Przebłyski między gałęziami. Ciężka paproć i woda woń lasu. Coś ogromnego bladawego zamajaczyło przy drodze na wprost. Serce Ireny załomotało, ale rozum mówił: to jest głaz, uspokój się, to jest tylko głaz przy górskiej ścieżce. Już? Tak, już, dużo czasu minęło, od kiedy opuścili miasto, wiele mil.

–Hugh – odezwała się. Dopiero teraz, kiedy przemówiła, do niej teraz usłyszała 'olszę. Wtedy zamarł. Nic się nie poruszało. Wraz z nią kompletnie głuchoty. Ani jednego dźwięku.

Hugh zatrzymał się i odwrócił do niej.

–Tędy – wyszeptała wskazując na lewo. Nie była w stanie mówić głosem. – Tędy ścieżką na wysokie hale.

**Śicmął głową i podążył za nią, gdy skręciła z głównej drogi na bdejgmącą wyżej, bardziej stromą ścieżkę z wydeptainyn-ni głęboko śladami racic, prowadzącymi w góry.**



Wciąż mocno biło jej serce, dzwoniło w ołszach. To od wspinaczki, powtaiTzała Bobie, ale powód był inny. Piowodiem była cisza. Gdyby tylko cokolwiek dało się słyszeć, cokolwiek prócz jej własnego kroku i oddechu, słabego bum-butrn-^bum w uszach i kroków idącego za nią Hugh'a, który nie robił zresztą wielkiego hałasu, ale tutaj każdy hałas był głośny;

Nie będę się bać, mię będę się bać. Po prostu tozyczaj się drogi, którą masz iść. Po prostu nie zgub się głupio.

Ostatnio szła itą ścieżką dwa lata temu. Niegdyś chodziła z pastuchami, z dziećmi i stadami, prowadzona. Teraz musi sama znaleźć drogę. Ciągłe mię była pewna kieirumku, ale nie mogła się pomylić:

spójrz na ścieżkę, mótwiła sobie, to jest szlak owiec, tu leżą wysuszone owcze bobki, tu są ślady po racicach, ito jest włascdwa droga. Nie będę się bać.

Zarośla zaczęły napierać na śdieżkę, od kiedy przestano nią chodzić. Nie był to trudny szlak, ale wymagał ciągłego wysiłku i prowadził cały czas pod górę. Nagle na końcu osrtarego poidlejsda wynurzyli się z leśnego mroku. Wydawało się wręcz jasno. Nielbo d ziemia odcinały się wyraźnie. Znaleźli się na końcu Długiej Hali, olbrzymiego górskiego pastwiska, terasy na północno-wschodnim zboczu góry.

Stała pod ositatnimi drzewami, w wysokiej trawie, łapiąc oddech po podejściu. Hugh stał koło niej.

Widziała, jak pierś podniosi mu się i opada w głębokim, równym oddechu, kiedy rozglądał się po hali i otaczających ją stokach, które wznosiły się nad niani.

–Czy jesteśmy na miejscu? – zapytał. Było to pierwsze zdanie, jakie powiedział, od kiedy przekroczyli most.

–Nie. Myślę, że jesteśmy w połowie drogi. Wysoki Stopień jest 'tam wysoko – wskazata na dalekie szare skały i tirwfiska BWie-szające się nad Długą Halą na prawo od miejsca, gdzie stali. – Z owcami trzeba dwóch dsni, żeby tam dojść, zawsze rozbijali obozowisko tutaj, 'na Długiej Hali.

–Zastanawiałem slię, dlaczego dali mi tyle tego jedzenia.

–Święty Jerzy z kamapkama – powiedziała Irelna i chwycił

ją atak szalonego śmiechu, który minął równie szybko, jak przyszedł. Spojrzała na Hugh'a. Zdjął plecak i skórzany płaszcz i ze zmarszczoną brwią majstrował coś przy pasku. – Ciągłe się potykam. o tę cholerną szpadę. – Podniósł wzrok i 'napotkał jej spojrzenie. – To wszystko lipa – bąknął i zaczerwienił się. – Teatr.

–Wiem.

Ale wokół ich głosów zaiwdsła cisza ji usłyszeli ją.

–Nie masz, no... – zawahał się niezręcznie i łagodnie dokończył – nie boisz się?

–Raczej nie. Jesrtem spęta, ale imię... czuję, jakby to coś było odwrócone do nas plecami.

Udało mu ^się przymocować szpadę, tak jałk chciał, przeciągnął ręką po włosach i westchnął wielkim,, 'ufff".

–Nigdy nie czuleś lęteu? – zapytała z ciekawością.

–Chyba nie.

–To fajnde.

–Ostatnio miałem stracha, kiedy przechodziłem przez próg. Wtedy, wiesz. Na serio się bałem, paniczmie. Ale dlatego, że bałem się zigiubić. To co innego, prawida?

Potrząsnęła ^głową.

–Zupełnie. To jest raczej tak, jakbyś miał znaleźć coś, czego nie chcesz znaleźć. Skrzywił się.

–Straszne to jest – ciągnęła – ale 'nigdy się nie bałam, że zabłądzę. Zawsze wiem, gdzie jest brama. I miasteczko. I Miasto chyba też.

Skainał głową.

–Leżą w tej samej linii, na tej samej osi. Ale kiedy minąłem bramę, zgubiłem tę linię. Wszędzie było tak samo. Nawet nie poznawałem strumienia przy bramie, kiedy przechodziłem w bród. Gdybym cię nie spotkał...

–Ale byłeś przecież na ścieżce... prawie. Chyba po prostu wtpadłeś w panakę i przestałeś myśleć.

**–Gdy oznajmili, że droga wiedzie na górę, nie po osi, znowu byłem bliska pamiki. Ale jak powiedziałaś, że pójdziesz ze mną, to od razu... wiesz. Jakby dano mi szansę.**

Usiłował jej podziękować, ale me umiała przyjmować podziękowań.

–O oo chodziło z tym teatrem?

–Sam 'nie wiem. – Stał wpatrzony gdzieś poza halę. Mile bezkwietnej wysokiej trawy, srebrzyście zielonej w mezimieymym świetle, kładącej się lekko pod wiatrem.. Niebo było puste. Ani pita-ka, amii strzępka chmury. – Pewnie przez tę szpadę.

–Myślisz, że się na nic nie przyda?

–Przyda? – spojrzął ma nią niezbyt mądrze.

–Po co ci Ją dali? Z kim masz nią walczyć?

–Nie wiem.

–A jeśli w ogóle 'nde chodzi o żaldmą walkę? Jeżeli tam na garze jestt coś, jaikiś stwór, jakaś moc, czy cokolwiek, dlaczego oni nam nae powiedzieli, co to jest? A jeśli nie ma sensu podejmować z tym walki?

–Po co mieliby nas oszukiwać? – zapytał poważnie.

–Bo nic innego nie mogli zrobić. Ja nie twierdę, że Lord Horn jest złym człowiekiem. Nie wiem, jaiki on jest, nie moż'na osądzić, czy am. robią coś dobrze, czy źle. Tak j'ak powiedziałaś, robią to, co miulszą. Mistrz mówił coś o zapłacie. Miał na myśli... nie wiem, co miał na myśli. Po prostu -tego nie rozumiem, nie rozumiem, po co my tu jesteśmy.

Znowu przeoiągnął ręką po swych gęstych spoconych włosach.

–Ale nie musiałaś iść tu ze mną – powiedział po swojemu łagodnie i z uporem.

–Właśnie że musiałam. Nie wiem. Musiałam. Nadszedł czas, żeby iść.

–Ale dlaczego właśnie tutaj? Mogłaś iść po prostu do domu.

–Do diomu!

Nie odzywał się przez chwilę. Raz tylko kiwnął głową. – Domyślam się – powiedział i po chwili: – Chodźmy. Caągle mam wrażenie, że niedługo się ściemni.

Trawa była wysoka, gęsta, splątana, nigdzie śladu ścieżki. Dziewczyna ruszyła bez wahania zaikoisaimi w stronę szarych, urwistych sikał daleko %.a rozległą terasą trawy. Tuitaj mię musieli iść gęsiego jak na wąskich leśnych ścieżkach. Hugh szedł równolegle do niej, ale ode a kały o dwa metry, bo nie pozositawiała cienia wątpliwości, że be-apoóredini czy choćby bliski komtakt jest jej przykry. Gęste giętkle trwy oplątywały nm nogi, tak że stawał atopy prosto, jakby chodził po śnieg'u. Ciężtka spada oiblijała mu się o biodro, ale pc-zyJemTlie było iść rytmicznym krokiem, zamiast wdrapywać się po ^maciku, Przyjemne było też, choć rzadkie w tej krainie lasów, że cel wędrówki był widoczny, że mógł obserwować, jak skały piętra się coraz wyżej.

Bo pewnym czasie odezwał się:

–^daje md gię, że teraz jest naniefe.

–Dziewczyna przytaknęła.

–Pewnie dlatego, że tutaj jest widniej. Nie mia drzew.

–I aiic nie zasłania od wschodu. Szli wyftrwale, w malczemu.

W tej beżkresinej pustej krainie traw wydawało się naturalne, że nie słycać niczego oprócz słabego szelestu rozkołysanej trawy uod sstopanDi i czasem poszumiU wliatru. Ci'alo i uinysł Hugh'a ogarnęło łagodnie <unies'ienie, dziarski rytm odliczany jego kinoikiem.

Robił to, 'po co tu przybył, szedł tam, gdaie mał iść. Zyskał pprawo, żeby tu być, prawo do k'ochainiia Allii. Nie ma znaczenia, że om nie rozumte języka, w kitoryim powiedział "Kochani cię". Nie ma znaczea-lia, że miogą się już ni^dy nie spoitkiać. Zmaczietme ma tylko jego mdłość, któfną niesae go naprzód, bez żalu czy lęku. Nie mógł się bać. firnieTc jest siostrą miłosdi, siostrą z ocie^omą twarzą.

Kiedy talk szli'i z wolna skalna ściana wyrastała coraz wyżej odsłaniając przed nimi załomy i źleby, i uskoki swej powierzchni, a cb-ika trawa szeleściła i trzeszczała w rytm jego kroków, i prze-stc'ci y nieba rozpościerały się im nad głowami jak woda, uczył raz

jeszcze, że mógłby tak wędrować w tej ciszy przez wyżyny bez końca. Zmiużeme nie linało się go teraz. Nigdy slię nie zmęczy. Mógłby (bak iść wieczniie, piecami odiwirólcomy ofd wszystkiego.

Dziewczyna wymówiła jego imię. Powtórzyła je parę razy. Nie chciał się zatrzymywać. Nie było nic, dla czego wairto by snę zatrzymać. Ale jej głos brzmiał wątle jak głos zawodzącego morskiego ptaka, więc stanął i odwrócił się.

Jakiś czas temu znaleźli! isaę dokładnie pod skałami i od tej ^hw" li posiulwali się 'na północ wśród niższej trawy md ja jąc potężnie ź,k-by i złomy skalne porośnięte żarnowcem i murawą. Dziewczyn stała w znacznie 'odległości za nim na zewnętrznym wybrzuszeń. " rozpadliny u podnóża sikał, przez którą, jak stwierdził wiracają". wchodziło sdę na ścieżkę.

Ścieżka.wydawała się mroczna. i wąska.

–Na Wysoki Stopień idzie się tędy – powiedziała. Rojpatinył tam z niechęcią.

–Chcę zrobić postój przed tym podejściem. – Usiadła na trawie, wyschniętej w tym miejscu i ubogiej, zbrązowiałej i wytartej. – Głodny jesteś?

–Nie bardzo. – Nie chciał zawracać sobie głowy Jedzeniem, chociaż kiedy sięgnął myślą wstecz, uświadomił sobie, że przeszli kawał,drogi i że wędrowali JUŻ dłuugo, że mroczny goścansiec ze stojącą Allią pozostał bardzo daleko za nimi, poniżej, w dole. Pragnął iść dadej. Ale dziewczyna miała rację z tym postojem, wyglądała na zmęczoną, twarz miała znękaną i chmurną. Zrzucił koło niej kurtkę i rapcie, szpadę i plecak i poszedł się wysusiać za kupę olbrzymich zwalonych głazów; wrócił, przyjemnie odczuwając ciepło i sprężystość całego ciała, nie zmęczony, a jednak rad z krótkiego odpoczynku; i wciągnął się na czerwonawy głaz obok dziewczyny siedzącej na trawie. Jadła. Podała mu pasek suszonego mięsa i parę kawałków jakichś suszonych owoców. Bardzo mu to smakowało.

Słysząc było jeden tylko dźwięk: gwizd wiatru w suchej trawie lub za skalnym rumowfflsikiem, cichutki, zimny poświst, nisko przy ziemi.

Zapakowała resztę żywmjności.

'»\* 131

–Lepiej teraz? – spytał.

–Tak – odparła i westchnęła. Zobaczył, że zwraca swą o-krągłą, ziemistą twarz w

stronę ciemnej ścieżki.

–Posłuchaj – zaczął. Miał ochotę zwrócić się do niej po imieniu. – Przecież nie musisz iść dalej.

Wzruszyła ramionami. Wstała zawiązując ma powrót swój plecak zrobiony domowym przemysłem – zrolowaną czerwoną tkaniną.

–Czy to miejsce, do którego mam dotrzeć, znajduje się na końcu tej ścieżka? Skinęła głową.

–Dobira. Nie ma sprawy.

Stała z posępną mima, aż nagle spojrzała na niego i, ku jego ziasikoczemifu, uśmiechnęła się.

–Zgubiłbyś się – powiedziała. – Ty się ciągle gulbtez. Potrzebujesz nawigatora.

–Nie mogę się aguboć na ścieżce półmetrowej szerokości.

–A Jednak zgubiłeś się, kiedy tu przyszliśmy, odbiłeś od po-łudmifowej drogi. – Uśmiech przerodził się w śmiech, bardzo krótki. – Ty gubisz się tam, gidzie mnie oblatuje strach. Tak to chytoa działa.

–Matsz teraz stracha?

–Trochę – oldjparła. – Zmowiu mmae zaczyna brać. – Jedmaik jej śmiech nie całkiem zamarł.

–Więc nie powinnaś iść dalej. Nie ma potrzeby. Czuję się odlpowiedizamy. Nie polształbyś, gdyiby me ja.

Ale ona już ruszyła w górę ścieżką. Podążył za nią natychmiast, w pośpiechu zarzucając na plecy swój ekwipunek. Weszli w żleb, ostrą szczytową rozpadlasną w ściaa-ue góry. Otoczyły ich wysokie, suche seiamy,rudej i czerwonawobrazłowej sikały. Szlak był koimie-nitsty i od siamego początku stroimy.

–Nie Jesteś odpowiedzialny za to, co 'ja robię – rzuciła pirzez ramię.

–W takim razie ty nie jesteś odpowiedzialnia zia to, żebym nde zabłąldził.

–Ale musimy tiam dotrzeć – odrzekła.

Pięli się dalej. Ścieżka skręcała ostro w tył i znów do przodu. Tam gdzie skały się osunęły, musieli się wdrapywać. Hugh spojrzął na rękę dziewczyny, kiedy wsparła się na ostrej krawędzi głazu. Dłoń była drobna, szczupła i śniada, z białymi półksiężycami na paznokciach.

–Słuchaj – powiedział. – Chciałbym... do tej pory nie połąpałem się, jak masz ma imię. Obejrzała się na anego.

–Irena – wymówiła wyraźnie i pirzelditerowała. Powtórzył za nią i zmów szeroki, miły, nieśmiały uśmiech przeleciał przez jej flwalrz, kiedy spojrziała na niego z góry, chwytając równowagę wśród rumowiska chropawej ziemi. i skał. I zaraz lek-fcim krokiem ruszyła dalej.

Szpada zawadzała mu tutaj bez przerwy – albo potykał się o ciężką skórzaną pochwę, alibo obijał sobie biodro, allw włąziła mu pod pachę niozym inwalidzka kula. Wreszcie udało mu się umio-cować ją bezpiecznie pod kątem prostym do rapoi, ale zajęty tym, pozostał dafleko w tyle za dziewczyną. Idąc dalej usłyszał odgłos płynącej wody. Przebył kolejmy z niezliczoonych ostrych zaikrę-tów i ujrzał niewielka strumyk rwący przezroczytą wsitęigą w poprzek drogi ze swych źródeł w skałach i wpadający w kotlinę zarośniętą zielskiem ii paprociami. Irelna klęczała przy nim, czekając, aż Hugh się z nią zrówna; twarz i ręce miała mokre i ubłocone. Ukląkł także, zanurzając dłomtie w mimaturowym bagienku przy sttinumyiku, i napił się. Woda miała posmak żelaza czy miedzi, ja krew, tyle że zimna.

–Droga była ndezmieinmie wąsika, stroma i wiodła załomami skalnej ściatny. W miejscach gdzie.grumt pod nogami był miękikii, widać było ślady, w spękany młocie odcisnęły się wąskie kopytka owiec z ostatniego stada, które tędy pędzłom? z góry. Pas nieba nad głowami był wysoko i daleko. Niewiele światła przemikało na sdeżkę, z wyjątkiem tych krótych oldlcisników, gdy przez chwilę biegła skrajem szerokiego kamioiniu. Kiedy ściamy znowlu się zbliżyły, Hugh poczuł, że dfl\*oga prowadzi w głąb, do wtnętrza góry. Jego tuirystyczne buty ślizgały się po kamieniach; stąpał niepewnie.



Zazdrościł dziewczynie, która poprzedzając go sunęła niczym cień Stromą wlijącą się ścieżką.

Zatrzymała się na początku długiego, prostego odcinka. Zrównał się z nią i pod wpływem panującej ciszy zapytał szeptem:

–Jak się czujesz?

–Zasapałam się tylko. – Tak samo jak om dyszała ciężko.

–Daleko idzie ta droga?

Skąły zwieszające się nad ścieżką miały przedziwne kształty, •baniaste, jakby kiedyś wygładziła je woda. Przypominały na wpół 'uformowane zwierzęta, nacieki, olbrzymie wnętrzości z kamienia.

–Nie wiem. Z owcami szło sę oły dlzsięń. Oczy jej w tym skalnym pirzyltiumoonym półmroku wyda)wały się ciemne i przestralsizone.

–Idź wolniej – powŁedział. – Nie ma co się spieszyć.

–Chcę się stąd wydostać.

Wijąc się i wrzynając w wąwóz ścieżka nieubłaganie pięła się wzwyż. Dwukrotnie j'eszicize przytsitawiali, żeby złapać oddeh. Os)tat-niie podejsicie było tak strome, że gramiolili się jaik po drabinie po-maigiając sobie rękami. Kiedy nieoczekiwaniie droga opadła do poziomu i ściany rozsunęły się, Hugh stał na czworakach. Wyprostował się, ale zakręciło mu się w głowie i znowu opadł na kolana. Skalna ścieżka mrwała się nią zewinęłtirziny skraju długiej hali, wą-sksiej, zii clone J półki. Tysiąc, dwa tysiące stóp poniżej wielka hala, z której przyszli, rozpościerała się w mglistej dali, zielona jak mech. Nie miał pojęcia, jak ocenia się wysokość, odległość, ale znajdowali się teraz wytsoko, gdyż potężny skłon górskiego zlbocza

jawił się oczom, zairownno ponald haflą, jak i poniżej, jako zasadnicza oś tej części ziemi, równie absolutna jak horyzont, który z kolei ciągnął się tak wysoko i daleko, że ginął w zgęstniałej atmotsfe-rze zmierzchu. Nad nimi, na północ i na wschód od góry rozpościerał się niezmacony łuk nieba.

Irena siedziała w trawie bliżej krawędzi, niż on by zaryzykował. Spoglądała na północ potnad1 niżej położonymi terenami. Huigh spojrział na wschód: najpierw w dół zbcza, żeby sprawdzŁć, czy stąd dałoby się dojrzeć migotanie świateł Górskiego Miasteczka, ale od patrzenia w dół kręciło mu się w głowie. Wpatrzył się

wiebraną otchłań w góry na wschodzie. Poza ich niewyraźnymi zarysami, jakby 'nakreślonymi ołówkiem na szarym papierze, czyżby majaczył ślad jakiegoś koloru, jasności? Przyglądał się przez dłużej, -szą chwilę, ale wciąż nie był pewny. Kiedy idąc za spojrzeniem Ireny przeniósł wzrok na północ, nie dojrzał zaidmegio odbłasku światła miasta, najlżejszego choćby nasilemia jasności, która mogłały zwiastować miasifco w oddali. Wszystko było szaroniebieskie, niewyraźne, ciche, puste.

Wstała wreszcie i cofnęła się ostrożnie od krawędzi.

–To jest Wysoki Stopień – powiedziała na wpół szeptem. – Nogi mam jak z gumy po tej wspinaczce.

Kręciło mu się w głowie od patrzenia na nią stojącą między nim a tymi ogromnymi przestrzeniami. Wstał i zwrócił się w stronę strumienia. W murawie, krotkielej na tej wysokości i szczyt jak na gazonie, między urwiskiem, a zboczem wzniosłym ^ ponad nim, znajdowało się skalne wypiętrzenie, rodzaj y.^.^p^i w trawie. Podszedł tam. Było to złomowisko wielkich, szarych skał, porzucanych i potrzaskanych. Swym ogromem i masownością zdawały się uspokajająco w tym wyżynnym, 'dławiącym miejscu. Dobrze było czuć skalę za plecami. Oboje przysiedli, oparli o główny masyw skalny wysoki na północ.

–Odwaliliśmy niezły kawałek drogi – powiedział. Skinęła tylko głową. Wydobyl jedzenie z plecaka, podał jej w mgnieniu.

Odchyliła głowę do tyłu, oparła się o skalę i zamknęła oczy. Jej twarz z profilu na tle nieba była mała i surowa jak iia -;2A'xe •z brązu.

–Irena.

–Co?

–Jak chcesz się przespać, to ja będę czuwał.

–Dobra – powiedziała i bez dalszych przykładała się do skały, a czerwone zawilniało ^^opłyło jej jak poduszka.

Zjadł jeszcze jeden chlebny ciastko, zapomniał starannie, gruboziarnisty i smaczny, i kałntpk koziego sera, którego miękkie, ale był doistateczmie gładki, by nim nie wzgardzić; po w-myśle zjadł jeszcze jeden rogalik z plasterkiem wędzonej baraniny, a resztę jedzenia schował do plecaka. Miał ochotę ją więcej, ale

to powinno wystarczyć. Zaraz polepszyło urn się samopoczucie. Wiele ozasu minęło i wiele mil przeszli, 'od kredy opuścili miasteczko, i 'był zmęczony, 'ale nie wyczerpany. Tylko że jeśli będzie siedział wygodnie oparty plecami o skałę, to zaśnie tak jak oma. Powinien czuwać. Wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż skalnej wysepki. Na tej wysokości światło było klarowne, ni'e tyle półmrofk co półprzezroczystość, wszechobecność światła bez źródła, nadająca trawie kolor szmaragdu, ciemny i mocny. Lasy okalające oba krańce hali-półki, bliższe od południa, dalsze od północy, sprawiały wrażenie dzikich i czarnych. Ponad składami, które zwieszały się nad halą jak kolejny ciąg gigantycznych schodów, rozpościerała się taka sama surowa czerń drzew, urwista i daleka, powyżej już tylko naga skała, szczyty. W tym świecie powietrza, skał i lasu nie było innych barw poza ciemną zielenią klejnotu. Żaden kwiat nte kwitł w górskiej trawie. Żaden kwiat nie mógł się w niej rozchylić, skoro w ndetolie nie otwierała się żadna gwiazda. To wydawało się Hughowi oczywiste; po pewnym czasie stwierdził, że w głowie mu się mąci, więc żeby się otrzeźwić, zmiendł traisę, zaczął okrążyć skalną 'wysepkę, ale nie do końca. Nie chciał tracić z pola wodzenia śpiącej dziewczyny. Przy północnym krańcu cypla skierowanego w stronę skał widniał wśród murawy łysy placyk. Przy drugim obejściu swej trasy po półokręgu podszedł bliżej, żeby zbadać, dlaczego 7JLemia jest tutaj goła. Nie była to ziemia, lecz kamień, praedłu-zenae skały w posftacd tarczy, obojczyk góry przeświecający pmzciz ^karę. Lekko wybrzuszona powierzchnia była w tóilku miejscach pęknięta; podszedł bliżej przyglądając się. W kamień wbite były cztery żelazne kółka, tworzące prostokąt długość1! kilku stóp. Rdza upstrzyła kamień, przy bolcach wyrósł liszaj mchu. Hugh postawił nogę na płaskiej skale i pociągnął za kółko, ale trzymało slię mocno. Skrawek uwiązanego do niego skórzanego rzemienia, zerwany powyżej supła, skurczył się dko tego stopnia, że wyglądał jak narośl na mietalu. Paskudne były te toporne, powleczone rdzą kolka wibite w kamień pomiędzy skałą a przepaścią, paskudne miejsce. Dziewczyna spała iza tymi głazami, na otwartej przestrzeni, bezibrontna. To źle. Źle, że tu przyszedł. To jest złe miejsce. Odwrócił się ty136

łom do płaskiego kamienia i w tym momencie usłyszał krzyk w lesie.

Jakiś krzyk odległy, syczący, łkanie, dziwak iniewiele głośniejszy od gwałtownego bicia jego serca.

Pobiegł. Świadomość powietffiznej otchłani za uskokiem przyprawiała go o zawrót głowy. Dziiewczyma spała; potiriząsinął nią, powtarzając:

–Obudź się, otouriz się!

–Co się stało? – wymiałmrotała nieprzytomna marsizcząc br\vi i naraz oczy]CJ się

rozszerzyły, bo usłyszała ten głos, teraz JUŻ znacznie donośnie jszy, bliższy, wyjący i szlochający w lasiach na północnym skraju.

–Idziemy – powiedział podnosząc ją. Złapała swoje zawiniątko i bez słowa ruszyła, z tmidem, chwytając oddech. Nie puszczał jej ręki, bo początkowo ledwo się wlokła, osłabiona snem czy przerażeniem. Ciągnął ją za sobą kilka kroków, aż w nagłym paroksy-zmie wyswobodziła się strzając jego rękę i zaczęła biec. Kierowali się w stronę lasu przy bliższa m skraju hali uciekając od głosu. Ani jedno, ani drugie nie podejmowało świadomych decyzji. Uciekali. Głos donośniał za nimi, łkające wycie rozdzierało uszy. Dopadli lasu, który przedtem ofiarował im schronienie, a teraz ^wydawał się labiryntem, płataniną mrocznych ścieżek, w której się zagubią.

–Poczekaj! – usiłował krzyknąć Hmgh, ale powietrze paliło mu płuca, odjęło mu głos, dziewczyna nie mogła go usłyszeć, gdyż świat wypełniało potworne tęskne wycie. Potknęła się, odłbi-ła od pnia drzewa i wpadła na H'u(gh'a czepiając się go na oślep; jej otwarte 'usta ułożyły się w dziwny kwadrat. Ściągnęła go ze ścieżki, której trzymali się dotąd. Razem z nią potoczył się w dół między pnie drzew i zarośla; liście i gałęzie biły ich po twarzy i oczach. Teren stawał się coraz bardzoej stromy, usuwał 'się spod nóg, potknęli się i zjechali poślizgiem pięćdziesiąt stóp alibo więcej w dół zbocza i zatrzymali się dopiero na zwalonym, na wpół zbutwiałym drzewie i tam przypadli do ziemi, bez tchu, zdrętwiali. Ten głos wymiatał wszelką myśl z mózgu, coraz głośniejszy, przeraźliwy, żaloszny, ogromniejący, nienasycony. Hugh podniósł wzrok: stwór, który wy137

dawał ten głos, znajdował się tam, w górze, / na ścieżce. Zarośla trzęsły się i chwiały, kiedy szedł, biały, pomarszczony, dwukrotnie wyższy od człowieka, wlokąc cielsko z wysiłkiem, a jednak z niesamowitą szybkością. Szeroko otwarta gardziel wydawała gwizdzące wycie głodu i nieukojonego cierpienia. Stwór był ślepy. Przeszedł. Minął ich wlokąc za sobą ohydny głos. Hugh leżał przywarłszy ramionami do zwalonego drzewa, walcząc o oddech, o haust powietrza. Świat wokół przesuwiał się, zbieleły. Gdy wszystko zaczęło wracać na swoje miejsce, kiedy zelżał ból w klatce piersiowej, uzmysłowił sobie, że na jego lewy bok i ramię napiera ciepły ciężar.

–Irena – powiedział bezgłośnie nadając temu ciepłu imię, dzięki temu imieniu, tej obecności odzyskując panowanie nad sobą. Kulila się zgięta we dwoje, osłaniając twarz.

–W porządku – powiedział.

–Przeszło – rzekła. – Przeszło.

–Naprawdę poszło?

–Poszło dalej.

**–Nie płacz.**

**Usiadła, ale jej ciepło było wciąż obok, oparł twarz całą we łzach na jej ramieniu.**

**–W porządku, Hugh. Teraz już wszystko w porządku. Wiele upłynęło czasu, nim wrócił mu normalny oddech. Podniósł głowę i usiadł. Irena odsunęła się nieco i próbowała wyczesiać palcami liście i błoto z włosów, wycierała mokre policzki.**

**–No i co teraz? – zapytała cichym, stłumionym głosem.**

**–Nie wiem. Nic ci nie jest?**

**Żadne z nich nie odniosło obrażeń w czasie tego zjazdu z góry, tylko smagnięcia gałęzi porysowały Irenie twarz w krechy jakby czerwonym atramentem. Hugh jednak czuł się zbity i znużony tym śmiertelnym zmiłżeniem., które naszło go przedtem na drodze za bramą. Irena, która siedziała z na wpół zamkniętymi oczami i schyloną głową, czuła się podobnie.**

**–Na razie nie mogę iść dalej – powiedziała.**

**–Ja też nie. Ale nie powinniśmy zostawać na widłaku. Nawet mówienie było wysiłkiem.**

Pełznąąc d. ślizgając się nią rękach i kolanach zsunęli się kilka jardów w dół po coraz 'bardziej stromym zboczu. W wielkiej kępie rododendronów utworzyło się coś na kształt niszy wśród korzeni, mały zakątek. Pod wyniosłymi starymi drzewami zalegała gruba warstwa liści, wydzielająca gorzkawą łagodną woń. Irena wśliznęła się do tej niszy i siedząc w kucki jak dziecko zaczęła rozwijać swój wełniany tłumoczek, który ścisnęła przez cały czas pod lewą pachą. Hugh wczołgał się nieco dalej pod krzaki i rozciągnął na brzuchu. Chciał odpiąć pas, żeby się uwolnić od szpady, ale był zbyt zmęczony. Położył sobie rękę pod głowę.

Siedziała z wyciągniętymi nogami pod gałęziami rododendronów. Spojrzała za siebie, gdy się poruszył. Dźwignął snę i przesunął do niej garbiąc barki, żeby się otrząsnąć z odrętwienia. Spał tak mocno, że ciało wciąż było zwiotczone od saiu, z trudem mógł zewrzeć dłoń. Krechy na twarzy Ireny zrobiły się czarne, atramentowe, ale nie była to już trupia czaszka przerażenia i wyczerpania, była to twarz krągła, łagodna, smutna.

–Nic ci nie jest? Potrząsnęła głową.

–Ciekawe, czy tam w dole jest jakiś strumień? – powiedziała po pewnej chwili.

On też odczuwał pragnienie. Bez picia żadne z nich nie miało ochoty na suszone jedzenie z jej tłumoczka. Ale żadne się nie ruszyło, by poszukać wody. Tem kącik odgradzony i osłonięty ciemnymi starymi krzewami wydawał się chroniony, chroniący. Znaleźli w ilim schromieina.e. Ciężko je było opuszczać.

–Nie wiem, co robić – odezwał się Hugh.

Oboje mówili nie szeptem, ale cicho, półgłosem. Los na górze stał spokojny, lecz nie pozbawiony życia; lekki podmuch wiatru mącił bezruch.

–Wiem – odparła mając na myśli, że też nie wie. Po chwili zapytał.

–Czy chcesz wracać?

**–Wracać?**

**–Do miasta.**

**–Nie.**

**–Ja też nie. Ale o innego można zrobić? Nie odpowiedziała.**

**–Musszę odnieść im tę cholerną szpadę. I powiedzieć...**

**–Co masz im powiedzieć?**

**–Że nie potrafię tego zrobić. – Potarł twarz rękami czując drażniący, sztywny, świeży zarost na policzku i pod oosem. – Ze kiedy to zobaczyłem, upadłem i rozplakałem się.**

**–Daj spokój – powiedziała zapalczywie, zacinając się. – Co mogłeś zrobić? Nikt by nie mógł. Czego oni się spodziewają?**

**–Odwagi.**

**–Co za głupota! Widziałeś to!**

**–Tak – spojrzał na nią. Chciał zapytać, co ona zobaczyła, gdyż nie był w stanie ani zapomnieć, ani uwierzyć w obraz, który zarejestrowały jego oczy. Ale nie miał siły, by mówić o tym wprost.**

**–Byłoby głupotą próbować oporu – powiedziała. – To nie byłaby odwaga, tylko głupota. – Głos jej brzmiał piskliwie. – Wystarczy, że o tym pomyślę, i robi mi się niedobrze.**

**Po chwili milczenia głosem wzięmącym w gardle podjął:**

**–Czy to... czy to miało oczy?**

**–Oczy? – zastanowiła się. – Nie widziałam.**

**–Jeżeli było ślepe... Zachowywało się jak ślepe. Sposób, w jaki biegło...**

**–Może.**

**–Można by sde zasadzić na miłe. Skoro jest ślepe.**

**–Zasadzić! – zadrwiła.**

**–Tylko ten głos, ten cholerny głos, który ono wydaje – ciągnął z rozpaczą.**

**–To jest strach. Tak się właśnie dzieje, kiedy człowiek czuje strach, słyszy się tamten głos. Słyszałam go raz we śnie. To zupełnie tak, jakby odłączono mózg. Zupełnie jakby... Nic nie poradzę, Hugh. Nie będzie ze mnie pożytku. Jeżeli ono przyjdzie znowu, ja znowu ucieknę. Albo nie będę w stanie nawet uciec.**

**Zapadły mu w pamięć te słowa: nie będę w stanie nawet uciec.**



Zobaczył płaski kamień wśród trawy. Żelazne kółka w kamieniu. Rzemienny supeł zawiązany na kółku. Zaparło mu dech i zimna ślina napłynęła do ust.

–Co oni mówili, że trzeba zrobić? – zapytał. – Wielu zdań nie tłumaczyłaś. Dali mi szpadę, posłali w górę, na tę halę.

–Lord Horn nic nie mówił. Sark powiedział, żeby iść do płaskiego kamienia. Chyba mu chodziło o tamto rumowisko skalne, przy którym siedzieliśmy.

–Nie – zaprzeczył Hugh, ale nie wyjaśnił, w czym rzecz.

–Myślę, że oni po prostu wiedzieli, że jeżeli pójdziemy tam, to... ono przyjdzie – zamilkła na chwilę, potem dodała zupełnie cicho: – Przynęta.

Nie odpowiedział.

–Kochałam ich. Od tak dawna. Myślałam...

–Postąpili tak, jak musieli. A my... A my nie przyszliśmy tutaj przez przypadek.

–Przyszliśmy tutaj uciekając.

–Tak. Ale przyszliśmy. Jesteśmy tutaj. Tym razem nie odpowiedziała. Po chwili dodał:

–Czuję, że powinienem tu być. Nawet teraz. Ale ty już zrobiłaś, co obiecałaś. Możesz teraz iść z powrotem do bramy.

–Sama?

–I tak nie mógłbym cię obronić.

–Nie o to chodzi.

–Tu jest dla ciebie niebezpiecznie. A mnie teraz nie będziesz potrzebna. Gdybym został sam, byłbym... mógłbym działać swobodnie.

–Już ci powiedziałam, że nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

–Trudno. Zawisze jeden człowiek jest w jakiś sposób odpowiedzialny za drugiego.

Siedziała w milczeniu obejmując kolana. Po chwili odezwała się bez cienia zaczepności:

**-Hugh, co mógłbyś zrobić lepiej, gdybyś był sam? Poza tym, że dałbyś się zabić?**

**-Nie wiem.**

' – Powimiśmy coś zjeść – orzekła po chwili i wczółgała się pod rododendrony po swój tłumooziek. Wyłóżyła paczuszik.i z jedzeniem i usiadła lustrując je wzrokiem.

–Mój plecak został przy skałach – przypomniał sobie.

–Nie chcę tam wracać.

–Dobra. Wystarczmy to, co jest.

–Właśnie. Tego starczy na kilka dni. Jeśli będziemy sobie wydzielać.

–Wystarczy. – To było nieważne. Nic nie było ważne. Został poikormny. Zbiegł i iukrył się raz jeszcze i jest besapliczny, i zawsze będzie bezpieczny, i nigdy wolny. – Chodźmy – powiedział – nie jestem głodny.

–Chodźmy? Dokąd?

–Do bramy. Zabierajmy się stąd.

Podniosła na niego wzrok, kiedy wstał. Patrzyła nieszczęśliwa, niezdecydowana. Przytwierdzał na powrót swój pas ze szpadą, zarzucił skórzamą kurtkę 'na ramiona. Bolały go mięśnie, czuł się chory i ociężały.

–Chodźmy – powtórzył.

Zrolowała czerwone zawiniątko, zawiązała rzemieniami i trzymając w zębach kawałek suszonej baraniny, zarzuciła je sobie na ramiona. Ruszył w górę stromym, porośniętym gęstym lasem zboczem, z.którego poprzednio schodzili, doszedł do ścieżki, która wiodła z Wysokiego Stopnia w stronę lasu, potem skręcił z niej w lewo.

Irena, zakłócając ciszę szelestem liści i trzasikiem 'gałązek, dogoniła go.

–Dokąd ty idziesz?

–Do bramy – bez cienia niepewności wskazał kierunek trochę na lewo od ścieżki. – Tędy w dół.

–Tak. Ale tą ścieżką...

Wiedział, co miała na myśli, choć nie chciała powiedzieć, że była to ścieżka, którą chodził i którą przetarł biały wyjący stwór.

–Prowadzi we właściwą stronę. Jeżeli skręci w złym kierunku, pójdziemy zbacząc

**od osi ku południowej drodze.**

Nie oponowała. Na jej twarzy wciąż malowała się udręka, ale nie było sensu się dręczyć, to nieważne, któredy ani dokąd szli. On szedł naprzód, ona za nim.

Szloik był nikły, ale zupełnie wyraźny, bez rozgałęzień czy sarnich ścieżek, które myliłyby drogę, biegł prawie poziomo w kierunku południowym, mimo że wił się na prawo i lewo tworząc litery U lub V, gdy omijał kotliny lub gdy narzucało to ukształtowanie zbocza. Drzewa o cienkich pniach, wysokie, rosły gęsto. Często trafiały się różne skalne utwory, wypiętrzenia jasnego granitu, a od czasu do czasu naga skalna skarpa nad ścieżką. Pod drzewami, tam gdzie grunt był miększy, jodłowe igły zostały miejscami zmiecione ze ścieżki, a ziemia zdarta i poorana.

Na ten widok Hugh pomyślał o ciężkich, uginających się białawych pomarszczonych odnóżach, o ociężałym cielsku. Stwór biegł wyprostowany jak człowiek. Ale był znacznie większy od człowieka i poruszał się 'z trudem, choć bardzo szybko, włókł się skrzecząc jakby z bólu. Ten obraz, raz dopuszczony do wyobraźni, towarzyszył mu ciągle. Pomyślał, że w powietrzu nad ścieżką unosi się jakiś zapach, trochę znajomy, nie, dobrze znajomy, ale nie potrafił go nazwać. W lecie kwitną na jakichś krzewach takie białe kwiaty, pachnące podobnie jak sperma, to było to, słodkawy, mdły zapach. Szedł wciąż naprzód, a umysł wypełniała mu całkowicie ta chwila bez końca, w której mignął biały stwór, biegnący pomad jego głową tą właśnie ścieżką.

Jakiś strumyk biorący początek ze źródeł 'bijących w wyższych partiach gór przeciął im drogę. Hugh przystanął, żeby się napić, bo trawiło go silne pragnienie. Dziewczyna podeszła do niego. Zapomniał, że jest tam, za nim, że postępuje krok w krok. Lśnienie wody i zarys jej twarzy odgradziły go 'od obrazu białego stwora. Irena napiła się, a potem umyła twarz, splukując brud, sól, krew, ochlapała wodą ramiona i kark. Poszedł w jej ślady i zetknięcie z wodą nieco go otrzeźwiło, chociaż umysł pracował wolno, wszystko było przytłumione i niewyraźne, pozbawione znaczenia.

Mówiła coś do niego.

–Nie wiem – odparł bezmyślnie.

\

Przez chwilę widział jej oczy, ciemne i błyszczące w bezkształtnym mroku pod drzewami.

–Jeżeli ciągle jesteśmy po wschodniej stronie góry, to znaczy, że południe jest tam – wskazała ręką. Przytaknął. – Brama. Tylko że ta ścieżka tak strasznie kręci. Wszystko mi się płacze. Jeżeli mamy zejść z tej ścieżki, to chyba trzeba by teraz, dopóki mam jakie takie wycucie, gdzie jest brama. – Znowu na niego spojrzała.

–Trzeba trzymać się ścieżki. – odparł.

–Jesteś pewien? – zapytała z ulgą.

Skinął głową i wstał. Przeszedł przez strumyk i znów podjęli wędrówkę. Pod gęstymi, mrocznymi drzewami było ciemno. Odległości nie istniały, wybór nie istniał, czas nie istniał. Szli przed siebie. Szlak obniżał się stopniowo. Na wszystkich zaikrętach odchyłał się coraz bardziej w prawo, wiodąc ich dookoła potężnego masywu góry na zachód.

Będzie ciemniej, jak zajdziemy dalej na zachód, pomyślał Hugh.

Irena pociągnęła go za rękę: chciała, żeby się zatrzymał. Przystanął. Chciała, żeby usiadł i zjadł coś razem z nią. 'Nie był głodny i nie mógł zatrzymać się na długo, ale dobrze było odpocząć i przez chwilę. Wstał i poszli dalej. I tutaj, i potem w mrocznych sfałdowaniach wąwozów ścieżkę przecinały rwące strumienie. Hugh klękał przy każdym, żeby pić, bo ciągle czuł pragnienie i woda po-Idraepiała go ma krótko. Spoglądał w górę i widział niebo między czarnymi poszarpanymi konarami, i patrzył w bok na spokojną, miękką, poważną twarz dzijewczyny klęczącej tuż przy nim na skraju strumienia. Słyszał zawodzenie wiatru nad głową i niżej na zlbo-czu. Zauważał to wszystko i może jeszcze niepokaźne paprotki. i wodne rośliny przy swoich rękach. Podnosił się i podejmował marsz.

W pewnym miejscu, gdzie rosły jakieś drzewa o okrągłych liściach i białych pniach, było nieco jaśniej. Tam szlak się rozwidłał. Jedna odnoga skręcała w lewo i w dół, druga biegła prosto.

–Możliwe, że ta prowadzi do południowej drogi – odezwała

się Irena; z tonu, jakim powiedziała "ta", odgadł, że nie miała na myśli ścieżki idącej prosto.

–Nie powinniśmy zbaczać.

–Ona ciągle idzie prosto. Teraz trzeba kierować się na zachód. Może ona po prostu okrąży górę i wychodzi z powrotem na Wysoki Stopień. I idzie tak bez końca.

–Wszystko Jest w porządku – powiedział.

–Hugh, jestem zmęczona.

Od chwili, gdy zatrzymali się na odpoczynek i posiłek, czas jakiby w ogóle nie upłynął, a zarazem jakby minęło wiele czasu. Pragnął iść dalej, jednak usiadł i czekał tam przy rozwidleniu, aż się posili. Poszli dalej. Kiedy napotykali jakiś strumień, pili i znów szli.

Droga prowadziła teraz pod górę. To były jedyne określenia kierunku: na prawo i na lewo, pod górę i z góry. Stracili już dawno poczucie osi; nie miała znaczenia. Nie było przejścia. Szlak stał się bardzo stromy, prowadził zygzakami przez ściany parowów, które przeorały górski masyw, zawsze pod górę.

–Hugh!

Imię, którego nienawidził, nadleciało z wielkiej odległości, w ciszy. Powiew wiatru zamarł. Wokół kompletna cisza. Spokojnie, myślał z tępym drgnieniem trwogi, teraz musisz być spokojny. Niechętnie przerwał marsz i odwrócił się. Przez chwilę w ogóle nie widział dziewczyny. Pozostała daleko w tyle, w dole długiej niewyraźnej, stromej ścieżki; pod gęstwiną drzew jej twarz rysowała się białą plamą. Jeszcze kilka kroków i straciliby się z oczu. Tak byłoby lepiej. Stał jednak i czekał. Nadeszła bardzo powoli, w pocie czoła pnąc się pod górę – to były słowa książkowe – mozolnie, w pocie czoła, ta wspinaczka była ciężką harówką. Dziewczyna była zmęczona. On nie czuł zmęczenia, tylko kiedy przystawał, stanie bez ruchu, tak jak teraz, było uciążliwe. Gdyby mógł iść przed siebie, mógłby iść wiecznie.

–Nie możesz tak po prostu iść – powiedziała ochryplym szeptem bez tchu, kiedy wreszcie się z nim zrównała. Mówienie wymagało wielkiego wysiłku.

–To już niedaleko – rzekł.

**–Co niedaleko?**

**Nie mów nic, chciał jej powiedzieć, a zdołał tylko wyszeptać:**

**–Nie mów nic. – Odwrócił się, żeby iść dalej.**

**–Hugh, poczekaj!**

**W jej szeptanym okrzyku zabrzmiała udręka strachu. Ponownie odwrócił się do niej. Nie wiedział, co ma jej powiedzieć.**

**–Wszystko w porządku – rzekł. – Poczekaj tu trochę.**

**–Nie – odparła wpatrując się w niego – jeżeli ty idziesz, to nie. – Z determinacją wyminęła go na wąskiej ścieżce i poszła przodem energicznym, zdecydowanym krokiem. Poszedł za nią. Ścieżka zakręcała i pięła się w górę pod ciemnymi jodłami, pod nawisami skał. Minęli zakręt wysunięty ponad zamglonymi lasami i ujrzeli w dole całą wieczorną krainę ciemniejącą ku odległemu zachodowi. Nie zatrzymali się, szli dalej, przedzierali się pod drzewami, przez listowie i gałęzie, przez górę, pod skałą. Po prawej stronie piętrzyły się nawisami ściany szczytu. Drzewa rosnące między urwistymi skałami i głazami były karłowate, wątłe. Podłoże stało się skaliste, ścieżka biegła równo.**

**Zdecydowany, energiczny krok Ireny załamał się. Stanęła. Zrobiła kilka kroków i znów się zatrzymała. Kiedy podszedł do niej, szepnęła:**

**–Tam.**

**Stali przed skalnym urwiskiem, które ścieżka, coraz węższa, obiegała wokół. Hugh zrobił jeszcze kilka kroków i minąwszy zakręt, zobaczył fronton skalny, nad którym zwieszały się niemal bezlistne krzewy. W skale widniało wejście do jaskini. To było tutaj, oczywiście. Był na miejscu. Stał zapatrzony, bez lęku, bez najmniejszego podniecenia. Jest tu. Nareszcie. Znowu. Szedł tutaj przez całe swoje życie i nigdy stąd nie odszedł.**

**Pozostawało tylko zrobić parę kroków po równym kamiennym podłożu przed jaskinią i wejść. W jaskini jest ciemno. Nie półmrok. Ciemność. Od początku czasu do końca.**

**Ruszył naprzód.**

**Przebiegła koło niego, ta dziewczyna, spychając go z wąskiej ścieżki, zbiegła przez kamienną płaszczyznę do wejścia jaskini,**



ale nie weszła w głąb. Pochyliła się, podniosła kamień i cisnęła go prosto w ciemny otwór wrzeszcząc cienkim, niby ptasim głosem:

**–Wychodź! Wychodź! Wychodź!**

**–Wracaj! – krzyknął Hugh dogoniwszy ją w trzech susach. Przytrzymując lewą ręką pochwę, prawą wyciągnął szpadę, bo tylko to można było zrobić. Zimny dech wionął z jaskini i z zimnej..emności zbudził się, wydobył ogromny głos, s-ichłanne wycie. I} warz, która nie była twarzą, pęknięta i bezoka, wychynęła na zew-r ^trz, szukając go po omacku, ślepa i biała.**

**Hugh ścisnął kurczowo rękojeść obiema rękami, pchnął szpadą v. biały pomarszczony kałdun i pociągnął ostrzem z całej siły ku górze. Świszczący szloch spotężniał do ryku. W powodzi bladej krwi i wśród lśniących wnętrzości stwór uniósł się, wściekły, wijąc się z bólu, wyrwał mu szpadę z rąk i runął przygniatając go, gdy Hugh próbował, zbyt późno, uskoczyć.**

**Ruszało się jeszcze. Drgania rąk – maleńkich przy tej masie cielska jak łapy jaszczurki, ale ukształtowanych jak ręce ludzkie, z dłońmi – były miarowe, mechaniczny odruch. Ludzkie ręce, kobiece ręce i także piersi zakończone ostro jak sutki maciory pomiędzy ramionami i niżej na całym brzuchu, tam gdzie przy każdym pulsującym skurczu ukazywała się co chwila rana z tkwiącą w niej po rękojeść szpadą. Irena, na czworakach, przypadła jeszcze niżej i wymiotowała na skały i w pył. Kiedy zdołała się nieco unieść, zaczęła się czołgać, aby oddalić się od zdychającego potwora i dymiących trzewi. Ale pod spodem, pod tym potworem leżał Hugh – jak mogła go zostawić? On też nie żył albo umierał – przerażało ją, że nic dla niego nie może zrobić. Nie może nawet wstać. Dygotała wydając dziwny dźwięk, jakieś ao, ao. Kiedy podczołgała się blisko pod drgające ręce, tak blisko, że widziała wnętrzości poruszające się w ranie i Hugh'a leżącego na plecach i przygwożdżonego olbrzymią pomarszczoną nogą i cielskiem, nie miała nawet**

dość siły, by go uchwycić. Nie była w stanie go wyciągnąć. Musi poruszyć ten smoczy stwór, spróbować go zepchnąć. Kiedy wparła Glonie w biały, pomarszczony bok, krzyknęła na cały głos.

Stwór był zimny, zimny trupio. Bezwładny i sztywny, wstrząsające nim skurcze były mechaniczne. Spychała go z głową spuszczoną, z zamkniętymi oczami, szlochając. Ruszyła trochę cielsko, zsunęło się pod jej naporem, przetoczyło wolno na plecy uwalniając ciało Hugh'a leżące w kałuży śluzu i krwi. Cienkie, białe ręce sterczały teraz ku górze. Irena, przykucnąwszy przy Hughu, rejestrowała kątem oka ich coraz słabsze i szybsze drgania. Hugh leżał na wznak, obie nogi miał ugięte w bok, twarz pokrytą maską krwi. Próbowwała rękami zetrzeć to wszystko, oczyścić usta i nos, bo choć leżał nieruchomy, oddychał spazmatycznie, płytko, z przerwami. Ten smoczy stwór powalił go i leżał na nim zbyt długo dusząc w 'nim życie swym zimnem. Zmiażdżył go. Gdybyż mogła wydostać go z tej brei, krwi i popękanych wnętrzności, spod białego wstrząsanego skurczami cielska, na które nie była w stanie patrzeć, gdybyż mogła go przenieść gdzie indziej i oczyścić, i rozpaść ogień, i ogrzać się, ogrzać ich oboje. Ale nie była w stanie go nawet ruszyć. Jeżeli coś mu się stało w krzyż, poruszenie z miejsca mogłoby go dobić. Nie odważyła się nawet wyprostować mu nóg w obawie, że są złamane.

–Co ja mam robić? – zapłakała na głos i poczuła w ustach suchy, spuchnięty język. Od dawna męczyło ją pragnienie, całe mule przed dojściem do jaskini, całe godziny, kiedy Hugh szedł naprzód bezlitosnym, równym 'krokiem, bez przystanków, pędzony czy wleczony, a jej pozostawało Jedyńre trzymać się go, bo wiedziała, że z tej (krajiny jedno bez drugiego nie wyjdzie. A droga pięła się coraz wyżej i wyżej i nie napotykali już strumieni. IAŻ doszli do jaskini. Usta miała jak wysuszony gips, ale gdzieś tutaj musi być przecież woda. Przysiadła na piętach wodząc na wpół oślepyłymi oczami po kamiennej płycie przed mroczną otchłanią wejścia do jaskini, po nagich skałach i zboczach nad głową, po wierzchołkach drzew i górskich szczytach wznoszących się za wąwozem. Nie patrzyła na to białe coś, ale kątem oka cały czas rejestrowała drżenie jego rąk – ustający prawie, jednostajny dygot. Próbowwała wytrzeć

ręce o kamienie, bo lepiły się i sztywniały od śluzu i krwi. Usłyszała, jak w gardle Hugh'a 'zaskoczył oddech. Poruszył rękami, kaszlnął wydając wątlę, cienki odgłos jak dziecko. Poruszył wargami, wreszcie otworzył oczy. Z początku nie było w nim świadomości, ale kiedy przykucnęła koło niego i wymówiła jego imię, a on na nią spojrział, zobaczyła w jego niebieskich oczach żywą duszę.

–Hugh, możesz się ruszać, możesz usiąść? Świszczało mu w piersiach.

–Zat-tkało mnie – wymamrotał bardzo słabo.

–Wszystko w porządku. Zemdlałeś. Jeśli dasz radę się podnieść, będziemy mogli się stąd wynieść. Nie mogę cię dźwignąć.

–Czek... – powiedział – Czekaj.

Zamknął oczy, natychmiast je otworzył i zaciskając wargi uniósł się na łokciach; głowa zwisała mu na piersi.

–Nie daj się – powiedział do niej albo do siebie.

–O tak – mówiła do niego podtrzymując go za ramię. – Właśnie w ten sposób.

Chwiejnie podźwignął się na kolana i trwał tak przez, chwilę. Jakby nie wiedział, gdzie jest, i nie widział martwego potwora dygocącego tuż obok. Nie mógł na razie wyjść poza własne ciało. Kiedy spróbował wstać, Irena zdołała mu pomóc wsuwając mu ramię pod rękę, jak szczudło. Był bardzo ciężki, powłóczył nogami, nie widział.

Poprowadziła go wokół smoczego padła przez kamienną płytę do rzadkiego lasku rosnącego obok ściany jaskini. Tamtędy wiódł szlak. Skręcał ostro w lewo i w dół, niemal od razu schodząc tak stromo, że Hugh nie mógł utrzymać się na nogach. W 'każdymi razie jaskinię pozostawili za sobą. Miała zamiar nakłonić go, by usiadł albo się położył tu, przy drodze, a sama chciała pójść na poszukiwanie strumienia, gdy wtem usłyszała szmer płynącej wody i uświadomiła sobie, że przez cały czas, kiedy znajdowali się na kamiennej płycie przed jaskinią, słyszała ten dźwięk. Zmusiła Hugh'a, żeby się dowlókl za zakręt. Szlak biegł w dół między wybujałymi paprociami, woda spływała przejrzystą strużką po głazach, przecinała szlak i znikła wśród paproci i mchów.

–Tutaj – powiedziała. Gdy tylko przestała go podtrzymywać, opadł na kolana, a potem na czworaki. – Połóż się – powiedziała;

osunął się na bok między paprocie.

Ugasiła pragnienie, umyła twarz i ręce w niestrudzonym przezroczystym strumyczku i przyniosła Hughowi wodę w dłoniach, po jednym łyku na raz, bo tyle tylko mogła. Usiłowała go posadzić, zęby zdjąć mu kurtkę, ale nie zrobił nic, żeby jej pomóc.

–Hugh, wszystko jest pokrwawione, zapaskudzone i śmierdzi.

–Zimno mi – powiedział.

–Mam koc. Płaszcz. Suchy. Będzie ci cieplej.

Jego opór był nieświadomy i nie ustąpiła, póki nie ściągnęła z mego skórzanej kurtki. Dwukrotnie krzyknął z bólu, kiedy usiłowała ściągnąć mu ją z ramion, więc pomyślała, że ma złamany albo zwichnięty obojczyk czy zranioną rękę, ale powiedział zupełnie wyraźnie:

–Nic mi nie jest. – Cały przód koszuli był lepki, brązowo-czerwony, więc też ją mu ściągnęła. Nie doszukała się żadnych obrażeń. Ramiona, ręce i pierś były silne, gładkie, mocne, bardzo białe w cieniście zakątku paproci. Opatuliła go czerwonym płaszczem, a potem upraną koszulą umyła mu dokładnie twarz, szyję i ręce, splukała ją raz jeszcze, pełna gorliwości, 'uzdrowiona przez wodę, jej 'dotyk, chłód i czystość. Kiedy przestała się nim zajmować, leżał dalej z zamkniętymi oczami. Oddech miał ciągle płytki, ale spokojny. "Trzymała dłoń na jego dłoni, żeby dodać otuchy jemu i sobie.

Przepastny wąwóz, który się przed nimi rozciągał, wydawał się cichy. Cała góra była cicha, rozbrzmiewała tylko cichutko muzyka strumienia.

Dobre to było miejsce, ten zakątek przy ścieżce: paprocie, głązy, przymglone migotanie wody, mocne, ciemne gałęzie jodeł. Podniosła wzrok. Ścieżka skręcała ostro. Znajdowali się chyba dokładnie poniżej skalnej płyty i wejścia do jaskini. Źródło było zapewne pod jej dnem, a tutaj wydobywało się na światło dzienne. Znajdowali się na wprost jaskini, tylko niżej, minęli ją. Człowiek nigdy nie myśli o minięciu siedziby smoka, myśli tylko o dotarciu do niej – pomyślała Irena. – Ale co potem?

Znowu zaczęła płakać bezgłośnie, bezboleśnie. Łzy spływały jej po policzkach strużką jak woda strumienia. Myślała o żalonych, ohydnych łapkach, o spiczastych białych piersiach. Złożyła głowę w ramiona i płakała. Zostawiłam poza sobą siedzibę smoka i nie mam powrotu. Muszę iść dalej. Miałam dom, światło w oknie, ogień na kominku, tam byłam dzieckiem, byłam córką, ale to minęło. Teraz jestem tylko córką smoka i dzieckiem króla, tą, która musi iść samotnie, bo nie ma za sobą domu.

Woda śpiewała, cichutka i nieulekła. Irena, znużona, zwinęła się w końcu do snu. Tu, gdzie się zatrzymali, było wilgotno, dotyk paproci przejmował chłodem, ziemia była mokra. Nie mogła się rozgrzać. W pobliżu nie było nic, z czego można by rozpalić ognisko, a czuła się zibyt zmęczona, żeby szukać drewnia na ogień. Hugh spał twardo leżąc twarzą do ziemi, ręce mocno przycisnął do siebie dla ciepła. Róg czerwonego płaszcza zaczepiony o paprocie zwiślał. Wsunęła się tam plecami do pleców Hugh'a. Nie było wygodnie. Odwróciła się i objęła go ramieniem pod opończę. Teraz było ciepło i dobrze. Usnęła kamiennym snem.

Przebudziła się i leżała spowita w ciepło, kołysana łagodnym rytmem oddechu Hugh'a i swego własnego, zupełnie spokojna. Zaczęły się wyłaniać wspomnienia, dokuczliwe jak kamyki i ostre progi na dnie strumienia: znowu zbiegała nikłą stromą ścieżką do wejścia jaskini wykrzykując wyzwanie i znowu ślizgała się po skałach i padała, 'a'ż wreszcie – usiadła wyplątując saę ze zwojów czerwonego płaszcza. Siedziała chwilę, ciągle jeszcze nie rozbudzona spoglądała na paprocie i na strumyk, na drzewa w wąwozie, na błękitnawe otchłanie i dalekie kontury górskich grzbietów, na niebo bez barwy. Podpełzła do strumienia i zaczęła pić przykucnięta tam, gdzie opływał zakolem szary głaz; obmyła twarz i kark, żeby się orzeźwić, a potem oddaliła się nieco ścieżką i skręciła w bok na siusiu. Kiedy wróciła, Hugh siedział skulony, zakutany w płaszc. Jego gęste, szorstkie włosy zeszywniwały mimo jej usiłowań wyplukania z nich krwi i sterczały na wszystkie strony, szczę151

ki pokrywał gęsty zarost; wyglądał ponuro i imizemie. Dużo czasu minęło, nim odpowiedział na pytanie, jak się czuje.

–Okay – powiedział. – Zimno.

Wyjęła chleb i mięso dla obojga. Podała mu jego porcję, ale nie wyciągnął ręki spod płaszcza. Kulił się żałośnie.

–Nie teraz – rzekł.

–No jedz. W ogóle nie jadłeś wczoraj, czy kiedy to było.

–Niegłodny.

**–No to napij się chociaż.**

**Kiwnął głową, ale nie ruszył się, zęby podejść do strumienia. Po chwili odezwał się:**

**–Ireno.**

**–Aha – powiedziała żując wędzoną baraninę. Była straszliwie wygłodzona i nawet zezowała ku jego nie napoczętej porcji.**

**–To... Gdzie...**

**–Wyżej – wskazała ma gęsto porośnięte zbocze nad strumieniem. Spojrzał tam niespokojnie.**

**–Czy ono...**

**–Zdechło.**

**Hugh zadygotał; widziała, jak drżenie przebiega przez całe jego ciało. Było jej go żal, ale w tym momencie zajmowało ją głównie jedzenie.**

**–Zjedz coś – powiedziała. – To takie dobre. Niedługo powinniśmy zbierać się do drogi. Jeżeli czujesz się na siłach.**

**–Do drogi... – powtórzył.**

**Zaatakowała kromkę twardego, suchego chleba.**

**–Odejść. Wyjść. Do bramy.**

**Nie odpowiedział. Wziął pasek suszomeg6 mięsa, poobracał go w ustach bez przekonania i dał spokój. Poszedł do struiniefnia. Poruszał się niezgrabnie i długo trwało, nim wreszcie schylił się nad wodą. Pił długo, w końcu wstał z wysiłkiem przytrzymując na ramionach czerwony płaszcz.**

**–Przydałaby się moja koszula albo coś takiego – powiedział.**

**–Zobacz, czy wyschła. Musiałam ją wyprać. I twoją kurtkę też.**

Spojrzała na swoje dzinsy, sztywne, całe w czarnych smugach zaschłej krwi, przełknął ślinę.

–Dobra. Gdzie jest koszula? – zauważył koszulę rozłożoną na wielkiej paproci. Zrzucił płaszcz, żeby ją włożyć. Irena obserwując go dostrzegła piękno potężnych, gładkich ramion i szyi. Przepęłniło ją współczucie i podziw. Powiedziała:

–Hugh, zabiłeś smoka.

Skończył zapinać guziki i po chwili zwrócił się ku niej. Stał wśród baldachimowych paproci i głązów nieruchomy, ona też nieruchoma między skałą a paprocią, i patrzyli na siebie.

–Poszłaś przede mną – powiedział z wolna, odtwarzając tamtą chwilę na zakręcie wysokogórskiej ścieżki. – Zbiegłaś w dół, wołałaś "Wychodź!". Jak ty to... Dlaczego to zrobiłaś?

–Nie wiem. Miałam powyżej uszu tego swojego strachu. Wściekłam się, kiedy zobaczyłam wejście. Jak tylko je zobaczyłam, wiedziałam, wiedziałam, że ona tam jest i że ty do niej pójdziesz, wejdiesz tam i nigdy nie wrócisz i nie mogłam tego znieść. Musiałam ją sprowokować, żeby wyszła.

Wepchnął koszulę w dzinsy krzywiąc się przy każdym ruchu.

–Powiedziałaś "ją" – zauważył.

–Bo to była ona. – Nie chciała wspominać o piersiach i szczupłych rękach.

Potrząsnął głową, przybity, jeszcze bledszy.

–Nie, to był... Musiałem go zabić, bo... – powiedział i nagle wyciągnął rękę szukając oparcia; zachwiał się.

–Nieważne. To nie żyje.

Stał nieruchomo z odwróconą twarzą, patrząc na strumyk.

–Czy szpada...

–Pas i pochwa gdzieś tu leżą pod paprociami. Szpada jest... – musiała być równie zielona na twarzy jak on, bo przerwał jej zaraz:

–Nie chcę jej.

**-Hugh, powinniśmy iść dalej. Ja już chcę iść. O ile masz dość sił.**

**-Ale co się ze mną dzieło?**



–Ono się na ciebie zważyło.

Odetchnął głęboko, na jego twarzy odmalowało się oszołomienie.

–Nie czujesz, że masz coś złamanego czy coś takiego?

–Nic mi nie jest..Nie mogę się rozgrzać.

–Powinieneś coś zjeść. Potrząsnął głową.

–No to chodźmy. Tutaj jest mokro. Może rozgrzejesz się idąc.

–Racja – powiedział schodząc do miejsca, gdzie spali wśród paproci. Irena przejęła inicjatywę. Związała zawiniątko z jedzeniem i ciągle wilgotną skórzaną kurtkę w ten sposób, że łatwo je było nieść, a Hughowi dała czerwony płaszcz. – Włóż go porządnie, zobacz, wiąże się pod szyją. Twoją kurtkę będę niosła w ten sposób, dopóki nie wyschnie. – Poruszał się tak niezdarnie, że spytała:

–Czy coś ci się stało w ramię?

–Nie. To w boku. Coś sobie chyba naciągnąłem.

–Będziesz mógł iść? – zapytała gwałtownie, przerażona.

–(Przejdzie, jak się rozgrzeję – zapewnił przepaszająco.

–Nie wiem, gdzie jesteśmy – powiedziała.

Stali na ścieżce tuż za szerokim na dwie dłonie nurtem pomrukującego strumyka, który biegł w poprzek drogi i niknął w 'paprociach i mchach między korzeniami drzew porastających zbocze.

–Jedyny sposób, żeby zdobyć pewność, gdzie idziemy, to przejść cały szlak z powrotem – uczyniła gest w górę, w kierunku jaskini – przejść koło niej i całą drogę do Wysokiego Stopnia i dalej. Do miasteczka i 'na południową drogę.

–Nie – powiedział Hugh.

–Dobra – rzekła z 'uczuciem ulgi, do której nie była w stanie się przyznać. Ja też nie chciałabym tamtędy. To była okropnie długa droga. Ale nie waem, gdzie jest bramia.

–Jak zejdziemy, może znów złapiemy wycucie osi, kiieiru-(nek.

**–Dobra. Skoro teraz jesteśmy ma południowym stoku góry, to ta ścieżka prowadzi na wschód. Jeśli iiam się 'uda iść plus mmus na 'wschód albo na połudiniowy wschód, to powinniśmy pTOeciąć. Trze154**

**cią Rzekę gdzieś iu podnóża góry. I posuwać się wzdłuż Trzeciej Rzeki aż do drogi, a potem dalej do bramy. Będzie o połowę 'bliżej, niż wracać ma okrągło.**

**Skinął głową. Puściła się w dół ścieżką (pod strzelistymi, stłoczonymi jodłami.**

**Marsz poprawił jej samopoczucie, tak jak i postanowienie, by.nie wracać; obawiała się, że Hugh będzie chciał wracać. "Iść i mię oglądać się..."**

**Białe postacie stały w milczeniu w zmięzchu na drodze, od dawnia już iteraz i na zawsze, niezmiennie.**

**Ścieżka była wąska i skalista, łagodnie schodziła w dół. Przy-jemnie się nią szło zapominając o guzach, obolałych rękach i nogach^ oddychało s^ę lekko. W czasie tamtej drogi bez końca od Wysoikie-go Stopnia do jaskini, przez cały tamten dzień czy dni lęku i marszu pnzied siebie i wciąż przed siebie nie była w stanie oddychać mor-malnie, cały czas cauła głęboki ucisk na płulca. Teraz oddychanie stało się przyjemnością równie intensywłą jak pilcie chłodnej wody. Oddycham, oddychają mną, jestem oddechem, jestem taka, taka jestem. Tak idę, tak chodzę po ziemi, jestem ziemią, oddechem, a nade wszystko radością.**

**Przemierzyli szmat drogi, 'zanim ścieżka osiągnęła dno wąwozu. Był tu głęboki mrok, ciichy potok pod zwieszającymi się krzewami •i paprociami, niebezpieczny, ledwo widoczny bród. Hugh przeszedł go powoli. Widziała, że porusza się z trudem. Wadzała, że ścieżka 'zawraca po tej sttronie jaru kierując się na zachód.**

**O ile to był zachód.**

**W tym cieimtnym, niebezpiecznym miejscu opuściła ją cała ufność. Jeżeli zaszli dalej, niż to obliczyła, i jaskinia smoka znajdowała się po zachodniej stronie góry, wszystkie jej rachuby były daremne. Znajdowali się w kraju, o którym nie wiedziała nic. Ani-rotembre, kraj za górą, wymieniam, tylko tę nazwę. Jeżelili były tam jakieś miasta, nie wspominali o (nich. Co Hiugih mówił o zachodzie? Coś o morzu. To nic nie dawało. Musi podjąć decyzję, co robić. Szlak, którego się trzymali, mógł zatalczać koło. Był to wciąż ten sam szlak, na który weszli opuszczając Wysoki.Stopień, była to droga smoka. Mogła iść zygzakami w górę, w dół, przez wąwozy i w górę**

i w dół dookoła góry dochodząc ponownie do Wysokiego Stopnia. Pewnie trzeba by dni, by ją przebyć, a Hugh już teraz stoi ze zwieszoną głową, rad, że może przerwać marsz. Nie ma sensu chodząc w koło. Muszą zejść ze ścieżki smoka i wydostać się.

–Myślę, że (powinniśmy tutaj zejść ze szlaku – powiedziała głosem zniżonym, bo to otchłanne miejsce tchnęło grozą. – Musimy się starać utrzymać kierunek wschodni.

Podniósł wzrok na ciemne nawtey n'ad głową.

–Bez szlaku trudno będzie utrzymać jakikolwiek kierunek.

–Ta rzeka płynie chyłba na wsichód. Możemy iść jej 'brzegiem.

–Dobrze.

–Wydaje mi się, że tam. jest wschód – powiedziała sucho – ale nie wiem.

–Kto to może wiedzieć? – rozgrzeszył ją bez zastrzeżeń. – Ja bym nigdzie nie doszedł – dodał patrząc na nią w ciemnościach. – W każdyfm razie sam.

–Znowu Brautigan – powiedziała. – Możliwe. O ile tylko ta rzeka płynie w dobrą stronę.

–To nie rzeka, to potok – zauważył nieśmiało.

–Wszystkie nazywam rzekami. Chcesz tu trochę odpocząć?

–Nie. Ziemia jest mokra. Chodźmy.

Rozmyślne zejście ze ścieżki, decyzja pójścia przez bezdroża, jakiby się znało drogę, były deprymujące. Tyle że szło się z początku łatwo. Po tej stronie wąwozu rosły głównie wielkie stare świerki kanadyjskie, wyrastające niekiedy z łożyska 'strumienia; poszycie było ubogie. Trawersowali strome zbocza. Już od dawna marzyła, żelby jej prawa.noga skróciła się o parę cali, odwalili jednak spory kawał drogi i więcej tutaj było światła.

Strumień miał coraz ostrzejszy spadek. Irena nie trzymała się brzegu, szła grzbietem łańcucha, który miał dokładnie tętn sam kierunek co bieg wody. Żywiła ponadto nieśmiałą nadzieję, że z górskiego grzbietu wypatrzy drogę, ale jak zawsze drzewa 'rosły 2)był gęsto. Czy.głupio zrobili schodząc ze ścieżki? Możliwe. Ale ona nie zawróci. (Nie mają innego wyboru, muszą ryzyfcować. Była głodna. Miała wrażenie, że jest jeszcze 'za wcześnie na postój, dopóki nie

wróciła myślą do miejsca poniżej jaskni, gdzie spali – mdmęły długie godziny, za nimi leżał szmat górskiej drogi. Odwróciła się i powiedziała do mozolącego się za nią Hugh'a:

–Ohciałalbym 'zrobić przerwę.

Zaitrzy miał się natychmiast. Rozejrzał się wokół i wskazał równy kawałek ziemi między korzeniami dwóch wielkich, rozczochranych drzew. Miał ma sotoie czerwony płaszcz, w którym wyglądał z tyłu jak balbcia, za to z przodu majestatycznie. Znaleźli korzenie wygodne do siedzema. Irena rozpakowała Jedzenie.

–Pomyślałam sobie, że może teraz coś przekąsimy, a solidniej zjemy na następnym postoju. Bardzo jesteś głodny?

–Wcale.

–Coś jednak musisz zjeść.

Przygotowała porcje, które oceniła jako hamieibnie skąpe, odłożyła resztę i zalbraiła się do dzieła. Wydawało jej się, że przeżuwa wolno, żetoy na dłużej starczyło, ale wszystko znikło natychmiast, jeszcze zaiiirn Hugh doszedł do połowy. Nie zjadł nawet chleba. Popatrzyła na niego zaniepokojona. Był blady, ale jego mizerny wygląd był przede wisizysitikiirn skutkiem nicigolema, w jego twarzy nie było napięcia. Właściwie sprawiał wrażenie spokojnego i zadowolonego, gdy tak błądził wzrokiem wiśród drzew. Najwidoczniej poczuł na sobie jej spojrzeime, 'bo obejrzał się.

–Ty pracujesz, uleżysz się czy co? – zapytał.

W pierwszej chwili pytanie 'zabrzmiało głupio, bez sensu, nie •mogła "na nie odpowiedzieć, tutaj, zagubiona ma górze smoka. Ale impuls Hugh'a udzielił się i jej i pytanie przestało (być dziwaczne.

–Pracuję. Firma Mott i Zerming. Jestem tam na posyłki.

–Kim?

–Gońcem. Firma ona różne filie i oddziały porozrzucane po mieście, prowadzi'masę korespondencji, różne wykazy, kupę projektów i takie tam różne – zajmują się między innymi techniką – opłaca im się zatrudniać ludzi do rozwożenia tego wszystkiego po biurach zamiast posyłać pocztą. To spore przedsiębiorstwo. Ale działają tylko na lokalną skalę i pan Zerming sam się właściwie z tym wyrabia. Zatrudnia chętnie ludzi z własnym wozem. Ale benzytnę mam za darmo.



–Ale masz fajnie – rzekł z aprobatą. – To znaczy, że cały czas siedzisz za (kółkiem?)

–Do 'biur w centrum lepiej niekiedy iść na piechotę. Albo autobusem. Czasem rzeczywiście jeżdżę cały dzień. Trochę zwariowane ziajecie. Lubię je, bo jestem niezależna, nikt mi się nie wtrąca. Nie cierpię, jak mi ktoś mówi, co mam robić.

–Prawie w każdej pracy jest z tymi kłopot.

–W tym wypadku kłopot polega na tym, że to jest właściwie zajęcie dla nastolatków. Wiesz. Takie niekonkretne. Człowiek właściwie niczego naprawdę nie robi. Chodzi się i chodzi, i nie dochodzi donikąd.

–A co byś chciała robić?

–Nie wiem. Ta praca może być, nie mam nic przeciwko niej. Ot praca. Ale podejrzewam, że jest inaczej, gdy człowiek robi coś rzeczywiście. Powinno być inaczej. Na przykład na farmie. Albo uczenie. Albo dzieci. Ale to nie dla mnie. Do tego trzeba ziemi i traktora albo skończenia szkoły pedagogicznej (czy pielęgniarskiej, czy czego tam jeszcze.

–Możesz chodzić do szkoły wieczorowej przy państwowym college'!! – powiedziały w zamyśleniu – a pracować przed południem. W każdym razie zacząć... Jeśli...

–Coś 'mi się zdaje, że masz to już przemyślane. A ty •będziesz musiał chodzić na jakieś studia?

–Po co?

–Wspominałeś o pracy w bibliotece. Znowu popatrzył na nią przeciągle.

–To prawda – przyznał, a ona wiedziała bez uzasadniania i 'bez wątpliwości, że dotarła do czegoś, co było zepchnięte w kąt, że zrobiła coś w pełni i na stałe słusznego. Nie wiedziała, na czym to polegało, ale skutek sprawił jej radość.

–Fantastyczne – (powiedziała. – Tyle książek. Tylko co będziesz z nimi robił?

–Nie wiem – odparł. – Może 'będę czytał?

Jego uśmiech był samą dobroduszością. Roześmiała się. Ich oczy się spotkały, oboje odwrócili wzrok. Przez pewien czas milczeli.

–Gdybym tylko miała pewność, że naprawdę idziemy na wschód, byłoby wspaniale... A ty dobrze się czujesz?

–Tak, dobrze.

Zawsze mówił cicho, ale teraz zauważyła, że ton jego głosu jest nieco przytłumiony: mógłby brzmieć pięknie w śpiewie.

–Boli tutaj jak licho – powiedział z odcieniem zdziwienia ostrożnie obmacując lewy bok.

–Daj, zobaczę.

–Nieważne.

–Dobra, zobaczymy. Zdawało 'mi się, że jesteś jakby trochę sztywny z tej strony.

Próbował podciągnąć koszulę, ale nie mógł podnieść lewej ręki. Rozpiął guziki. Był zmieszany, więc przystąpiła do oględzin z rzeczowością. Na wysokości łokcia z 'boku widniał zielonkawocząmy siniak wielkości pokrywki od' puszki z kawą.

–O Boże!– wykrzyknęła.

–Co jest? – zapytał z obawą. Sam nie mógł tego (miejsca dokładnie zobaczyć).

–Chyba siniak – przyszła jej na myśl rękojeść szpady wystająca z 'brzucha białego stwora. Całe jej ciało napięło się i skurczyło ma tę myśl.

–To z tego... to wtedy, kiedy to się n«a ciebie zważyło. Dookoła sonej plamy skóra była żółtawa, upstrzona innymi siniakami i poznaczona pręgami podchodzącymi aż do mostka.

–Nic dziwnego, że cię 'boli. – Poczwała gorąco stłuczonego miejsca, zanim go jeszcze, bardzo delikatnie, dotknęła.

Chwycił ją aa rękę. Pomyślała, że sprawiła mu ból, i podniosła wzrok do jego twarzy. Trwali tak 'bez ruchu, ona klęczała przy nim, on siedział z jednym kolaniem podciągniętym do góry.

–Mówiłaś, żebym cię nigdy inie dotykał – powiedział o-chryple.

–To było kiedyś.

Linia jego uist zmięła i rozluźniła się, twarz miłał spiętą, niezwykle poważną, już kiedyś taką widziała. Tę samą maskę, upodabniającą ich wszystkich do siebie, widywała na twarzach innych mężczyzn i ukrywała własną twarz. Teraz, nie zalękniona, przeję159

ta grozą, ale zaciekawiona, przyglądając mu się dotykała jego ust i zagłębienia sikroni koło oka delikatnie, jak dotykała czarnego sińca chcąc poanać tę udrękę i to pragnienie. Przycisnął ją do siebie, niezgrabnie i nieśmiało, aż uniosła obie ręce czując, jak poddaje się miękko i szybko niby woda, a wtedy on znalazł się na niej, pokonując jej opór, ale jej siła podtrzymała i wchłonęła jego siłę.

Kiedy w nią wszedł, kiedy się w niej znalazł, razem osiągnęli szczyt, a potem razem leżeli splątani i stopieni, pierś w pierś, jeden oddech, aż znowu wzniósł się w niej, a ona się na nim zamknęła i poiniósł ich długi rytm zachwytu.

Leżał z zamkniętymi oczami i głową odwróconą na bok, prawie nagi, z»e zsuniętymi dzinsami. Pociągnęła palcem po długiej wspaniałej linii od biodra do szyi, popatrzyła na dziwnie mewimne włosy pod pachą; nakryła ich oboje czerwonym płaszczem.

–Piękma jesteś – powiedział, 'a jego ręce próbowały wyrazić to (piękmo w pieszczotach już bez natarczywości, czule, sennie. Leżał 2 twarzą wspartą o jej 'ramię. Na wpół śpiąc widziała nieruchome liście cykuty na tle spokojnego nieba. Pocieszenie, które ofiarowali sobie nawzajem, było wielkie, ale jedyne. Ziemia była twarda. Dziewczyna czuła, jak w czasie snu przenika go drzemie. Odsunęła się od niego. Zaprotestował wymawiając jej imię i ponownie zapadł w sen.

Ubrała się, również nieco drżąca, a kiedy wstał, kazała mu założyć skórzaną kurtkę, nareszcie suchą, i dopiero na nią narzutcić płaszcz. "

–Jest ci zimno po szoku – orzeikła.

–Szoka po czym? – zapytał z, łagodnym uśmiechem.

–Cicho bądź. Szoku na skutek dozinanych obrażeń, po tym naprawdę może być zimno.

–Zdaje się, że wpadliśmy na sposób, jak się rozgrzać.

–Tak, naturalnie. Ale mię dotrzemy do bramy, jeśli będziemy tu leżeć i się pieprzyć.

–Nie wiem, czy tam dotrzemy, jeśli wstaniemy i pójdziemy – zauważył. – W każdym razie będziemy mieć przyjemne postoje – dodał i szybko spojrział na nią, czy nie zranił jej uczuć, nie uraził. Jego skromność, jego wrażliwość przejmowała ją podziwem. Ona



jest o wiele bardziej gruboskórna, pomyślała, i jeśli ją osądzał, nie mogło mu się to podobać. Ale on jej nie osądzał. Nie przyszedł z ocenami, nie wskazywał jej (miejsca czy celu. Przyszedł dosłownie z m-czym, tylko ze swą siłą i pragnieniem. Popatrzył 'na nią i powiedział:

–Wiesz, Ireno, to było najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Skinęła głową 'niezdolna wydobyć słowa.

–Myślę, że powinniśmy iść dalej – stwierdził. Dotknął lewego boku z wyrazem zamyślenia i niechęci. – Mogłoby nie boleć.

–To trochę potrwa. Tam jest straszny siniak.

Popatrzył n'a nią znowu, niepewnie, potem, podszedł zdecydowanie, dotknął jej włosów i policzka i pocałował w usta – niezbyt biegle i niezbyt namiętnie, ale 'był to ich pierwszy pocałunek. Bardziej od pocałunków lubiła jednak dotyk jego wielkiej idłoni. Chciała miu powiedzieć, że jest pielony, że jej się podoba, ale mówienie o taikich sprawach me było jej mooną stroną.

–Ciepło ci? – zapytał. – Ja zagarnąłem wszystkie ciuchy.

–Zawisze rozgrzewam się, jak idę.

Czekał, aż pójdzie pierwsza, i mię próbował 'udawać, że wie, dokąd iść. Ruszyła z nowymi przyplywem ufności górską 'granią trzymając się tego samego kursu wzdłuż strumienia, kierunku, który postanowiła nazywać wschodnim.

Szli wytrwale kawał drogi nie rozmawiając. Grań, długi, wąski grzbiet, skręcała nieco w lewo, wznosiła się i opadała, ale stale schodziła w dół. Lasy na szczęście były rzadkie, co ułatwiało poruszanie się, czasem spod ciemnego dachu gałęzi wyruszali ma rozległe, otwarte przestrzenie, przez które przyjemnie się szło po' krótkiej, suchej, zbrązowiałej trawie.

W końcu grzbiet zaczął stromo, gwałtownie 'opadać. Nie mogli znaleźć łatwiejszej drogi, musieli spuszczać się w dół, chwytając się korzeni i zjeżdżając na łeb, na szyję. Zatrzymali się na samym dnie, 'w łożysiku strumienia, w gęsto porośniętym jarze o stromych ścianach. Od razu skierowali się do strumienia, żeby się napić.

Irena wdrapała się ponownie po mulistym brzegu n'a kawałek wolnej przestrzeni, która pozostała po upadku wielkiego drzewa.

U – Miejsce początku igi

Sfcała rozmyślając. Strumień wielkością przypominał Trzecią Rze-^ę. Jeżeli to jest Trzecia Rzeka, to wystarczy się jej trzymać, żeby przeciąć południową drogę... Ale to 'nie była Trzecia Rzeka. Był to ciągle ten sam strumień, wzdłuż którego szli całą drogę od źródła, od potoczku wśród paproci poniżej Jaskini smoka. Spływał z góry na wschód albo na południowy wschód od Jaru. Trzecia Rzeka płynęła na zachód, omijając górę. To musi być dopływ, który gdzieś wpada do Trzeciej Rzeki. Płynął w 'lewo, a Trzecia Rzeka powinna płynąć w prawo, patrząc z tej strony, o ile jest to kierunek południowy.

Stała usiłując rozgryźć problem, w jaki sposób te strumienie mogą płynąć w przeciwnych kierunkach i w którą stronę świata jest teraz zwrócona. Jakaś gula wyrosła jej w gardle. Kompasowe określenia: "północ, zachód, wschód, południe" były słowami pozbawionymi znaczenia. Południe mogło być wszędzie, podobnie jak północ.

Podszedł do niej Hugh.

–Masz ochotę na postój? – zapytał. Położył rękę na jej ramieniu. Uchyliła się (przed jego dotknięciem).

Odsunął się natychmiast i przeszedł na drugą stronę polanki. Usiadł oparty plecami o potężny pień zwalonego drzewa, i zamknął oczy.

Kiedy zbliżyła się, by usiąść koło niego, zapytał:

–Może należałoby coś zjeść?

Rozwiązała tobolek i wyłożyła cały prowiant, jaki im pozostał. Było go więcej, niż myślała, na pewno dosyć, by przetrzymać jeszcze jeden dzień. Odważyła się wyznać:

–Nie wiem, gdzie jesteśmy.

–Cały czas nie wiemy, prawda? – odparł 'beznamiętnie. Z widocznym wysiłkiem poruszył się, otworzył oczy, zaczął zadawać pytania, wysuwać propozycje. Rozważali, czy iść dalej wzdłuż strumienia, tak jak dotychczas, 'bo w końcu musi się łączyć z jakąś większą rzeką.

–Jeżeli płynie w naszą stronę, dojdziemy do morza – próbował zażartować, ale głos mu zamarł przy ostatnim słowie.

–Można by też skręcić tutaj w lewo – podsunęła Irena wal162

cząc z długim paskiem suszonej baraniny i 'czując, jak jedzenie przywraca jej siły – bo ciągle mi się zdaje, że powinniśmy iść bardziej n'a wschód. Jak długo pozostajemy na tej górze, nie zgubimy się tak zupełnie,

**–Ale nie zbliżamy się do bramy.**

**–Tak. Góra jest dla nas Jedynym punktem orientacyjnym. Straciliśmy wyczucie, gdzie jest przejście.**

**–Wiem. Tu jest wszędzie jednakowo. Jak wtedy, gdy mimą-łem bramę. Wiesz... bo je się, że to się stało znowu. Że bramy już nie ma. Że nie ma czego szukać.**

**–Mnie się to nigdy nie zdarzyło – powiedziała z nutą buntu. – I nie zdarzy się. Nie mam zamiaru tu zostać.**

**Przesuwał jodłowe igły układając wzorki na ziemi koło zwałonego drzewa.**

**–To dla ciebie – (powiedziała starając się nie patrzeć na jego porcję.**

**–Nie jestem właściwie głodny. Po pewnym czasie odezwała się:**

**–Ale to nie dlatego, że zostawiasz dla minie, żadne takie podchody, prawda?**

**–Nie – odrzekł iszczenze, zaskoczony pytaniem, i uśmiechnął się podnosząc na nią wzrok. – Po prostu nie chce mi się jeść. Inaczej nie miałabyś szans.**

**–Ale nie możesz pościć przy takich długich marszach.**

**–^toge. Czerpiąc z pokładów tłuszczu jak wielbłąd. Zmarszczyła brwi. Chciała przysunąć się do 'niego bliżej, dotknąć go, jego szorstkich włosów i zmęczonych kłujących policzk-ów, jego ręki, wielkiej, potężnej, a przy tym dziecięcej, ale na przeszkodzie stanął jej niedawny odruch, gdy umknęła przed jego dotknięciem. Chciała zaprotestować przeciw jego samooczemianiu, ale nie wiedziała, co powiedzieć.**

**Zamknął oczy, czy może zamknęły mu się same, odchylił się w tył n'a zwałone drzewo. Nie otworzyła ust, spętana własną nieśmiałością i pogłębiającym się zniechęceniem. Kiedy znów na niego zerknęła, spał już z twarzą rozluźnioną, z ręką bezwładnie spoczywającą na udzie.**

**u\* 163**

**Powinni iść dalej. Muszą iść dalej. Nie mogą usiąść tu i zasnąć, bo nigdy nie dotrą do celu.**

**–Hugh! – zawołała. Nie usłyszał. Potem JCJ niepokój stopniał w pełnej lęku namiętnej czułości, która z tego lęku wyrosła. Podeszła do Hugh'a i popchnęła go łagodnie, żeby się położył. Obudziło go to.**

**–Prześpij się – powiedziała. Posłuchał. Siedziała przy nim przez chwilę i wsłuchiwała**

się w szmer pobliskiego strumyka, na który przedtem nie zwróciła uwagi. Płynął tutaj spokojnie przemykając po piasku i mule z cichym mruzeniem. Zaczęło do niej docierać, że jest zmęczona. Wyciągnęła 'czerwony płaszcz i nakryła ich oboje jak kocem, przytuliła się do Hugh'a i zasnęła.

Obudzili się zeszywniali, niemrawi, osipali. Irena zsunęła się ze skarpy, żeby się napić ze strumienia. Umyła ręce i twarz, chłodna woda była tak miła, a ona czuła się tak obrośnięta brudem, że wynalazszy płytką zatoczkę zdjęła ubranie i wykąpała się. Zawstydzila się Hugh'a i ubrała się natychmiast. Zszedł do strumienia trochę powyżej, gdzie zejście było łatwiejsze, i mikił ciężko, żeby się napić.

–Wykąp się. Tak jak ja! – zawołała Irena zapinając bluzkę, przeniknięta miłym dreszczykiem.

–Za zimno.

–Ciągłe jesteś zmarznięty – przyłączyła się do niego na błotnistym zarośniętym paprociami brzegu.

–Bez przerwy.

–To tętn... to ten smoczy stwór... On był zimny. Czułam to.

–Po prostu chcę zobaczyć słońce – powiedział. W jego głosie zadźwięczała rozpacz, która ją strwożyła.

–Wyjdziemy stąd, Hugh. Nie...

–Którędy? – zapytał wstając. Przytrzymał się rosnącego przy brzegu sękatego krzaka, żeby się dźwignąć.

–Myślę, że z biegiem strumienia.

–Dobra. Nie mam, specjalnej 'ochoty na alpinistyczne wyczyny – powiedział siląc się n'a żartobliwy ton.

Wzięła go za rękę. Była zupełnie zimna. Zimna od wody, uświadomiła sobie, ale ten chłód wstrząsnął ją mimo racjonalnego wy'

tłumaczenia. Bała się o Hugh'a. Podniosła 'na niego wzrok i wymówiła jego imię.

Napotkać jej spojrzenie i zapatrzył się w nią, jakby wzrokiem przenikał ją na wskroś z niewypowiedzianym pragnieniem. Położył prawą rękę na jej włosach i przyciągnął ją do siebie. Był opoką, fortecą, bastionem, a zarazem (kruchym śmiertelnikiem, którego łatwiej zranić, niż uleczyć, zabójcą smoka, dzieckiem smółka, synem króla, biedakiem, przemijającą nieświadomą istotą.

Jego pożądanie znów zostało pobudzone i tętniło na "(ej brzuchu, ale ramiona trzymały ją z pragnieniem jeszcze większym niż fco, któremu życie nie potrafi dać zadośćuczynienia. Tuliła go do siebie i stali tak razem.

## 9

Prowadziła ona. Hugh trzymał się najbliżej, jak mógł. Oglądała się często; czasami musiała na 'niego czekać. Usiłował nie zostawać w tyle, ale przedzieranie się wzdłuż strumienia nie 'było łatwe. Korzenie, krzaki, paprocie tworzyły gąszcz, a grunt pod nim był grząski, niekiedy śliski. Spuszczając się na dno głębokiego jaru Hugh coś sobie naciągnął i od tej chwili ból w boku nie ustawał, utrudniając oddychanie i marsz. Po pewnym czasie nie myślał już o tym, żeby za ima nadażyć, tylko żeby w ogóle iść. W (miejscu, gdzie mały strumyk łączył się z tym, który ich prowadził, 'utworzyło się grzędzawisko, stopy nie znajdowały pewnego oparcia. Zdecydowali, że trzeba przeprowić się przez wodę. Było to 'bardzo trudne. Napływające i odpływające zawroty głowy utrudniały mu utrzymanie równowagi na śliskich kamieniach w rwącym nurcie. Bał się, że upadnie i 'znów sobie coś naciągnie w boku. Udało mu 'się przebrnąć bród, ale w chwilę później musieli przeprowić się znowu. Nie rozumiał dlaczego; koncentrował 'całą uwagę na najbliższych paru krokach. Chciała mu podać rękę, ale nie ma wiele by się to zdało. Była za mała, trudno, niech się ślizga, cholerny słoń. Woda parzyła zimnem. Znajdowali się teraz po drugiej stronie, gdzie otwierała się łatwiejsza droga wzdłuż

piaszczystego brzegu pod szarymi drzewami. Gdyby tylko bok nie piekł i gdyby szpada nie wbijała się coraz głębiej. Irena była jak cień, szła przed nim lekko – jedyny cień w tym świecie bez cieni, bez księżyca, bez słońca. Ireno, zaczekaj na mnie, chciał powiedzieć, ale nie musiał; czekała. Odwróciła się do niego, wróciła. Jej ciepła, mocna dłoń dotknęła jego dłoni.

–Hugh, chcesz trochę odpocząć? Potrząsnął igłową.

–Chcę iść dalej – powiedział. Szpada wbiła mu się odrobinę głębiej, znowu. Jego imię, imię Jego ojca, imię, którego nienawidził, wypowiedziane jej głosem, było jak chrzest: oddech, wytchnienie, ty. Ty, moje spełnienie. Ty, napotkana ponad wszelkie oczekiwanie, ty, moje życie. Nie śmierć, iale życie. Przed jaskinią smoka zostaliśmy (poślubieni).

–Na chwilę – powiedział. Kilęzał. Podeszła do niego, od-diama i 'zaniepokojona. Powiedział jej, żeby się nie martwiła, że chce usiąść i chwilę odpocząć, albo zamierzał jej to powiedzieć.

Pomogła mu się położyć i otuliła czerwonym płaszczem, objęła go i próbowała ogrzać swoim ciepłem. To on był cieniem; ona była ciepłem, światłem słonecznym.

–Zaśpiewaj piosenkę – powiedział.

Z początku nie dosłyszała, nie mógł mówić głośno, bo przeszkadzała mu szpada w boku. Kiedy powtórzył, zrozumiała. Oparła się na łokciu i odwracając 'trochę twarz zaśpiewała swym cienkim, łagodnym głosem, głosem skowronka, bez lęku:

Kiedy w pączku kuli się kwiat

i drzewo się liśćmi okrywa,

do domu mnie wiedzie skowronka śpiew,

do ain krainy mnie wzywa.

–To o tym – powiedział.

–O czym?

–O domu. Dom to tamta kraina, nie ta tutaj. Trzymała twarz przy jego twarzy, pogładziła igo po włosach. Pirzemikało go jej ciepło. Zamknął oczy. Kiedy się obudził, nic mu

nie doskwierało w boku, dopóki się nie poruszył. Najtrudniej było wstawać. Kiedy klękał nad wodą, żeby się (napić, me mógł się później podnieść bez rzężerhia, (które wydobywało się z jego piemsi;

wstydzil się, ale nie mógł się dźwignąć 'bez tego.

–Chodź – powiedziała Irena. – Tędy. Mówiła z taką pewnością siebie, że zapytał:

–Zmalazłaś drogę? – Nie usłyszała pytania. Szło mu się dobrze, tylko ciągle się potykał. Najlepiej dawał sobie radę, kiedy szła tuż obok niego. Prowadziła go tak sprawnie, że część drogi mógł przebyć z zamkniętymi oczami, ale kiedy zataczał się poza linię ścieżki, pociągał ją za sobą, starał się więc mieć oczy otwarte. Droga stała się łatwiejsza. Drzewa rozstępowały się przed (nimi, ale musieli jeszcze raz przeprowić się przez strumień. Okazało się to niemożliwe.

–Poprzednio dałaś radę – powiedziała.

Rzeczywiście? To dlatego tak mu zimno; był mokry. Wobec tego nic me szkodzi, że się zamoczy jeszcze raz. Woda parzyła jak ogień, ciemna, wartka woda, której już więcej nie będzie pił. Była tam skalna półka nad strumieniem, gdzie on, gdzie ona klęczała. I krzaki, i bezkwienna trawa polany, miejsce początku, ale tym razem końca; i sosna, i wysokie laury, ale me było między nimi drogi, dopóki jej 'nie otworzyła dla niego ręka Ireny. Ale on dalej nie dawał rady. Dopóki nie wzięła go za rękę i nie weszła z nim razem w nowy świat.

Spodziewała się słońca. Cały czas myślała, że wyjdą na gorące, wspaniałe słońce tego upalnego lata. A oni przeszli przez próg i wkroczyli w noc i w deszcz.

Deszcz padał gęsto wielkimi kroplami, bębnienie kropel o liście i ziemię było piękne, piękny był zapach. Twarz miała mokrą od deszczu jak od łez.-Ale nie mogła pozwolić Hughowi na odpoczynek, jak sobie planowała w drodze. Nie na tej mokrej ziemi, w przemoczonych na wylot po przejściu trzech rzek džinsach i butach. To było niesprawiedliwe, Hugh oślepl z bólu i gorączki. Ale Irena nie wypuszczała jego ręki z uścisku, więc szedł. Posuwali się wolno przez ciemny las, a gdy las się skończył, przez puste ugory.

Powietrze i ziemię przecinały smugi reflektorów dalekich aut na autostradzie, które przebijały padający deszcz. Hugh (potknął się. Chwytną równowagę uwiesił się na niej ciężko i krzyknął, ale zaraz ją zapewnił: "To nic" – i szli dalej mając za drogowy neon fabryki farb świecące przez całą noc. Zbliżali się do żwirowej drogi. Na 'krótkim podejściu przy szosie upadł na kolana i 'nagle bez słowa 'czy gestu osunął się i padł twarzą na ziemię.

Upadła razem z nim; przykucnęła koło niego w mokrej trawie. Po chwili wdrapała się na skraj szosy i stała przez chwilę wpatrując się w ciemność, gdzie leżał. Nie mogła go dojrzeć. Popłakując z żalu, jialk on popłakiwał z bólu, poszła szosą w stronę farmy.

Za sobą od strony fabryki miała światła. W zajęczym przerażeniu znieruchomiła na skraju szosy; usłyszała, jak samochód zwalnia, jak piszcza opony.

–Hej, stało się coś?

To się mogło stać, to się zawsze mogło stać, czego się bała, o czym wiedziała, 'ale zawróciła i podeszła do samochodu. Trzęsła się. Dostrzegła w odbiciu reflektora rudobrodą twarz.

–Mój przyjaciel jest ranny – powiedziała.

–Gdzie? Poczekaj.

Samochód był mały, a Hugh nie oprzytomniał ma tyle, żeby im ułatwić sytuację, ale Ryża Bródka z całym samozaparciem upchnął go na przednim siedzeniu, potem Irenę złożoną w scyzoryk na tylnym i pomknął sto czterdzieści, wielce zadowolony, do szpitala Fair-ways. Przy wejściu na ostry dyżur wyskoczył z samochodu, ledwo nadepnął hamulec, w dalszym ciągu niezwykle rad. Kiedy Hugh zabrano, czar przysł, mimo to Rudzielec czekał razem z nią; przyniósł jej kawę d. wafelek z automatu na korytarzu – zrobił wszystko, co w mocy 'bliźniego, rzecz zwykła w praktyce życiowej Ireny, a jednak niezwykła. To przywilej monarchów zwracać się do siebie – bracie, siostrze.

Na koniec lekarka, która ich przyjmowała, zadała Irenie kilka pytań. Ale Irena do tej pory słuchała Ryżej Bródki, który rozprawiał o wyndkach meczów koszykówki, i mię przygotowała sobie żadnej opowiadki.



–Pobito go – powiedzi-ała i tyle tylko udało się jej wymyś-leć, kiedy uświadomiła sobie, że trzeba podać jakieś wyjaśnienie.

–Więc byliście w lesie? – pytała lekarka.

–Na wycieczce.

–Zabłądziliście? Jak długo to trwało?

–Dokładnie 'nie wiem.

–Może jednak parną zibadam?

–Minie nic nie jest. Przestraszyłam się. Zmęczona jestem tylko.

–Nią pewno nie jest pani potłuczona? – spytała szorstko lekarka, osoba w średnim wieku, znużona, o poszarzałej w bezlitosnym świetle jarzeniówek twarzy w hallu na ostrym dyżurze o godzinie dziesiątej wieczór w dniu święta'pracy.

–Nic mi nie jest. Przejdzie, jak się prześpię. Czy Hugh...

–Ma się pani gdzie podziać?

–Ten mężczyzma, który nas podwiózł, podrzuci mnie do matki. Czy Hugh...

–Czekam teraz na rentgen. Zostanie tutaj. Czy podpisała pani te... Tak. W porządku.

– Odeszła. Przytłoczona władztwem Lekarza, Szpitala Irena odwróciła się bez słowa do wyjścia.

Z jakiegoś pokoiku wyrzwał sanitariusz, który zabrał Hugh'a.

–Prosił, żeby ktoś skontaktował się z jego matką – powiedział widząc Irenę. – Zrobi to pani?

–Tak.

–Nic mu mię będzie – powiedziała lekarika. – Niech pani idzie się przespać.

–Chcą cię tu jeszcze zatrzymać na jeden dzień.

–Wiem – powiedział leżąc wygodnie na wysokim, twardym łóżku, przedostatnim nią oddziale. – I tak niezbyt się palę do wstawania.

**–Ale czujesz się dobrze?**

**–W porządku. Pozawijali mnie w to wszystko. Popatrz. Nie, nie mogę ci pokazać, to się z tyłu rozchyła, nieprzyzwoicie. Ale**

jestem spowity w te bandaże jak miumia. Za każdym razem jak się budzę, dają mi pastylkę.

–Masz złamane zebro?

–Jedno złamane i jedno pęknięte. A co z tobą?

–W porządku. Słuchaj, Hugh, czy oni cię pytali, wiesz, o to, co się stało?

–Powiedziałem tylko, że «me pamiętam.

–To dobrze. Bo wiesz, jakbyśmy podawali różne wersje, mogliby pomyśleć, że coś tu nie gra.

–A co 'się stało?

–Byliśmy 'na wycieczce w lesie i jacyś chuligani pobili cię i potem uciekli.

–Rzeczywiście tak było? Dostrzegł jej 'niepewność.

–Ireno. Ja pamiętam. Uśmiechnęła się, ciągle niepewna.

–Myślałam, że może jesteś w stanie nieważkości po tych pigułkach.

–Jestem po prostu śpiący. Myślę, że częściowo... Nie wiem, jak dotarliśmy do bramy. Trafiliśmy w końcu na właściwą ścieżkę?

–Aha. Wyłączyłeś się po (drodze – tpołożyła rękę na jego rękę. Oboje byli skrępowani obecnością innych ludzi na tym ruchliwym, niespokojnym oddziale: ludzie w łózkach, na wpół ubrani, obandażowane głowy, stopy wystające z gipsu, ludzie śpiący, gapiący się, przychodzący w odwiedziny i wychodzący, telewizor i radio na trzech różnych programach i odór śmierci i środków dezynfekcyjnych.

–Czy musiałaś idfzisiaj iść do pracy?

–Nie, ciągle jeszcze jest poniedziałek.

–O Boże!

–Hiugh, słuchaj! Obserwował ją z uśmiechem.

–Rano widziałam się z twoją ma1Jką.

Po jakiejś minucie zapytał dość niepewnie:

–Co z nią?

–Kiedy dzwoniłam do niej wczoraj wieczorem, wiesz, wyglądało, jakby nie całkiem mnie rozumiała. Ciągle pytała, kto ja jestem, powiedziałam, że byłam z tobą na wycieczce, wiesz, ale ona ciągle pytała o to samo. Była wytrącona z równowagi. Późno 'było, no i to wszystko. Nie powinnam była dzwonić. No więc jak mnie śnie wpuścili tutaj dzisiaj rano, pomyślałam, że byłoby dobrze się z nią zobaczyć. Tak wyglądało, Jakby 'nie rozumiała, że ty tu jesteś, w szpitalu.

–Nie odzywał się.

–No i...

–Wsiadła na 'ciebie – powiedział z takim gniewem, że pośpiesznie zapewniła:

–Nie, wcale nie, tylko że wyglądało... jakby... No więc powiedziałam, że potrzebne ci jest ubranie i różne rzeczy. Myślałam, wiesz, że 'będzie ci je chciała przynieść. Poszła i wróciła z walizką, miała JUŻ przygotowaną, jest w samochodzie. Zostawię 'ci tę walizkę... Ja... ona tak jakby pchnęła Ją do mnie, do drzwi, i powiedziała: „Po tym wszystkim nie musi tutaj wracać” i była... i zamknęła drzwi. Nic mi 'nie pozostawało innego, jak odejść. O co jej chodziło? Musiałam się jakoś źle wyrazić i źle (mnie zrozumiała, i nie wiem, co teraz, jak to naprawić. Przepraszam, Hugh.

–Nie – powiedział. Zamknął oczy. W końcu odwrócił dłoń mocno ściskając rękę Ireny. – Wszystko w porządku – powiedział, kiedy już mógł mówić. – Chata z głowy.

–Ale czy 'oma nie chce, żebyś wrócił? – dopytywała się Irena zmartwiona i zakłopotana.

–Nie. Ani ja. Chcę iść z tobą. Chcę z tobą żyć. – Usiadł, żeby mieć głowę bliżej niej. – Chcę znaleźć jakieś miejsce, mieszkanie, coś takiego, jeśli ty... mam trochę forsy w banku. O ile wszystkiego nie pożre ten cholerny szpital... Jeśli ty...

–Tak, w porządku, słuchaj. Chciałam ci powiedzieć, że po spotkaniu z nią nie wpuszczali jeszcze do szpitala, więc poszłam na róg Czterdziestej Ósmej i Morressey. Było ogłoszenie w porannej gazecie. Wiesz, to Jest w dzielnicy Hillsdde. Wygląda naprawdę nieźle, dwieście dwadzieścia pięć miesięcznie, w tym światło i gaz, jak na dziesięć minut od centrum to naprawdę okazja. Od razu tam po171

szłam. Je;^ gai-dż. Tak czy owak biorę to mieszkanie. Podpisałam umowę. Nie mogę wracać tam, gdzie 'byłam.

–Chcesz, żebyśmy wynajęli je razem?

**–Jak chcesz. To naprawdę miłe miejsce. I właściciele są sympatyczni. Też nie są małżeństwem.**

**–My jesteśmy.**

**Nazajutrz rano wyszli razem ze szpitala. Znowu padało. Ona miała na sobie zniszczony, połatany płaszcz, on poplamioną skórzaną kurtkę. Odjechali jej samochodem. Niejedna droga prowadzi do miasta.**

**This file was created with BookDesigner program**

**bookdesigner@the-ebook.org**

**2011-02-25**

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*